

WRABIANI W WYBORY
Nowa kampania
w starych koleinach

OCALIŁA MNIE MUZYKA
Opowieść bohatera
filmu Sekielskich

NARODZINY MATKI
Połóg bez tabu:
poród to tylko początek

KAZIK, NIE PAPIEŻ
Kult, za którym
Polska nie nadąża

Kraków 31 maja 2020 nr 22 (3699)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Jedź dobrze, zmień świat

MARTA DYMEK,
JADŁONOMIA

DODATEK PUCKIE HOSPICJUM

Ks. Boniecki o dobrym
odchodzeniu i schedzie
po ks. Kaczkowskim

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.425



łaka powszechna dla każdego!

Już **od środy 3 czerwca**, w podwójnym, świątecznym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”:

→ przewodnik po dzikiej przyrodzie „**Chwalcie łaki!**”

→ a **w prezencie** – nasiona polnych kwiatów do samodzielnego wysiania

Zamów to wydanie z dostawą do domu – szczegóły powszech.net/kwiaty

**łącz się z nami,
zmieniamy razem krajobraz!**



KS. ADAM

Boniecki: *Kłaniam się tej normalności*

NIE CHCIAŁBYM O NICH PISAĆ JAK O MAŁPIE, która się nauczyła prowadzić samochód. Oni też nie chcą być tak postrzegani. Nie mają parcia na szkło, w ogóle. Wprawdzie telewizje pokazywały kilkanaście razy dominikanów, którzy pospieszyli z pomocą Domowi Pomocy Społecznej w Bochni, ale wciąż były to te same zdjęcia ludzi w kombinezonach i maskach, prawdopodobnie zrobione tylko szczęśliwym trafem. Nie trąbią o tym, co robią, bo uważają, że ich obecność przy ofiarach koronawirusa jest czymś całkowicie naturalnym.

Niektóre dane o zaangażowaniu zakonnic i zakonników w walkę z koronawirusem i skutkami pandemii podaje – lakonicznie i bez zadęcia – „Biuletyn Tygodniowy Centrum Informacyjnego Zakonów”.

W kwietniu do przewodniczącego Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich zwrócono się z prośbą o pomoc zakonów męskich zarażonym COVID-19. Przewodniczący skierował ten apel do zakonów. Niektóre z nich już wcześniej podjęły się tego zadania. W biuletynie podano stan ich zaangażowania z połowy maja. I tak w różnego rodzaju pomoc bezpośrednią zaangażowanych było ponad 148 zakonników: franciszkanów, franciszkanów konwentalnych, saletynów, kapucynów, misjonarzy krwi Chrystusa, salwatorianów, kombonianów, karmelitów bosych, misjonarzy oblatów Maryi Niepokalanej (także sześciu młodych świeckich wolontariuszy ze wspólnoty oblackiej Niniwa), benedyktynów z Tyńca, dominikanów, salezjanów, orionistów, klaretynów, pijarów, albertynów, bonifratrów, redemptorystów.

Zakonnicy pełnią posługę zarówno kapelanów czy ratowników medycznych, jak i opiekują się chorymi zakażonymi COVID-19 w szpitalach, obsługują także izolatoria dla chorych, którzy nie mogą przeżyć kwarantanny we własnych domach. Klasztory paulinów na Jasnej Górze i franciszkanów



w Wejherowie udostępniły miejsca noclegowe dla personelu medycznego. Zakonnicy troszczą się o ubogich i bezdomnych.

Z powodu braków kadrowych w szpitalach pracę podjęły 63 siostry zakonne, w hospicjach – 6 siostr, w DPS-ach lub ZOL-ach samorządowych, Caritas – 69 siostr, w DPS-ach, ZOL-ach jako dodatkowy personel – 207 siostr, w placówkach opiekuńczo-wychowawczych – 32 siostry.

Oblicza się, że w walkę z koronawirusem zaangażowanych jest w Polsce ponad 3 tysiące siostr zakonnych.

Powie ktoś: jeśli nie zakonnicy i zakonnice, to kto? Nie darmo Kościół czci świętych, którzy służąc ofiarom różnych strasznych epidemii zapłacili za to życiem, jak nasz św. Szymon z Lipnicy (zmarł 18 lipca 1482 r.) czy we Włoszech założony w XVI w. zakon kapucynów, którzy posługę ofiarom częstych w owym czasie epidemii traktowali jako swoje szczególne zadanie, nieraz przytłaczane życiem.

Jak wspominałem, te zakonnice i ci zakonnicy nie zabiegają o reklamowanie swoich akcji. Nawet lista zakonów zaangażowanych w walkę z wirusem może nie być kompletna, a opisaną działalność należy traktować jako podaną przykładowo. Nie wspominałem o wielu dziełach, m.in. o pracy siostr szyjących maseczki i ochronne stroje dla służb medycznych.

Z konieczności napisałem o nich bardzo zwięźle i dość ogólnie, ale chciałem napisać przynajmniej tak – bo te zakonnice i ci zakonnicy, pracujący z własnego wyboru i przy wsparciu swoich zakonnych wspólnot na rzecz najsłabszych, angażując się w ryzykowną pracę dla bliźnich, są także obliczem Kościoła. Dziś się eksponuje to, co w tym obliczu jest zdeformowane przez ludzką słabość, grzech i strukturalne niewydolności instytucji. Godzi się więc – pomyślałem – przypomnieć piękne oblicze Kościoła i pokłonić się tej normalności, którą w trudnym czasie pandemii nam oni ukazują. ©P

TP

Już w środę 3 czerwca w sprzedaży podwójne, świąteczne wydanie „Tygodnika Powszechnego” na Boże Ciało i długi weekend czerwcowy.

- Lato od nowa: gawęda o schroniskach ■ Wojciech Mann: nie dobija się bawotów
- Boże Ciało w Jaśliskach ■ Gdy hostie słynęły cudami ■ Najłatwiejszy przemysł świata
- Po co Bogu trzęsienie ziemi ■ Zachód i cała reszta ■ Manuskrypty z atomowego bunkra
- Lem vs Kołakowski: wojna 40-letnia ■ Pszczele namiętności ■ Biegiem po ekstazę

W wydaniu dodatek o korzyściach łąk kwietnych „Chwalcie łąki!”, a razem z wydaniem drukowanym – także mieszanka nasion roślin łąkowych do samodzielnego wysiania – w prezencie!



FOT. MARCIN MANN

22 Duopol trzyma się świetnie ANDRZEJ STANKIEWICZ

Znów zostaliśmy skazani na wybór między PiS a PO. Obie partie po cichu o to zadbały, tocząc na zewnątrz wojnę totalną.



32 Byłem schowanym człowiekiem ROZMOWA Z JAKUBEM PANKOWIAKIEM:

Muzyka organowa była moim krzykiem. I moim wyznaniem wiary.



66 Dzieciobójstwo

ŁUKASZ KWIATEK

U szympansov zwyczajnych zaskakująco często dochodzi do najgorszej ze zbrodni.

52 Godzina Sebastiana Kurza

BARBARA
RADZIKOWSKA-
KRYŚCZAK
Z WIEDNIA

Zduślił w kraju epidemię, teraz mówi o nowej normalności. Austriacki kanclerz nie zdradza jednak, jak może ona wyglądać. Ale czy ktoś w ogóle to wie?



70 Grajek, choć nie papież

MARCIN

NAPIÓRKOWSKI

Kazik nadąga za rzeczywistością skuteczniej, niż rzeczywistość nadąga za Kazikiem.



84 Pory roku na języku

ROZMOWA Z MARTĄ DYMEK, JADŁONOMIĄ:

Czasem gotowanie jest wymyślaniem dla osób sytych, zamożnych i znudzonych wygodnym życiem. Teraz bliżej mi do kuchni rodzimej i osób gotujących tradycyjnie.



6 Dorosłe dzieci mają żal
MICHAŁ OKOŃSKI

7-12 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Duopol trzyma się świetnie
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Be jak bezrobotny
MAREK RABIJ: *Firmy w Polsce
znowu zwalniają pracowników*

29 Online nie zdaje egzaminu
ROZMOWA Z GRZEGORZEM
CAŁKIEM:
*Dorośli dzięki zdalnej edukacji
poznali współczesny świat ucznia*

■ ■ **WIARA**

**32 Byłem schowanym
człowiekiem**
ROZMOWA Z JAKUBEM
PANKOWIAKIEM

36 Światłoczułi
MARCIN CHODUŃ:
Kim są i w co wierzą kwakrzy?

39 Święty wiatr
PIOTR SIKORA
*Zmysłowe znaczenie zdania „Bóg
jest Duchem” może stworzyć naszą
świadomość na pełnię Życia*

■ ■ **ŚWIAT**

52 Godzina Sebastiana Kurza
BARBARA RADZIKOWSKA-
KRYŚCZAK

56 Nowy Wielki Kryzys
MARTA ZDZIEBORSKA
Z KALIFORNI:
*W ciągu dwóch miesięcy pracę
stracił już co piąty czynny
zawodowo Amerykanin*

TEMAT TYGODNIKA



JOANNA RUSINEK DLA „TP”

12 Narodziny matki

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Połów to początek. O trudach tego stanu mówi się
mało, jakby były dla kobiet źródłem wstydu.

17 Naczynia połączone

ROZMOWA Z MARLENĄ TRĄBIŃSKĄ-HADUCH,
PSYCHOLOGKĄ:

Połów to intymne spotkanie mamy z dzieckiem,
coś, co w żadnej innej relacji się nie powtórzy.

■ ■ DODATEK SPECJALNY

43 O dobrym umieraniu

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 42 WOJCIECH BONOWICZ
82 JAN KLATA 83 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ 90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: MARTA DYMEK
Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Z powodów przez nas niezawinionych „Tygodnik”
może przejściowo nie być dostępny w swoim pełnym
dotychczasowym zasięgu. Trudności mogą wystąpić
w szczególności w punktach sprzedaży obsługiwanych
dotychczas przez Garmond Press S.A. Przypominamy,
że jedynym pewnym sposobem regularnego otrzymywania
pisma jest zamówienie prenumeraty na stronie
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
do czego serdecznie zachęcamy. *Wydawca*

59 Pierwszy łyk wolności
SZYMON ŁUCYK Z BEAUVAIS:
*Walka z pandemią łączy
Francuzów, ale też wskazuje,
jak krucha to solidarność*

■ ■ **HISTORIA**

**62 Druga Rzeczpospolita
zbuntowana**
ROZMOWA Z JANUSZEM MIERZWA,
HISTORYKIEM: *Polskie władze nie
sprostały Wielkiemu Kryzysowi
lat 30. Ówczesna Polska wrzała.
Zwłaszcza na wsi*

■ ■ **NAUKA**

66 Dzieciobójstwo
ŁUKASZ KWIATEK

■ ■ **KULTURA**

70 Grajek, choć nie papież
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

74 Zbójcecki język
GRZEGORZ JANKOWICZ:
*Robert Walser uważał, że
schlebianie gustom odbiorców jest
najgorszym grzechem artysty*

77 Uśmiech Jerzego Skąpskiego
TOMASZ FIAŁKOWSKI

78 Przez białe plamy
ROZMOWA Z BARBARĄ SADURSKĄ,
PISARKĄ:
*Teraźniejszość rzadko jest
przypadkowa*

80 Grzebanie w ranach
ANITA PIOTROWSKA o serialu
„To wiem na pewno”

82 Pokój laktacyjny
LEKTOR o książce „Wczesne życie”
Małgorzaty Nocuń

■ ■ **ZMYŚŁ**

84 Pory roku na języku
ROZMOWA Z MARTĄ DYMEK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Nie zważając na epidemię, nie słuchając połajanek,
że głosowanie nie spełnia demokratycznych kanonów
– **WOJCIECH JAGIELSKI** opisuje, jak władze Burundi przeprowadziły
elekcję prezydenta tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Dom [Podkast Powszechny]

Jak ważna jest dla nas mała ojczyzna? Jak żyje się w małym mieście?
Po co światu Wyśmierzyce, Krotoszyn i Barlinek? – opowiada **AGATA
ROMANIUK**, socjolożka i reporterka, w nowym cyklu rozmów o tym, że dom
to znacznie więcej niż cztery ściany powszech.net/podkast-dom



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



DOROSŁE DZIECI MAJĄ ŻAL

Skandal wokół radiowej Trójki ma jedną dobrą stronę:
pokazuje, że nie wszystko jest polityką.

MICHAŁ OKOŃSKI

TEN POGRZEB ODBYWAŁ SIĘ JUŻ KILKA RAZY. Z Programu III Polskiego Radia zwalniano dyrektorów (nie tylko Magdę Jethon; protesty budziło także odejście Krzysztofa Skowrońskiego, za którego czasu stacja biła rekordy słuchalności), wyrzucano Jerzego Sosnowskiego i Michała Nogasia, odchodzili Marcin Zaborski czy Artur Andrus. W styczniu pracę przy Myśliwieckiej stracił Dariusz Rosiak, wkrótce odszedł Wojciech Mann. Dawni słuchacze odchodzili z nimi, zresztą nie zawsze w proteście przeciwko sączącej się między audycjami muzyczny-

mi propagandzie, realizowanej przez coraz gorzej mówiących po polsku publicystów niegdyś mieniących się niepokornymi. Muzykę, której uczono ich słuchać w Trójce, znajdowali na Spotify, ofertę kulturalną – w podcastach, na stronach internetowych, w prasie.

A przecież Trójka trwała dalej, jej fenomen zaś dobrze uchwycił w tych dniach Wojciech Waglewski, znający stację od podszewki, bo pracował w niej jego ojciec, a on sam jeszcze w marcu prowadził w niej wspólną audycję z synem. W pożegnalnym wpisie na

*Policjanci przed
siedzibą Trójki
podczas protestu
słuchaczy,
Warszawa,
22 maja 2020 r.*

Facebooku lider grupy Voo Voo mówił o swobodzie w posługiwaniu się słowem i zabawie z inteligencją słuchacza, o ogromnej pomocy medialnej dla młodych twórców, o towarzyszeniu festiwalom, popularyzacji literatury czy kina, o koncertach na żywo w radiowym studiu. Nade wszystko zaś: o muzyce, która zawsze niesie wolność.

Ingerencja władz Polskiego Radia w ikoniczną audycję Trójki – listę przebojów, która za chwilę miała świętować dwutysięczne notowanie – była w tym sensie czymś więcej niż próbą cenzury, dokonywanej przez gogolowskich nadgorliwców, załęczonych, że rewiworowi może się nie spodobać jeden ze słabszych zresztą utworów Kazika. Nie chodzi tylko o natychmiast rodzące się podejrzenie, że rządzący z równą łatwością jak wynikami głosowania na piosenki mogą chcieć sterować wynikami głosowania na polityków. Nie chodzi także o fakt, że uderzono w audycję, która zapisała się w życiorysach kilku pokoleń Polaków (z pewnością będących po różnych stronach politycznej barykady; w obronie Listy Przebojów Trójki głos zabrała wicepremier Jadwiga Emilewicz). Chodzi o wtargnięcie w sferę, która wydawała się właśnie pozostawać poza polityką. Piosenki puszczane na antenie Trójki przez tych, którzy żegnają się dziś z rozgłośnią – Piotra Kaczkowskiego, Marka Niedźwieckiego, Piotra Metza; tę listę można ciągnąć – mówiły o życiu i śmierci, miłości, byciu w drodze i tylu innych rzeczach, do których propagandyści nie mają dostępu. Siła protestu z ostatnich dni – protestu odchodzących dziennikarzy i żegnających ich słuchaczy – odwołuje się do emocji silniejszych niż antypisowskie.

Różne bywały w dziejach przyczyny upadków tracącej kontakt z rzeczywistością władzy, najczęściej zresztą chodziło nie o jeden powód, ale spłot wielu okoliczności. Z pewnością zwiększająca się wciąż liczba zakażonych koronawirusem i niepewna przyszłość gospodarki nie pomagają PiS-owi. Z pewnością nie pomagają mu informacje o wyrzuceniu w błoto pieniądza na niespełniające norm maseczki czy zagubione gdzieś karty do nieodbytego głosowania. Lubię jednak myśleć, że po latach jakiś historyk opíše ostatni rozdział tych rządów, zaczynając od esemesa: „Piotrze, dopilnuj aby piosenka o której rozmawialiśmy nie była na Antenie” (pisownia oryginalna).

©P

**ADAM ZAWISNY, STOWARZYSZENIE
INSTYTUT NIEZALEŻNEGO ŻYCIA:**

Śmierć po cichu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Sytuacja w domach opieki opanowana?

ADAM ZAWISNY: Tylko częściowo. Ludzie z placówek wciąż chorują, ale teraz często umierają bez rozgłosu.

Do końca kwietnia prowadziliście statystyki: było ponad 1500 zakażonych i ponad 60 ofiar.

Robiliśmy to na podstawie wypowiedzi samorządowców w mediach. Ale w maju o DPS-ach zrobiło się ciszej, straciliśmy źródło wiedzy. Trudno wskazać, czy jest znacząco lepiej: np. w jednym z domów w Czernichowie zmarło ok. 30 osób. Prawda o sytuacji DPS-u w Kaliszu, gdzie umarło 35 osób, wyszła na jaw niedawno. W ostatnich tygodniach zakażenia odnotowano w placówkach m.in. na Śląsku i w Wielkopolsce.

Mija trzeci miesiąc epidemii. Placówki są lepiej przygotowane?

Wyszły bardziej precyzyjne wytyczne, więcej jest środków ochrony, choć wiele ośrodków alarmuje, że nadal za mało. Na skutek długoletnich błędów systemowych naraziłmy tysiące ludzi na chorobę i śmierć. I nie pomogą podawane przez rząd i tak najpewniej zaniżone dane, że



ARCHIWUM PRYWATNE

zaraziło się „tylko” ok. 1-2 proc. mieszkańców DPS-ów. To kilkadziesiąt razy więcej niż w ogólnej populacji! A ryzyko będzie większe – w przypadku „odmrożenia” placówek.

To sytuacja bez dobrego wyjścia. Boicie się odmrożenia, a mieszkańcy coraz gorzej znoszą izolację.

Niektórzy dyrektorzy chwaliли się, że zrobili ze swoich domów – cytuję – „Alcatraz”. I być może dobrze, pewnie dzięki temu nikt tam nie umarł. Tyle że dla niektórych pensjonariuszy to izolacja zaczyna być największym zagrożeniem. Od mieszkańca łódzkiego DPS-u usłyszeliśmy,

że jeśli nic się nie zmieni, może sobie coś zrobić. My mamy zakupy, spacer – oni muszą siedzieć na jednym piętrze. Do niektórych placówek są też przyjmowane nowe osoby, co naraża mieszkańców na śmiertelne ryzyko. Lokalne władze powinny częściej korzystać z alternatywnych form wsparcia, by jak najmniej osób trafiło do instytucji – np. usług asystenckich w miejscu zamieszkania czy tzw. mieszkań wspomaganych. Pełna reforma niewydolnego systemu, czyli odejście od instytucji typu DPS, zajmie pewnie 15-20 lat. Ale pewne zmiany możemy zrobić teraz. A nawet musimy, by uniknąć kolejnych tragedii. ©P

ADAM ZAWISNY jest specjalistą ds. polityki społecznej, wiceprezesem stowarzyszenia Instytut Niezależnego Życia.

Test dla oświaty

„W TROSCE O ZDROWIE i życie uczniów i nauczycieli domagamy się dostępu do testów dla pracowników szkół, przedszkoli i placówek oświatowych” – apelował kilka dni temu Związek Nauczycielstwa Polskiego. Podobne postulaty wysuwali prezydenci miast po tym, jak testy dla pracowników żłobków i przedszkoli wykonała Łódź, a wyniki wykazały, że 14 proc. badanych ma wynik pozytywny lub wątpliwy (były to przesiewowe testy immunologiczne, sprawdzające, kto ma przeciwciała, a więc miał kontakt z koronawirusem).

Apel ma znaczenie, bo choć na pełen powrót do szkolnych ławek się nie zanoś, to trwa stopniowe odmrażanie oświaty: od 6 maja można otwierać żłobki i przed-

szkół, od 25 maja w szkołach mogą być klasy 1-3, od tego dnia możliwe są też stacjonarne konsultacje dla maturzystów i ósmoklasistów, a tydzień później podobne konsultacje mają być już dostępne dla wszystkich uczniów. Zbliżają się też egzaminy: 8 czerwca ruszają matury, zaś między 16 a 19 czerwca sprawdzana będzie wiedza ósmoklasistów.

Co na apele rząd? Ani resort zdrowia, ani MEN nie widzą na razie potrzeby ogólnopolskiego testowania pracowników oświaty. „Gdy uruchamiano restauracje i galerie handlowe, nikt nie wychodził z pomysłem, by przetestować wszystkich pracowników sklepów” – mówił Dariusz Piontkowski, rytualnie odbijając też piłeczkę w stronę samorządów. Te, wedle szefa resortu oświaty, mogą sobie robić testy we własnym zakresie.

©P PW

Obrotna rodzina ministra

PAWEŁ BRAVO



WMEDIACH POJAWIŁO SIĘ KILKA WĄTKÓW ZWIĄZANYCH z dawną działalnością biznesową ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego oraz jego rodziny, a także dowody, iż za zakupem wadliwych maseczek ochronnych przez rząd mogła stać protekcja jego bliskich i znajomych. Największe potencjalne nadużycia wiążą się z ignorowaniem konfliktu interesów przez instytucję przyznającą firmom granty na badania naukowe, m.in. medyczne: w tym przypadku brat przyszłego ministra występował faktycznie jako wnioskodawca i ekspert oceniający projekty, choć dzięki kruczkom proceduralnym formalnie pozostawał z tych ról wyłączony.

Niektóre omawiane w tym wątku nadużycia miały miejsce na długo przed tym, gdy Łukasz Szumowski postanowił wyjechać się w polityce. Tego rodzaju „obrotnych” ludzi, właśnie obracających się – bez naruszania prawa – między biznesem a instytucjami władzy, których łaskawe oko ułatwia interesy, było i jest w polskiej polityce sporo. To niezmienny wyrzut pod adresem każdej ekipy rządzącej, że bez czekania na nagły przypływ przyzwyczajono nie wprowadzała coraz skuteczniejszych ograniczeń prawnych (choćby dotyczących lustracji majątkowej rodzin urzędników). Pretensje te trzeba mieć zwłaszcza do obecnej władzy, która tyle kapitału zbija na pohukiwaniach o walce z patologiami. I nie zmieni tego fakt, że obecne zainteresowanie rodziną Szumowskich to kampanijny zabieg, mający podkopać popularność obecnego ministra.

© P

Przedsiębiorcy na drzewo

„**LASY PAŃSTWOWE** niszczą polski przemysł drzewny” – to tytuł ogłoszenia, które w minionym tygodniu zamieściła w jednej z gazet Polska Izba Gospodarcza Przemysłu Drzewnego. Zdaniem przedsiębiorców kontrolowany przez Skarb Państwa leśny monopolista nie chce przyjąć do wiadomości, iż w marcu zamrożenie gospodarki drastycznie zmniejszyło płynność finansową firm branży drzewnej, i nie zgadza się m.in. na obniżki cen oraz dostawy surowca z wydłużonymi terminami płatności. W niektórych regionach drewna zaczyna zresztą brakować – co w kraju porośniętym w 30 proc. lasami budzi wśród przedsiębiorców podejrzenia, że Lasy Państwowe wykorzystują ostatnie osłabienie złotego i eksportują przez pośredników surowiec przeznaczony pierwotnie na krajowy rynek.

Lasy Państwowe tłumaczą, że istotnie, ograniczyły produkcję, ponieważ krajowi odbiorcy w obliczu recesji gwałtownie ograniczają zamówienia, a na to, dokąd trafia kupione w nadleśnictwach drewno, nie mają wpływu. Ceny mają zaś konkurencyjne w stosunku do drewna z importu.

© P MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

ZAŁECANE

Podczas wizyty w gliwickiej kawiarni Mateusz Morawiecki nie przestrzegając zaleceń epidemiologicznych.

„Te pewnie odległości są zalecane, ale nie nakazywane” – tłumaczył, co dedykujemy wszystkim, którzy w ostatnich tygodniach zapłacili mandaty.

DOWOLNE

Zgromadzenie Ogólne Sądu Najwyższego przedstawiło prezydentowi 5 kandydatów na stanowisko I prezesa. Większość głosów otrzymał Włodzimierz Wróbel, ale Andrzej Duda wybrał Małgorzatę Manowską.

RATUNKOWE

Prezydent ma inne problemy. Po kilku miesiącach banicji Jacek Kurski znów wszedł do zarządu TVP i choć wcześniej tak irytował prezydenta, że ten uzależnił od jego dymisji podpisanie ustawy przyznającej mediom publicznym 2 mld zł dotacji, dziś ma ratować jego kampanię.

STYLÓWE

Styl, w jakim to robi, można przewidzieć. „Pojedynek filmów o pedofilii”, reklamował Kurski na Twitterze wyniki oglądalności „Nic się nie stało” Sylwestra Latkowskiego w TVP, porównane z pokazaną w TVN „Zabawą w chowanego” braci Sekielskich.

LICZBA TYGODNIA

41

– o tyle procent zmniejszyła się w kwietniu liczba zwolnień lekarskich w porównaniu z marcem, kiedy na L4 udało się 3,2 mln osób. Zdaniem ZUS taki spadek może świadczyć o rosnącej obawie Polaków przed utratą pracy.



EMANUELE PERRONE / GETTY IMAGES

Przygotowywanie kąpieliska w Porto Cervo na Sardynii, 24 maja 2020 r.

Włochy otwierają się na turystów

OD PRZYSZŁEJ ŚRODY, 3 czerwca, będzie można wjechać do Włoch i nie być poddanym dwutygodniowej kwarantannie (dotąd chroniło przed nią posiadanie negatywnego wyniku testu na koronawirusa, nie starszego niż 4 dni). Władze robią, co w ich mocy, by wesprzeć sektor turystyczny, który oficjalnie odpowiada za 13 proc. PKB Włoch (a faktycznie za więcej: istotna część takich usług działa w szarej strefie).

W niektórych regionach i miastach spowodowana przez epidemię wyrwa w budżetach będzie zapewne jeszcze szersza, bo wcześniej – w sytuacji marazmu gospodarczego, który trapi Włochy od ponad dekady – w co bardziej atrakcyjnych miejscach inwestowano tylko w branżę turystyczną. Teraz, po złagodzeniu restrykcji, ponad jedna trzecia barów i restauracji nie wznowiła działalności, gdyż znajdują się w okolicach, gdzie jest za mało miejscowych klientów.

Rząd obiecał obywatelom dopłatę aż do 500 euro na rodzinę, jeśli spędzą wakacje w kraju, a cudzoziemców zachęca szybkim otwarciem granic. Ale cóż z tego, skoro wjechać do Włoch będzie można, jednak wrócić już z nich do domu bez kwarantanny – niekoniecznie. Rządy wielu krajów Unii, mających dobre wskaźniki epidemiczne, dogadują się w sprawie „korytarzy turystycznych”: wzajemnych ułatwień dla turystyki zorganizowanej (np. Chorwacja kusi tak spragnionych słońca Niemców). Lecz Włochy i Hiszpania są na razie z takich rozmów wykluczone – bez względu na obiektywne dane mają wizerunek siedliska zarazy.

© P PAWEŁ BRAVO

Rewolucyjny pomysł Merkel i Macrona

OLAF OSICA



JESZCZE NIEDAWNO WIELU OBSERWATORÓW patrzyło – z obawą lub satysfakcją – na pograżającą się w kryzysie Unię Europejską. Niektórzy twierdzili, że Chiny i Rosja okazały więcej solidarności niż połączone ideą integracji europejskie stolice. Kryzys gospodarczy miał dopełnić dzieła zniszczenia strefy euro, a potem samej Unii.

Wizja ta okazała się mocno na wyrost. Przeciśnięci do muru politycy zaproponowali pomysł, który jeszcze miesiąc temu był nierealny: państwa Unii mają wspólnie wyemitować dług, który pozwoli zwiększyć wydatki budżetu (uległby on podwojeniu, z 1 do 2 proc. unijnego PKB). Na tym polega ogłoszony w minionym tygodniu pomysł Emmanuela Macrona i Angeli Merkel. Jego rewolucyjność nie dotyczy sfery prawa, lecz polityki. Dotąd Unia, a konkretnie jej państwa (Unia nie może zaciągać pożyczek) emitowały obligacje, choć na sumy najwyższej setek milionów. Tymczasem teraz ma to być 500 mld euro. Ta kwota – z politycznego punktu widzenia – wydaje się pierwszym krokiem w stronę uwspólnotowania długów i transferu środków do państw Południa (Grecji, Włoch czy Hiszpanii). Zastrze-

żenie „wydaje się” jest podyktowane nie tylko brakiem formalnych decyzji, na które muszą zgodzić się wszyscy – już wiemy, że klub „małych bogaczy” (Austria, Holandia i Szwecja) niechętnie patrzy na tę ideę. Nie wiemy też, czy środki z emisji wspólnych obligacji trafią do potrzebujących w formie dotacji bądź pożyczek, oraz na jakich warunkach. Szczegóły są tu równie ważne co idea.

Wiemy natomiast, że jest to jedyny sensowny sposób wyjścia naprzeciw problemom, które od ponad dekady dławią rozwój europejskiego Południa, teraz obciążonego skutkami pandemii. To cena za stabilność społeczno-gospodarczą, której potrzebują i Włosi, i Niemcy. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że wspólny dług to magiczny lek na bolączki całej Unii. Nie zastąpi reform i nie zmieni niechętnego nastawienia społeczeństw Północy do „utrącejuszy” z Południa. Nie zarysuje granicy między solidarnością całej wspólnoty a odpowiedzialnością rządów narodowych za złą politykę. Tak naprawdę Merkel i Macron zaproponowali nam wspólną inwestycję w najcenniejszą walutę polityki, czyli czas. Czy było warto, dowiemy się za kilka lat. ©



SPOSOBY NA WIRUSA. W Afryce liczba zarejestrowanych przypadków COVID-19 przekroczyła 100 tys. To wciąż stosunkowo niewiele jak na kontynent z 1,3 mld mieszkańców. Tymczasem eksperci przyglądają się lokalnym metodom walki z epidemią: sprawdzaniu próbek od wielu osób naraz i dzieleniu ich tylko wtedy, gdy wynik jest pozytywny (Ghana), czy tanim testom za równowartość około jednego dolara (Senegal); chwalą też Unię Afrykańską za większą niż w Europie koordynację w zamykaniu granic. Na zdjęciu: pielęgniarki podczas zajęć zumba, zorganizowanych w celu zmniejszenia stresu przez dyrekcję kliniki w Nairobi, stolicy Kenii, 17 maja 2020 r. © P ZYM



MUNIR UZ ZAMAN / AFP / EAST NEWS

Najdroższy huragan w dziejach

SUPERCYKLON AMPHAN, który od 16 do 21 maja szalał nad Zatoką Bengalską, był najkosztowniejszym takim zjawiskiem odnotowanym w tej części wybrzeża Oceanu Indyjskiego. Straty oszacowano na minimum 13 mld dolarów. Na razie potwierdzono śmierć 111 osób.

Mogło być jeszcze gorzej. W poniedziałek 18 maja, około południa, amerykański Joint Typhoon Warning Center na Hawajach na podstawie zdjęć satelitarnych oszacował siłę wiatru na 240-260 km/h, odpowiadającą sile amerykańskiego huraganu piątego stopnia – najwyższej kategorii w skali Saffira-Simpsona. Cyklon znajdował się wtedy dokładnie pośrodku Zatoki Bengalskiej, zmierzając w stronę indyjskiego Bengalu Zachodniego i granicznej bangladeskiej prowincji Khulna, gdzie na terenach nadbrzeżnych mieszka 39 mln ludzi.

Władze Indii i Bangladeszu ogłosiły ewakuację, ale część schronów przemieniono wcześniej na szpitale polowe dla chorych na COVID-19. Pozostałe, ze względów epidemicznych, mogły pomieścić nie 500 tys., lecz tylko 200 tys. osób. „Zostańcie w domach i niech Allah ma was w opiece” – zaapelowała premier Bangladeszu Sheikh Hasina. Na szczęście po dotarciu do lądu wieczorem 20 maja Amphan (w języku tajskim: „ambitny” lub „potężny”) osłabł do ok. 155 km/h. Nazajutrz zanikł nad Bhutanem.

Najdotkliwsze straty odnotowano w rejonie Sundurbanów, gdzie znajduje się największy na świecie las namorzynowy i siedliska tygrysów bengalskich. Fale wdarły się tu na niemal 10 km w głąb lądu. W obawie przed dalszą dewastacją parku – wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO – Indie wprowadziły na tym terenie czasowe ograniczenia handlu drewnem.

© P MAREK RABIJ

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZESŁUCHANIE

„Nie pytali, jak ja się mam teraz po tym doświadczeniu, albo jak mam się z Bogiem, czego potrzebuję, w czym można mnie wesprzeć. Tak »po ludzku po prostu«, jak na wstępie mówili. Nie, o tym nie było ani słowa. Za to pojawiły się podszyte lękiem pytania o to, czego oczekiwać mogę od Kościoła” – zanotowała pani Monika, wykorzystana jako nastolatka przez bp. Jana Szkodonia, po przesłuchaniu w nuncjaturze 23 stycznia 2020 r. Jej notatki publikuje portal „Więź”. „Takiej opowieści nie umiem traktować obojętnie” – komentuje redaktor naczelny Zbigniew Nosowski.

SPÓSÓB

„Jest zdanie, które bardzo mi pomaga, kiedy widzę coś złego: »Ale Bóg jest większy«. (...) Podążanie w Duchu, wiedząc, że Duch jest potężniejszy, jest jak podążanie z rezerwą tlenu, gdy brakuje ci tlenu. Radość jest darem, tak jak pokój jest darem” – mówi Franciszek w książce „Bóg jest radością”, będącej wywiadem rzeką przeprowadzonym przez Chiare Amirante, założycielkę wspólnoty Nowe Horyzonty.

DAR

10 tys. euro otrzymała charytatywna fundacja Zupa na Plantach od kard. Konrada Krajewskiego. „To jest dar od papieża Franciszka dla krakowskich potrzebujących” – napisał papieski jałmużnik. W czasie epidemii dzięki krakowskiej organizacji do bezdomnych dotarło już 1600 paczek. Fundacja kwestuje także na portalu Zrzutka.pl.



FB / ZUPA NA PLANTACH

Skandalem będzie niepowieszenie plakatu

ANNA GOC



PRYMAS WOJCIECH POLAK, DELEGAT EPISKOPATU ds. ochrony dzieci i młodzieży, poprosił proboszczów w całej Polsce, by rozwiesili w przykościelnych gablotach plakat Inicjatywy „Zranieni w Kościele”, a jego treść odczytali w ogłoszeniach duszpasterskich.

To plakat z informacjami o działającym od roku telefonie zaufania dla osób dotkniętych przemocą seksualną w Kościele oraz o oferowanej pomocy. Przy telefonie dyżurują świeccy terapeuci, głównie kobiety. To ważne, bo w systemie oferowanym przez Episkopat zgłoszenia osób wykorzystywanych przez księży przyjmują księża. Dotąd zadzwoniło blisko sto osób, większość nie zgłosiła swojej sprawy.

Historia plakatów nie jest nowa. W lutym Barbara Smolińska z Inicjatywy „Zranieni w Kościele” mówiła „Tygodnikowi”, że mimo starań „żadna diecezja nie zaleciła rozwieszenia plakatu w należących do niej parafiach”, co oznacza, że żaden z biskupów nie poprosił księży o upowszechnienie informacji o wsparciu dla ofiar.

Teraz, gdy zrobił to prymas, odezwały się głosy, że rozwieszanie plakatu jest „skandalem” i „uderzeniem w Kościół” – jak nazwał akcję publicysta „Naszego Dziennika”. Wpisując się w jego narrację trzeba by powiedzieć, że skandalem jest spojrzenie na pedofilię z perspektywy ofiar, są nim zatem filmy braci Sekielskich, a w Kościele uderzają prymas Polak i papież Franciszek. ©P



PAUL MORIGI / GETTY IMAGES

Autor „Języka Boga” laureatem Nagrody Templetona

WYBITNY GENETYK FRANCIS S. COLLINS, pracujący obecnie nad szczepionką na COVID-19, został tegorocznym laureatem Nagrody Templetona (w wysokości 1,1 mln funtów) przyznawanej za „przerzucanie mostów między religią i nauką”.

Z wykształcenia chemik, w młodości ateista. Nawrócił się na chrześcijaństwo ewangelikalne podczas studiów medycznych. Uczestniczył w odkryciu mutacji odpowiedzialnych za wiele chorób genetycznych (m.in. mukowiscydozę). Kierował Projektem Poznania Genomu Ludzkiego. W opublikowanej w 2006 r. bestsellerowej książce „Język Boga: kod życia – nauka potwierdza wiarę” Collins przekonuje, że „wiara w Boga może być całkowicie racjonalnym wyborem”. Poglądy te rozwija jego fundacja BioLogos (prowadząca m.in. stronę dwieksiegi.pl). Naukowiec jest na celowniku tzw. nowych ateistów – Sam Harris w krytykującej religię książce „Pejzaż moralny” poświęca mu całe 20 stron. 70-letni Collins gra na gitarze, jeździ na motocyklu i – aby rozbawić znajomych – pisze nowe teksty do popularnych piosenek. ©P ASK

Z barykad do kurii

BISKUPIEGO WIKARIUSZA w szwajcarskim Fryburgu zastąpi kobieta – 60-letnia Marianne Pohl-Henzen. To ewenement w Kościele katolickim. Prawo kanoniczne rezerwuje ten urząd dla kapłanów. By pozostać w zgodzie z przepisami, Charles Morerod, miejscowy biskup, mianował Pohl-Henzen jedynie swoim „delegatem”. Ma jej jednak przysługiwać pełna władza wikariusza: będzie zarządzać pracą księży w powierzonej części diecezji, wizytować parafie oraz uczestniczyć w synodach.

Delegat ukończyła studia filologiczne i teologiczne, jest mężatką, matką trojga dzieci i babcią czworga wnuków. Nie ukrywa radykalnych poglądów (jest zwolenniczką kapłaństwa kobiet), ale – jak przyznała w wywiadzie dla portalu Kat.ch – o ile kiedyś „walczyła o nie na barykadach”, to z wiekiem złagodniała i woli zmiany małymi krokami (na początek – kobiecy diakonat). Mianując ją swoim zastępcą, bp Morerod burzy klerykalne nawyki, stawia na promocję kobiet, ale i na doświadczenie. Przez ostatnie 8 lat Marianne Pohl-Henzen była asystentką poprzednich wikariuszy; jak mało kto w diecezji zna urząd i problemy, jakie na nią czekają. ©P EDWARD AUGUSTYN

Koniec „mentoli”, polskiej specjności

CZARNE CHMURY zbierały się nad papierosami mentolowymi od lat. Już dekadę temu czytaliśmy w prasie nagłówki w rodzaju „zamach na polski tytoń” i „chcą nas puścić z dymem”. A jednak – stojąc dziś w kolejce do kas albo sprawdzając najczęstsze wyszukiwania w internecie można odnieść wrażenie, że kres „mentoli” (od 20 maja obowiązuje zakaz ich sprzedaży) spadł na nas bardziej niespodziewanie niż koronawirus.

Dzięki orzeźwiającemu smakowi i właściwościom znieczulającym mentol zmniejsza nieprzyjemne doznania związane z paleniem. Solidne, wieloaspektowe badania pokazują, że mentolowe papierosy zwiększają ilość wdychanego dymu i przyjmowane dawki nikotyny, a także maskują wczesne objawy chorób układu oddechowego, zmniejszając motywację do rzucenia palenia. Papierosy mentolowe są często wybierane przez „początkujących” palaczy, kobiety i osoby młode. Właśnie dlatego „mentole” znalazły się na celowniku Światowej Organizacji Zdrowia, amerykańskiej Agencji Żywności i Leków oraz Unii Europejskiej.

Polska od początku była przeciwna zakazowi. W 2014 r. nasz minister gospodarki oraz przedstawicielka branży tytoniowej sugerowali nawet w Brukseli, że „mentole” powinny być traktowane jak wyroby tradycyjne. Nie tylko chętnie je paliliśmy – nasz kraj był też wiodącym producentem gotowych papierosów i tytoniu Burley, wymagającej odmiany dobrze pochłaniającej aromaty.

Ograniczenia sprzedaży papierosów smakowych wprowadzane w wielu krajach przyniosły różne skutki. Zwykle nieco zmniejszyła się liczba palaczy, ale niektorzy szukali legalnych i nielegalnych alternatyw. Widać też imponującą kreatywność branży tytoniowej, która nie tylko umiała zaproponować palaczom szeroki wachlarz produktów zastępczych, lecz także przedstawić zakaz wyłącznie jako ograniczanie wolności.

Czy naukowcy i regulatorzy mają równie dobry pomysł, jak opowiedzieć tę historię po swoim? Ograniczenie sprzedaży papierosów mentolowych to nie kaprys, lecz przemyślany ruch oparty na solidnych przesłankach naukowych. Ale nawet najlepsza polityka oparta na dowodach nie zadziała, jeżeli zabraknie dobrej komunikacji. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI

KULTURA W SKRÓCIE

KRÓTKI FLIRT

Odnaleziono niepublikowane opowiadanie włoskiego pisarza i dziennikarza Itala Calvina.

Utwór zatytułowany „Flirt prima di battersi” (Flirt przed walką) pochodzi z 1946 r. – okresu, w którym powstawała jego pierwsza powieść „Ścieżka pajęczych gniazd”. Całość przedrukował w weekendowym dodatku kulturalnym dziennik „La Repubblica”.



KALA KIEBASZKA / FB KWIAT JABŁONI

MAŁE ZBRODNI

W łodzi powstał 1* Teatr Online. Codziennie o godz. 20 w płatnym streamingu (cena biletów od 5 do 20 zł) prezentowane są spektakle na żywo oraz koncerty. Wśród propozycji są „Małe zbrodnie małżeńskie” Érica-Emmanuela Schmitta z udziałem Beaty Kawki i Mirosława Zbrojewicza. W piątek 29 maja zagra natomiast zespół Kwiat Jabłoni (na zdjęciu).

WIELKA IMPROWIZACJA

W środę 27 maja na kanale YouTube Teatru Narodowego będzie można obejrzeć „Dziady” Adama Mickiewicza w reżyserii zmarłego dwa lata temu wybitnego litewskiego twórcy Eimuntas Nekrošiusa. „Od czasu »Dziadów« – dwunastu improwizacji» Jerzego Grzegorzewskiego nie było równie precyzyjnie skonstruowanego przedstawienia dramatu Mickiewicza. I równej troski o emancypację widza» – pisał po spektaklu na łamach „Tygodnika” Zbigniew Majchrowski (powszech.net/dziady).

Teatry i kina: miejsca tylko w co drugim rządzie



MONIKA OCHĘDOWSKA

ZGODNIE Z MINISTERIALNYM HARMONOGRAMEM Teatry wznowiły próby do spektakli, a w studiach nagrań i na planach filmowych rejestrowane są nowe materiały. Nie obyło się bez problemów – wymuszona epidemia przerwa doprowadziła do zerwania wielu umów i kontraktów. Teoretycznie otwarto także muzea i galerie, jednak w praktyce długo nie wybierzemy się na żaden wernisaż, niektóre wystawy pozostają zaś nieczynne choćby ze względu na szkodliwe działanie płynów dezynfekujących na ekspozycje.

Rząd chce, by także kina i teatry ruszyły przed wakacjami – właśnie zapadają decyzje dotyczące obostrzeń sanitarnych. Jeśli zdecydujemy się na model czeski (wizytowice mogą zajmować co drugi rząd, nie wolno im zabrać na seans popcornu i coli), otwarcie kin może okazać się nieopłacalne. Jeszcze trudniej mają teatry – specyfika działań poszczególnych grup artystycznych powoduje, że nie ma możliwości objęcia ich jednolitymi zaleceniami. Dotychczasowe rekomendacje, opracowane bez uwzględnienia większości uwag zaproponowanych przez praktyków, są na tyle nieprecyzyjne, że ministerstwo kultury po rozstrzygnięciu odsyła do inspektoratów sanitarnych.

Tymczasem ostatni deszczowy weekend pomógł zadebiutować kinom samochodowym – na parkingach przed ekranami zaparkowały setki aut. ©

Powstało „oko cyborga”

TYPOWYM ELEMENTEM ROBOTÓW w filmach science fiction są sztuczne oczy. W rzeczywistości są one udoskonalane w celach przywrócenia wzroku u osób niewidomych. Od lat największym wyzwaniem dla naukowców jest odtworzenie okrągłego kształtu siatkówki (miejsca, gdzie powstaje pierwotny obraz). Grupa badaczy z uniwersytetu w Hongkongu opracowała właśnie prototyp podobnej do ludzkiej, wklęsłej „siatkówki”, zbudowanej z fotoreceptorów zanurzonych w półkulistej skorupie. Powstaje na nich obraz, który jest dalej przesyłany za pomocą przewodów naśladujących funkcję włókien nerwowych. Sztuczna siatkówka umocowana jest w polimerze silikonowym, pełniącym funkcję pośrednika pomiędzy receptorami a złączami odchodzącymi.

Nowe bioniczne oko ma imponujące właściwości: wykrywa światło o różnej intensywności, również tak słabe, jakie umie zarejestrować ludzkie oko dopiero po długiej akomodacji w ciemności. Może też szybciej reagować niż nasze oczy. Przewiduje się także, że przyszłe wersje będą mogły osiągnąć niespotykaną w naturze rozdzielczość. © MICHAŁ ŚWIĄTEK



NARODZINY MATKI

Połów to początek. Spotkanie z nową ja: ciałem i jego fizjologią, psychiką, tożsamością. O trudach tego stanu mówi się mało, jakby były dla kobiet źródłem wstydu.

TEKST KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

ZPUNKTU WIDZENIA ŚWIATA PORÓD jest finałem: słodkim spotkaniem z dzieckiem po miesiącach oczekiwania, falą miłości napędzaną wyrzutem oksytocyny, końcem tego, co najtrudniejsze. Od pierwszych dni z dzieckiem w domu oczekuje się nieskrępowanej radości. Plusze i sterylna czystość, wypoczęta, uśmiechnięta mama, ciało w tydzień doprowadzone do figury modelki.

Ale jest inaczej. Dla kobiety poród to dopiero początek, we wszystkich znaczeniach tego słowa. To, co następuje, jest ciągiem zaskoczeń. Problem w tym, że z jakiegoś powodu o tym nie mówimy, także wśród kobiet. Tak jakby połów – podobnie jak miesiączka – był tabu.

Zbite naczynie

Marta: – Z pierwszych godzin pamiętam nagłą pustkę. Samotność po tym, jak skończyło się spotkanie „skóra do skóry” i przewieziono mnie do cichej sali poporodowej. Zaskoczenie własnym ciałem: obolałym, słabym, zdeformowanym. Z budzącym wstręt, miękkim brzuchem wielkości piłki, w którym – daję słowo – wciąż odczuwałam ruchy dziecka. I to dziwne przekonanie, że z nosicielki życia, doglądanej i zaopiekowanej, staję się zbitym naczyniem, które spełniło zadanie i zostaje odstawione na półkę.

– Potem była toaleta – opowiada dalej Marta. – Z trudem do niej dokużykałam. Usiadłam na muszli, skamieniałam. Poczułam strach, że puszczą szwy, że wypadną ze mnie narządy. Weszła pielęgniarka, mówię jej, że mam problem.

Zapytała, dlaczego. Poczułam wstyd; „panikujesz”, pomyślałam. Gdy wyszła, płakałam.

Agnieszka: – Po urodzeniu 4,5-kilogramowego syna cierpiałam. Bolało mnie całe ciało: nie mogłam stać, siedzieć, leżeć. Straciłam dużo krwi, przetoczono mi trzy jednostki. Biorąc prysznic, dreptałam w miejscu, bo wydawało mi się, że tak będzie mniej bolało.

– Syn był upragniony, wyczekiwany, spodziewałam się filmowego „po porodzie położyć ci dziecko na brzuchu i zapominasz o bólu” – dodaje. – A mnie fala miłości nie zalała od razu. Po powrocie do domu wpadłam w przerażenie: nie miałam mleka, nie wiedziałam, jak sobie radzić z małym. Wyrzucałam sobie, że jestem najgorszą matką, a gdy płakał, płakałam razem z nim.

Zmęczenie i ból

Ta reklama środków higienicznych dla kobiet w połogu miała pojawić się w amerykańskiej telewizji podczas tegorocznej gali Oscarów. Młoda matka z poporodowym brzuchem wstaje w nocy do płaczącego dziecka. Porusza się z trudem, widzimy ją w toalecie, w bólu. „W tej reklamie nie ma przemocy, polityki, nie ma podłoża seksualnego. To po prostu młoda mama w domu ze swoim dzieckiem, i po raz pierwszy ze swoim nowym ciałem” – informuje producent środków. Reklamę odrzucono. Nie pasowała do estetyki czerwonego dywanu.

Cóż, kiedy połów taki właśnie jest. Nie-instagramowy. Jest krew. Bolały rany kro-

cza lub brzucha (w przypadku cięcia cesarskiego), ból skurcze macicy, które nasilają się podczas karmienia piersią. Bolały piersi. Problemem może być każda wizyta w toalecie.

Nie ma dużych, ogólnopolskich badań dotyczących połogu. Są mniejsze, prowadzone regionalnie. Z jednego z nich wynika, że problem bólu połogowego dotyczy 82 proc. kobiet. Prawie połowa badanych jako przyczynę wskazała nacięcie i zszycie krocza. Wśród najczęstszych dolegliwości kobiety wymieniają też dyskomfort spowodowany raną (70 proc.), problemy z laktacją (30 proc.) i karmieniem noworodka (13 proc.), a także pogorszenie samopoczucia (26 proc.). Ból i zwiększone krwawienie są powodem paniki i strachu (takiego zdania jest niemal 45 proc. badanych położnych).

Hustawkę nastrojów, wywołaną zmianami hormonalnymi, potęguje zmęczenie. Bo przecież pierwsze tygodnie z dzieckiem to również nieunormowany rytm dnia i nocy oraz wiążące się z tym deficyty snu. Ale złe samopoczucie kobiety w połogu – potocznie zwane baby bluesem – może pójść o wiele dalej. Może rozwinąć się w depresję poporodową.

Z cytowanego wyżej badania wynika, że zdecydowana większość położnic rzadko prosi o pomoc, gdy ich stan emocjonalny się pogarsza.

Czarna otchłań

Maria: – *Baby blues* uderzył z taką siłą, że do tej pory wzdrygam się na myśl o początkach z pierwotnym. Syn ciągle ↪

→ płakał, walczyłam o karmienie. Ale najtrudniej było, gdy mama zapytała, czy pojawiło się już we mnie to niesamowite uczucie, że oddałabym za dziecko życie. Poczułam ogromne poczucie winy. Nie czerpałam radości z macierzyństwa przez dobrych kilka miesięcy.

Ksenia: – Nie mam żadnych dobrych wspomnień związanych z synem z pierwszych miesięcy jego życia: pamiętam tylko smutek, frustrację, żal i mnóstwo łez. Nie odzywałam się do niego wcale – wykonywałam niezbędne czynności mechanicznie, beznamiętnie. Czarną otchłań baby bluesa opuściłam dopiero po pół roku. Nie byłam świadoma, że dziecko będzie aż taką rewolucją i wyzwaniem.

Małgorzata Frej, pediatra, twórczyni facebookowej grupy wsparcia dla kobiet w ciąży, porożu i wczesnym macierzyństwie „Czułe matki”: – Gdy zaszłam w ciążę, miałam niedoleczoną depresję. Po narodzinach córki ta depresja się pogłębiła, pojawiły się objawy nerwicy natręctw. Porożem byłam zaskoczona – a przecież wcześniej wydawało mi się, że jako lekarka poradzę sobie znakomicie. Wiedziałam, jak opiekować się noworodkiem, bo pracowałam na neonatologii. Ale nikt nie przygotował mnie na fizyczne, a szczególnie psychiczne aspekty porożu.

– Nie wiedziałam np., że w porożu mogą pojawić się myśli o skrzywdzeniu swojego dziecka – mówi doktor Frej. – Spotyka to prawie połowę rodziców. Sytuacja, w której wyobrażam sobie, że stoję na przejściu dla pieszych, zaciskam palce na rączce wózka. Sygnalizator wskazuje czerwone, a ja myślę tylko o jednym: co by było, gdybym pchnęła wózek. Albo idę wzdłuż rzeki i zastanawiam się: co by było, gdyby stoczył się w dół. Albo że noc w noc śnię o tym, że zgubiłam dziecko. Dziś już wiem, że nie ma dowodów na to, że takie fantazje prowadzą do czynów. Pokazują to badania nad intruzyjnymi myślami czy rumiacjami u kobiet w okresie po porodzie. Podobno myśli te mają utwierdzić kobietę w przekonaniu, że jej zadaniem jest opieka nad dzieckiem i dbanie, by ono przeżyło. Ale dla niej są wstydlive, przerażające. Zastanawia się, czy na pewno jest dobrą matką. Czy wszystko z nią OK. Dopóki nie przegada tego z innymi kobietami, naprawdę cierpi.

– Jakiś czas po porodzie wróciłam do pracy – jeszcze wtedy jako młoda lekarka

na oddziale ginekologii i położnictwa. Byłam tam świadkiem paru dramatycznych zdarzeń, ze śmiercią dzieci włącznie. W końcu się załamalam. Wróciły objawy nerwicy, wpadłam w głęboką depresję, musiałam przerwać pracę. Okazało się, że jednym z powodów była niedoleczona depresja z czasu porożu. I znów się dziwiłam: dlaczego nikt mi nie powiedział, że tak może być? – opowiada Małgorzata Frej.

Tego nie było w książkach

Polski standard opieki okołoporodowej (z 2019 r.) mówi o edukacji w zakresie porożu. Za jej prowadzenie odpowiada położna w ramach spotkań indywidualnych lub grupowych. Ramowy program obejmuje m.in. psychologiczne aspekty tego okresu, karmienie piersią i opiekę nad dzieckiem, powrót płodności.

Wiele przyszłych matek nie wie, że w świetle tego standardu przysługuje im opieka położnej już po 21. tygodniu ciąży, a także, że ta opieka obejmuje edukację. Powinny się tego dowiedzieć od swojego lekarza, ale w praktyce nie zdarza się to często. Zresztą część młodych matek podkreśla, że mimo ukończenia kursu nie było świadomych tego, co je czeka.

Pola: – O porożu wiedziałam tyle, ile sama przeczytałam. Nieco informacji zebrałam w szkole rodzenia, ale zdecydowanie za mało. Poza tym byłam przerażona wizją bolesnego porożu – nie przejmowałam się tym, co będzie później. Poród faktycznie był ciężki, ale nie spodziewałam się, że to, co nastąpi, będzie gorsze: że trudno będzie siadać, że będą problemy z wypróżnieniem. A przecież zaraz po porodzie trzeba się przede wszystkim zajmować dzieckiem.

Joanna: – Przed pierwszą ciążą czytałam mnóstwo książek. Po porodzie byłam zła: tego nie było w żadnej z nich! Pamiętam, jak dzwoniłam czerwonym dzwonkiem przy łóżku na widok skrzepów na podpasce. Dziwiłam się, że duży brzuch utrzymuje się tak długo. Nie wiedziałam, że karmienie boli. W końcu rozłożyłam się na mamę, która o seksie rozmawiała ze mną ochoczo, ale o tym, co po porodzie, słowem nie wspomniała.

W środowisku naukowym dostrzega się problem braku doinformowania kobiet. – Staramy się to zmienić. Przejawem jest nowa formuła standardu opieki okołoporodowej, a także wydawana ostatnio

literatura – mówi dr hab. Grażyna Iwanowicz-Palus, konsultantka krajowa w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologicznego i położniczego, współredaktorka wydanej właśnie „Edukacji przedporodowej”, podręcznika dla położnych, którego sporą część poświęcono porożowi.

Joanna Pietrusiewicz, prezeska fundacji Rodzić po Ludzku, zauważa, że czynnikiem uniemożliwiającym rozmowę o porożu podczas kursu przedporodowego jest strach rodziców. – Prowadziłam zajęcia w szkole rodzenia. Porożowi poświęcałam dwa duże bloki, w moim odczuciu dużo. Odnosiłam wrażenie, że gdy mówiłam „poród to nie wszystko, prawdziwe wyzwanie przyjdzie później”, moje słowa wpadały jednym uchem, a drugim wypadały. Poród jest tak dużą figurą, że zabiera przestrzeń innym tematom – mówi Pietrusiewicz.

Proteza troski

Wspomniany już standard opieki okołoporodowej zapewnia pomoc matce i dziecku, gros jego uwagi skupia się jednak na dziecku. Mowa m.in. o dwugodzinnej, niezakłóconym kontakcie „skóra do skóry”, gdy dziecko, położone na piersi mamy, ma możliwość uspokojenia się, a na jego skórze kolonizuje się niezbędna flora bakteryjna. Bez zdjęcia dziecka personel może wykonać ocenę w skali Apgar, a po upływie dwóch godzin pozostałe pomiary. To personel ma też poświęcić czas na oswojenie matki i dziecka z tematem karmienia: pokazać techniki, skorygować ewentualne błędy, a jeśli konieczne jest dokarmianie mlekiem modyfikowanym, to tylko na skutek zalecenia lekarza lub na prośbę mamy.

Z danych NFZ wynika, że w 2019 r. z opieki 6,3 tys. położnych podstawowej opieki zdrowotnej skorzystało ponad 1,5 mln kobiet. Porożna – oprócz tego, że pomaga w przygotowaniu do porożu – pojawia się w domu pacjentki w ciągu 48 godzin od momentu zgłoszenia narodzin. Powinna odwiedzić położnicę minimum cztery razy, pomagając w pierwszych czynnościach wokół dziecka. Ma sprawdzać, jaka jest relacja dziecka z rodziną, i jak w nowej roli radzi sobie młoda mama. Ma również zatroszczyć się o nią samą: sprawdzić, czy rany goją się prawidłowo, a także – czy istnieje jakiekolwiek zagrożenie depresją poporodową. Jeśli ma takie podejrzenie, powinna skierować

rować kobietę na badania w kierunku jej wykrzycia.

– Tworzone przez nas prawo to zaledwie proteza dla prawdziwych potrzeb. A te nie są zaspokajane, bo zatraciliśmy troskę o kobietę, która znajduje się w położu – zauważa Joanna Pietrusiewicz. – W wielu kulturach połów to czas wzmożonej opieki. Kobiety z najbliższego otoczenia przychodzą nie tylko po to, by zobaczyć dziecko, lecz by zaopiekować się położnicą, zadbać o nią: wymasować, natrzeć olejkami, nakarmić. U nas rytuał położowy jest zupełnie inny: przynosi się prezenty dla dziecka. Kobieta znika z horyzontu, liczy się tylko ono.

A przecież mówi się, że do wychowania dziecka potrzebna jest cała wioska.

Świat kobiet

Znał to dawny polski obyczaj. Etnolożka Kinga Kędziora-Palińska, mama 6-letniego Kacperka, przez ponad dwa lata prowadziła badania nad porodami, położem i akuszerkami w powiecie sandomierskim i opatowskim.

– Jeszcze na początku XX w. porody odbywały się w domach, ale nierzadko też podczas pracy w polu. Do końca ciąży kobiety nie oszczędzały się, moje rozmówczynie wspominały więc o porodach „w burakach” czy w stajni. Czas rozwiązania był dla kobiety momentem, w którym oddawała los swój i dziecka w ręce innej kobiety – do porodu wzywano „babkę” (która miała praktykę w odbieraniu porodów) lub akuszerkę (dyplomowaną, posiadającą wykształcenie). Przy porodzie często asystowały siostry, matka czy sąsiadki. Był to świat, do którego nie wpuszczano mężczyzn. Kobiety relacjonowały, że dobra akuszerka wiedziała, jak ugnieść brzuch, by ułożyć dziecko do porodu – opowiada Kędziora-Palińska.

Akuszerki cieszyły się ogromnym szacunkiem i zaufaniem. Do tego stopnia, że – jak mówi etnolożka – jeszcze w latach 50. ciężarne wołały skorzystać z pomocy kobiety, która „miała doświadczenie, nie to, co doktor ze szpitala”. Oprócz tego, że odbierała poród, akuszerka doglądała stanu zdrowia położnicy jeszcze kilka dni po rozwiązaniu. Sam połów trwał około miesiąca i kończył się obrzędem wywodu. „Jak wydobrzała”, kobieta jechała do kościoła. Czekała w przedsionku z dzieckiem na rękach i zapaloną świecą (zazwyczaj gromnicą), ksiądz wychodził po nią i wprowadzał do środka. Wywód

Problem położu to problem całej kultury:

tęgo, jak myślimy o kobiecie,
o jej ciąży i porodzie,
o szacunku, uwadze i opiece,
którą otrzymuje.

był bardzo ważnym obrzędem przejścia i momentem „powrotu” kobiety do normalnego trybu życia.

Współczesne kobiety mieszkają z dala od swoich domów rodzinnych: od babć, matek, siostr dzielą je czasem tysiące kilometrów. Inna sprawa, że położnice same rzadko proszą o pomoc. W nowej roli – matki, żony, gospodyni – chcą wypaść jak najlepiej.

Bez oceniania

Polka: – Nie wiem, dlaczego sobie to robiłam. Wszystko chciałam robić sama, byłam w tym strasznie uparta. I o ile z pomocą męża nie miałam problemu, o tyle prosić o coś teściową, która przecież mieszka tak blisko, nie chciałam.

Joanna: – Każda pomoc udzielana w tym czasie przez położną, doułę, męża, rodzinę czy znajomych jest na wagę złota. To, że ktoś ugotuje ci obiad, posprząta albo przez wiele godzin będzie słuchał, jak opowiadasz tę samą historię własnego porodu, jest najcenniejsze. Chcesz poczuć się zaopiekowana, wysłuchana, a nie pozostawiona sama sobie, co często się dzieje w przypadku pierworódki.

Katarzyna: – Mój połów był jedną wielką samotnością. Izolacją od otoczenia. Doświadczeniem słabości i braku. To wszystko – w połączeniu z silnym doświadczeniem własnego ciała (raczej jego kruchości niż mocy) miało na mnie destrukcyjny wpływ. Ze zdwojoną siłą odczuwała się też nieobecność matki w moim życiu przez ostatnie kilkanaście lat. Uratowały mnie spotkania z kobietami z internetowych grup dla matek.

Małgorzata Frej: – Moje własne doświadczenia sprawiły, że nie mogłam się dzieć bezczynnie. Chciałam mówić o położu, chciałam, by dziewczyny wiedziały, czego mogą oczekiwać. Podejście do tego tematu musi się zmienić, bo obecny stan prowadzi do cierpienia. Z tego wszystkiego wzięły się „Czułe matki”. W naszej

grupie są młode kobiety na różnym etapie macierzyństwa: ciężarne, w położu, z kilkuletnimi dziećmi. Mieszkające w Polsce i na emigracji – paradoksalnie z podobnym doświadczeniem, bo zwykle z dala od swoich rodzin. O wszystkim mogą powiedzieć, o wszystkim zapytać, a reszta odpowiada, i to bez oceniania. Podkreśliłam to w zasadach przyjęcia do grupy. Bo najgorszą rzeczą, jaką młoda matka może usłyszeć, to porównywanie jej z inną. Albo pytanie, dlaczego nie zrobiła czegoś lepiej.

To porównywanie i ocenianie nie nadchodzi wyłącznie z zewnątrz. Lektura forów internetowych pokazuje, jaką presję matki wywierają na siebie nawzajem. Jednym z najbardziej newralgicznych tematów jest karmienie piersią. Uznawane za najlepszą, najzdrowszą opcję, nie uznaje kompromisów. Kobiety, którym nie udało się „rozkręcić laktacji”, czują się gorsze od reszty.

Aldona: – Mój pierwszy syn nie chciał się karmić piersią. Próby trwały tygodniami, łącznie z odciąganiem mleka. Czułam się okropnie, obwinałam się. Dziś wiem, że nałożyłam na siebie ogromną presję. Nie mówiąc już o presji otoczenia.

Małgorzata Frej: – Gdy pracowałam w klinice, spotykałam matki, które przychodziły z nawracającymi ropniami piersi. Kilkakrotnie odciągano je igłą, a mimo to nadal karmiły. Wreszcie powiedziałam którejś, że jeśli nie chce, nie musi już tego robić. Pamiętam, że wybuchnęła płaczem. Wydaje mi się, że były to łzy ulgi.

Czas czułości, czas czytania

Są kobiety, które przechodzą połów łagodnie. Pomaga wsparcie otoczenia.

Agata: – Mam wokół siebie kilkanaście kobiet, matek z tej samej miejscowości. Najskuteczniejsza forma wsparcia to po prostu obecność: jesteśmy dla siebie nawzajem, widujemy się, piszemy do siebie, dzwoniemy, żeby się wygadać albo po prostu usłyszeć. Mam poczucie, że nie jestem sama. Żeby jednak otworzyć się na tak intensywną obecność kobiet w moim życiu, musiałam najpierw otworzyć się na siebie jako kobietę. To był proces, który zaczął się długo przed ciążą, znaczonej masą łez, złości i strachu, kiedy docierałam do zranień z dzieciństwa i okresu dojrzewania, kiedy uświadamiałam sobie, jak nie akceptuję swojego ciała, swojej płci. Na

→ koniec, mogę to powiedzieć, pokochałam siebie, ciało odwdzięczyło się cudownym porodem i położeniem, a w moim życiu zawitały sąsiadki, koleżanki, przyjaciółki.

Karolina: – Połogu niemal nie odczułam. Piątego dnia po porodzie wyszłam na spacer, a kolejne pięć dni później chodziłam po szlaku nad Dunajcem. Ostatni dzień położu spędziłam, tańcząc na weselu koleżanki.

Ola: – Był ciepły październik. Gdy po tygodniu od cesarskiego cięcia przestało boleć, zaczął się czas ze słodkim maluszką, który jadł i spał, a ja oglądałam filmy, czytałam książki, chodziłam na spacer. Mąż robił śniadanie do łóżka, wszystko działało się niemal książkowo.

Joanna: – Rodziłam przez cesarskie cięcie. Wiedziałam, że muszę się oszczędzać. Przed porodem nie miałam „instagramowych” wizji macierzyństwa, dużo rozmawiałam z przyjaciółkami, w efekcie szykowałam się jak na wojnę. Zrobiliśmy z mężem przezebrowanie, by było wygodniej. Mroziliśmy jedzenie, zresztą dogadałam się z rodziną i przez cały połóg mieliśmy wsparcie obiadowe. Sprzątał mąż, a czasem moja mama. Mała miała kolki, więc głównie leżałam albo siedziałam w fotelu i przytulałam ją. W sumie dobrze ten czas wspominam: czas kawy w termosie i czytania przez cały dzień.

Magdalena: – Przerastało mnie tylko to, co działo się z moim ciałem: nocne poty, spuchnięte nogi, siatkowa bielizna, kapusta w staniku na obrętek piersi i ten ból w kości ogonowej. Za to emocjonalnie – rewelacja, zew miłości. Początkowe spięcia z mężem szybko wyprostowaliśmy. Wspominam pierwsze tygodnie jako czas usypiania małej przy kołędach i choince.

Męska oksycytyna

Terminem zespołu kuwady określa się w antropologii występowanie u mężczyzny psychofizycznych objawów ciąży. Ojciec dziecka nie musi więc być biernym uczestnikiem całego procesu. Przeżywa także połóg.

Michał, ojciec trzech synów: – Przed pierwszym porodem byliśmy zagubieni wśród ciążowych poradników, a termin „połóg” kojarzył mi się jednoznacznie: jako czas, w którym nie można się kochać (teraz już wiem, że form okazywania sobie czułości i bliskości jest mnóstwo). Narodziny drugiego dziecka wiele nie zmieniły, dopiero później okazało

się, że to właśnie był impuls rozwojowy dla naszego związku. Przeszliśmy kryzys, wyszliśmy z niego i do ostatniego porodu podeszliśmy z zaufaniem i łagodnością. Trzeci syn urodził się w domu, z położną, którą zaprosiliśmy, bez pęknięć i zranień. Parę dni wcześniej nastawiłem wielki gar rosółu: gotował się długo, a zapach roznosił się wszędzie. Mocny, esencjonalny, mam wrażenie, że bardzo żonę wzmacniał.

– Ten trzeci połóg to był błogosławiony stan – opowiada Michał. – Wziąłem urlop ojcowski, przyjaciele nam doradzili: dajcie sobie czas, nie zapraszajcie nikogo. Starsze dzieci chodziły do szkoły, ja po zakupy, młody spał. Delektowaliśmy się tymi dniami. A potem nosiłem synka w chuście. Trudno opisać tę falę miłości, która przychodziła, gdy zasypiał na mojej piersi. Później znajoma psycholożka powiedziała mi, że oksycytyna wydziela się po porodzie także u mężczyzn.

Szkoła położowa

Co zrobić, by połóg mógł cieszyć nie tylko rodziców nauczonych poprzednimi doświadczeniami? Jak powinna wyglądać idealna opieka nad położnicą?

– Szkoła rodzenia powinna przestać skupiać się na porodzie i stać się dłuższym kursem – odpowiada Joanna Pietrusiewicz. – Tak, żeby oferowała edukację w zakresie opieki nad kobietą w położu i noworodkiem, a także wsparcie psychologa.

– Należałoby zwiększyć świadomość kobiet, że zgodnie z nowymi zasadami mają prawo do opieki położnej nie tylko po porodzie, lecz w czasie całego okresu ciąży, z trzykrotnym udziałem lekarza ginekologa jako konsultanta – uważa dr hab. Grażyna Iwanowicz-Palus.

Małgorzata Frej ma inny pomysł: – Kluczowe jest wsparcie innej kobiety. Dlatego sądzę, że świetnym rozwiązaniem byłby wybór jednej położnej, która będzie zajmowała się nami w czasie ciąży i położu, a idealnie – także podczas porodu. Do domu po porodzie powinna przychodzić przez sześć tygodni – cztery wizyty to zdecydowanie za mało. Położna powinna dbać nie tylko o fizyczne samopoczucie matki, lecz także alarmować, gdy widzi niepokojące sygnały w jej zdrowiu psychicznym.

Nawet jeśli te zmiany nastąpią, zostanie wątpliwość: czy to wystarczy? Może zmiana, która powinna nastąpić, musi dotknąć naszej kultury: tego, jak myślimy o kobiecie, o jej ciąży i porodzie, o szcunku, uwadze i opiece, którą otrzymuje?

Zmiany muszą też zająć w nas, młodych matkach. Tak, by od zaskoczenia i lęku pierwszych dni po porodzie można było przejść do zachwyty – nad dzieckiem, nad własnym ciałem. Nad nową, dzielną sobą.

©© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.



Naczynia połączone

MARLENA TRĄBIŃSKA-HADUCH, PSYCHOLOŻKA:

Połóg to intymne spotkanie między mamą a dzieckiem, coś, co w żadnej innej relacji się nie powtórzy. W tym spotkaniu nieodzowny jest też element samotności.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Prawda, że słowo macierzyństwo brzmi cieplej niż połóg?

MARLENA TRĄBIŃSKA-HADUCH: Położnica też nie brzmi najlepiej, choć jest rzeczownikiem określającym kobietę w połogu. Kobiety nie lubią tego słowa. Ale ono ma uzasadnienie: pokrewny czasownik to „położyć”, inaczej „polegiwać”, kobieta w połogu ma odpoczywać, ma być otoczona osobami, które będą jej pomagać także w tym, by wypełniała rolę matki. Jednocześnie kobieta nie może zapomnieć o sobie: ciąża i poród to dla organizmu ogromny wysiłek, porównywalny do wysiłku robotnika, który przeczcił trzy tony węgla.

Czym jest sam połóg?

To czas sześciu tygodni cofania się zmian, które zaszły w ciele podczas ciąży i porodu. Czas rewolucji: obkurcza się macica, następują zmiany hormonalne, a oksytocyna, która wcześniej pomagała urodzić, teraz wspiera laktację i budowanie więzi z dzieckiem.

Pani mówi, że w połogu kobieta powinna odpoczywać, a jest inaczej: to czas wzmożonej aktywności.

Jest społeczne oczekiwanie, że w momencie, gdy kobieta stanie się matką, od razu będzie umiała odczytać sygnały, które wysyła dziecko. A tu trzeba czasu. Matka uczy się własnego dziecka, to raz. A dwa, kobieta często sama stawia sobie wysokie poprzeczki: że i dom posprząta, i obiad ugotuje, i kolację poda, i na deser jeszcze będzie dobrze wyglądać.

Samowystarczalności ponad ludzką miarę uczona jest od dziecka.

Gdy mieszkaliśmy w rodzinach wielopokoleniowych, to blisko były babcia, mama, ciocia, która dziecko lulała i tuliła, a w tym czasie położnica mogła spokojnie zjeść i umyć się. Po II wojnie świa-

towej, gdy wskutek migracji domy wielopokoleniowe przestały istnieć i przerwano pokoleniową ciągłość, kobieta zwykle jest z dzieckiem sama. Poza wszystkim nie zawsze ma na tyle dobre relacje z własną matką, by zaprosić ją do domu.

Woli nie słyszeć tuzina porad.

Wszyscy mamy skłonność do tego, aby sobie wyobrażać, co dla drugiej osoby byłoby najlepsze, szczególnie gdy sami przeżyliśmy podobną sytuację. Tylko wtedy znika nam z oczu ta młoda mama i zostaje wizja tego, co trzeba zrobić, by wypełnić wizję „ideału”, który mamy w głowie. A ideały nie istnieją, istnieje różnorodność. Zresztą przez to, że dzieci są różne, mają odmienne temperamenty i osobowości, a kobiety mają rozmaite możliwości, uczymy się inności. Dostosowanie się bliskich do tej różnorodności, pozwolenie młodej matce samej odkryć to, jaka jest i czego potrzebuje, to najlepsze, co może ją spotkać w okresie połogu.

A czym jest połóg dla samych rodziców?

To czas nauki: rezygnacji z bycia we dwoje na rzecz bycia we troje. Wcześniej para dostosowywała się wyłącznie do siebie, a teraz jest ktoś trzeci, kto nadaje nowy rytm temu, co się dzieje: kiedy wychodzimy, kiedy jemy i śpimy.

Czy w ogóle śpimy.

Słowem, trzeba uporządkować chaos. Ustalić na nowo, kto robi zakupy, a kto odkurza: stary podział zadań przestaje obowiązywać. Dlatego urlopy dwutygodniowe, które biorą mężczyźni po urodzeniu się dziecka, są istotne dla całej rodziny. Wszyscy mogą doświadczyć, jak to nowe doświadczenie bywa skomplikowane. Do mężczyzny może dotrzeć, że kobieta nie jest na „urlopie” macierzyńskim, tylko na pełnym etacie. Etacie, który nie

ma nic wspólnego z tym, czego wcześniej doświadczali, i niewiele z tym, co sobie wyobrażali.

A przełom psychiczny? W połogu chyba odbywa się coś na kształt przejścia: kobieta umiera w swoim starym wcieleniu i rodzi się w nowym. Przede wszystkim żegna się z najbardziej egoistyczną częścią siebie. Od tego momentu na pierwszym planie będzie dziecko.

Mówi się, że narodziny dziecka to moment spotykania się życia ze śmiercią. Nawet w porodzie jest tzw. moment kryzysu ósmego centymetra – część kobiet przeżywa go jako śmierć. Mówią: „Ten ból jest tak duży, że mnie zabije”, dla nich to graniczne doświadczenie. Ono nie trwa długo, za chwilę robi się pełne rozwarcie i rodzi się człowiek. A wtedy rzeczywistość musimy się pożegnać z nami samymi sprzed narodzin dziecka. Przestaję być wyłącznie Marleną, żoną, córką, pracownicą, koleżanką, przyjaciółką, i rodzę się w nowym wcieleniu: jako matka. W tym momencie rodzi się też moja matka jako babcia. I, pokoleniowo, przesuwają się w stronę śmierci.

Niektóre babcie rywalizują z młodymi matkami.

Bo nie chcą stracić dotychczasowej pozycji. Dochodzi element zazdrości, a nawet zawiści. Poczućia utraty wpływu na swoje dziecko i konieczności pogodzenia się z tym, że zrównało się ze mną w roli matki. Istnieje też wielka potrzeba uchronienia dziecka przed naszymi błędami. Tak jakbyśmy nie dostrzegali, że nasze dzieci nie są nami. Mamy na nie wpływ, ale pozwólmy im mieć swój rozum.

Zastanowiła mnie ta zawiść.

To jeszcze powiem kilka słów o zazdrości: to uczucie, na które nie mamy społecznego przyzwolenia, a jest ważne, bo wysyła sygnał, że czegoś nam brakuje, że czegoś nie mieliśmy lub mieć nie możemy, a czego bardzo pragniemy. Zazdrość przechodzi w zawiść, gdy zaczyna w tym górować pierwiastek agresywny. Często odbywa się to na nieuświadomionym poziomie, kobiety nie myślą przecież: „O, to ja teraz dopiekę i sprawię przykrość, np. skoro ja nie mogłam karmić piersią, to będę jej mówić, że nie powinna tyle karmić”. Albo rewers tej →

→ sytuacji: kobiety, które z jakichś powodów nie mogą karmić piersią, są wpędzane w poczucie winy przez te, które kiedyś miały mnóstwo pokarmu. Złych rzeczy kobiety doświadczają od innych kobiet. Zamiast się wspierać, krzywdzimy się i obdarowujemy niezrozumieniem.

Trudno się dziwić, że kobiety czują się osamotnione i opuszczone w nowomacierzyńskich przeżyciach.

Nie zawsze kobieta po narodzeniu dziecka wybucha dobrymi emocjami. Może przeżywać też smutek, przygnębienie, niepokój związany z tym, czy da sobie radę. Samotna czuje się właśnie w tych emocjach – obawia się ich ujawnienia, bo jeśli to uczyni, zostanie oceniona.

Że jest złą matką?

I że histeryzuje, a powinna się cieszyć.

Moment połogu jest intymnym spotkaniem między mamą a dzieckiem, czymś, co w żadnej innej relacji się nie powtórzy, dlatego w tym spotkaniu nieodzowny i naturalny jest też element samotności. Niektóre kobiety wchodzą w nową rolę płynnie, łatwo im odpowiadać na potrzeby dziecka, inne są pogubione, lękają się, że coś się nie uda, że nie sprostają. Połóg to rodzaj zależności dwóch osób, które są jak naczynie połączone. To może cieszyć i jednocześnie przerażać.

Do tego dochodzi tzw. *baby blues*: stan emocjonalny między trzecią a czwartą dobą. Huśtawka hormonalna, bo oksycytyna i endorfiny, które mają zwyczaj tuż po porodzie, zmniejszają nagle swoją ilość. I wyczerpuje się adrenalina, która dotąd dawała kopa do działania, pozwalając być nieustannie zaabsorbowaną dzieckiem. Odzywa się więc potężne zmęczenie. Plus fizjologiczne objawy związane z laktacją: albo nawał mleczny, kiedy dziecko chce być cały czas przy obolałych piersiach, albo laktacja rozkręcająca się pomału, początkowy brak pokarmu i dziecko płaczące z głodu. Dodatkowo spada masa ciała dziecka i pojawia się fizjologiczna żółtaczka. Na oddziałach położniczych łyż w oczach kobiety to częsty obrazek. Nie wolno ich bagatelizować. Lepiej powiedzieć: „Tak, rozumiem, jest pani zmęczona, pomożemy pani, zorganizujemy opiekę nad dzieckiem, proszę się przespać”. Gdy kobieta doświadczy opieki, troski, zadbana – *baby blues* mija.

Czasami, niestety, trudno nam uwierzyć w siebie.

Dopuszczać taką myśl, że wiem, co zrobić, bo jestem z tym dzieckiem najczęściej i w wielu sytuacjach sobie już poradziłam.

A jak nie mija, tylko przeradza się w depresję poporodową?

Jeśli objawy nie ustępują po takim wsparciu, jeśli kobieta nadal czuje zmęczenie, nie ma ochoty wstać, nie ma apetytu i z trudem zajmuje się sobą w najbardziej elementarnych sprawach, chętnie oddaje dziecko pod opiekę innych osób, zaczyna negatywnie myśleć o sobie i świecie, można się zacząć ostrożnie zastanawiać, czy to nie depresja. Tyle że objawy muszą się utrzymywać co najmniej dwa tygodnie, i musi być ich więcej niż te wymienione. Na pewno to sytuacja, której nie można bagatelizować. Kobieta musi otrzymać pomoc psychiatry, psychotherapeuty.

Kobieta współczesna z większym trudem wchodzi w rolę matki niż jej poprzedniczki?

Chyba rzeczywiście kobiet z trudnościami jest dziś więcej. Dlaczego? Bo nakładają na siebie dużo więcej oczekiwań. Sporo kobiet wyobraża sobie, że w pierwszym roku życia dziecka będą działać na swoją korzyść, nauczą się nowego języka albo wymyślą atrakcyjną ścieżkę kariery. A potem okazuje się, że jednak ten czas to moment zatrzymania się i rozwoju zupełnie innej części osobowości, tej związanej z opiekuńczością i umiejętnością dostosowania się do potrzeb drugiego człowieka. Są kobiety, które myślą, że to stracony czas, bo niczego spektakularnego nie zrobiły.

Moja mama była niezadowolona, że musi wrócić do pracy kilka tygodni po moich narodzinach i zostawić mnie pod opieką babci. To były inne czasy: urlop macierzyński nie trwał roku, a jej zarobki były ważnym elementem budżetu domowego.

Dziś też kobiety wracają do pracy, bo muszą utrzymać rodzinę.

Dlatego trzeba społeczeństwo uświadamiać, że pierwszy rok, a *de facto* pierwsze trzy lata życia dziecka i budowanie jego relacji z matką są podstawą wszystkich relacji, w które będzie wchodziło przez całe życie. Trzeba też podkreślić, że relacja z dzieckiem rozwija również kobietę.

A może te wszystkie trudności wiążą się z tym, że coraz mniej ufamy własnej intuicji? Skąd popularność poradników, szkół, warsztatów dla matek?

Chcemy wiedzieć, znać odpowiedzi, na różne rzeczy mieć wpływ, co z kolei może wynikać z tego, że chcemy czuć się bezpiecznie. Fatalnie znosimy sytuację niewiedzy, niepewności, tego, że coś nam może nie wyjść albo że popełnimy błąd. Im mniej pewnie czujemy się wewnętrznie, tym bardziej chcemy kontrolować zewnętrzną rzeczywistość.

A ona jest nie do skontrolowania.

Szczególnie przy małym dziecku. Doświadczenia starszego pokolenia nie są poparte badaniami. Sporo się zmienia, choćby w sposobach pielęgnacji pępka noworodka. Młode matki czują się pogubione, bo położna mówi co innego niż teściowa, a jeszcze inaczej pisze na ten temat autor poradnika. To właśnie najlepszy moment, by zapytać siebie samej: „Co z tych wszystkich rzeczy chcę wybrać? Co będzie najlepsze dla mojego dziecka? Czego ono potrzebuje?”.

Już sto lat temu Janusz Korczak pisał do matek, że to one znają najlepiej własne dzieci: niech zaufają własnej intuicji, a nie słuchają doradców.

Intuicję rozumiem w ten sposób, że to pierwsza myśl, która pojawia się w głowie, i trzeba podjąć decyzję, czy pozwolić ją zrealizować. Dobrym przykładem są matki, które nie wiedzą, co zrobić, kiedy ich dziecko płacze. I które próbują stosować popularną dziś metodę usypiania przez 3, 5, 7 minut. W skrócie polega ona na wchodzeniu i wychodzeniu do i z pokoju dziecka przy jednoczesnym i stopniowym wydłużaniu czasu między jednym a drugim wejściem i wyjściem.

Kobieta stosująca tę metodę mówi: „Moje dziecko płacze, a mi serce pęka”. Pytam: „A co by pani miała ochotę zrobić?”. „Wziąć je na ręce”. „Co pani w tym

przeszkadza?”. „W poradniku napisali: niech leży, bo ma się nauczyć samo zasypiać”. „Ale dlaczego nie może pani go wziąć na ręce?”. „No bo tam jest tak napisane”. „A co by się stało, gdyby pani wzięła?”. „No właśnie nie wiem”. „Proszę wziąć córeczkę na ręce, przecież ją pani kołysała pod sercem od wielu miesięcy, dlaczego chce ją pani teraz tego pozbawiać?”. Kobieta bierze w ramiona dziecko i zwykle widzi, że to działa: ono się uspokaja, a w niej powoli rodzi się wiara, że może podążać za sobą.

Czasami, niestety, trudno nam uwierzyć w siebie. Dopuszczać taką myśl, że wiem, co zrobić, bo jestem z tym dzieckiem najczęściej i w wielu sytuacjach sobie już poradziłam.

A co z potrzebami mężczyzny? Połóg jest progiem w życiu intymnym rodziców.

Kobiety w połogu bardziej się skupiają na funkcjach opiekuńczych, para w tym czasie rozsuwa się w swojej bliskości, szczególnie seksualnej. Dla kobiety seks jest ostatnią potrzebą, o której myśli i chce zaspokajać. Natomiast dla mężczyzny seks to jeden z wielu sposobów okazywania uczuć i bycia blisko z kobietą.

Pod koniec połogu, w tym szóstym tygodniu, większość mężczyzn przebiera nogami i pyta: „Czy już możemy? Spytaj ginekologa, czy jesteś już gotowa”. Kobieta pyta więc lekarza na kontrolnej wizycie i słyszy: „Tak, fizycznie jest pani gotowa”. Tyle że wiele kobiet nie jest gotowych psychicznie. Bo laktacja, bo czuje



ARCHIWUM PRYWATNE

MARLENA TRĄBIŃSKA-HADUCH jest założycielką Ośrodka Terapeutyczno-Edukacyjnego MaterPater i psychoterapeutką w Centrum Medycznym „Żelazna” w Warszawie. Specjalizuje się we wspieraniu rodzin z dziećmi od porodu do 6. roku życia.

się aseksualna, bo się sobie fizycznie nie podoba i trudno jej uwierzyć, że może być atrakcyjna dla partnera. Kobiety są wobec siebie bardzo surowe i wymagające. A najczęściej nadal podobają się mężczyznom. Poza tym kobieta czuje się zaspokojona w bliskości z własnym dzieckiem, czasem wręcz przebudźcona. Bo dziecko ciągle dotyka, ssie, liże, leży na niej. Niechęć do fizycznej bliskości z mężczyzną może też wynikać z tego, że trudno jej znieść, że ktoś od niej coś znowu chce. Na myśl, że ma komuś coś z siebie dawać, nawet jeśli

tym kimś jest ukochany, ma ochotę krzyknąć i go odtrąca.

Jak temu zaradzić?

Cierpliwością, ciepłem, czułością i długą grą wstępną. Bywa tak, że przy dziecku nie ma czasu na intymność: w połogu wszystko jest pod dyktando dziecka, nawet seks. Warto jednak zobaczyć tę sytuację z perspektywy męskiej. Dla mężczyzny akt seksualny to jedyna chwila, w której czuje, że nie stracił kobiety na rzecz dziecka. To moment, w którym para przypomina sobie, że ma coś, co jest tylko ich: w czym dziecko nie będzie nigdy uczestniczyć i czego nigdy nie zabierze. Seks to nie jest, dodajmy, wyłączanie fizyczne zaspokojenie popędu, lecz sposób komunikacji. Wymiana, wzajemność, dotyk. A gdy kobieta nie ma jeszcze potrzeby seksu, to istnieją inne rozwiązania – przecież seks nie zawsze musi oznaczać pełną penetrację.

A jakie jest Pani pierwsze skojarzenie ze słowem „połóg”?

Krew. Bo to moment oczyszczenia ciała z tego, co zostaje po ciąży, i przygotowywania się na coś, co ma nastąpić. A oczyszczenie jest dosłownie krwawe. Trwa określony czas, potem przychodzi nowe otwarcie na to, co przynosi macierzyństwo. Więc połóg to dopełnienie, zamknięcie cyklu w naszym życiu. Podobnie jak z cyklem miesięczkowym. On też się kończy krwawo, a potem pojawia się otwarcie i szansa na nowe życie. © Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedytacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmirska (kierownik),
Anna Dziurdziłowska, Marta Filipiak-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmirska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA NA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Set, syn Adama



WSZYSTCI JESTEŚMY POTOMKAMI SETA. Wiemy jednak o nim bardzo mało. Nawet autorzy midraszy, którzy zwykle spieszyli, by wkroczyć w każdą szczelinę biblijnych opowieści, nie mają o nim nic do powiedzenia. Urodził się na wiele lat po śmierci Abła

i otrzymał imię wskazujące na to, że zajął jego miejsce.

Adam, po długiej żałobie, mając 130 lat, rozweselił się, poznał znowu Ewę, a ta poczęła. Z Seta zrodziło się ośmiu potomków i każdy z nich żył po kilkaset lat. Otrzymywali imiona niemal identyczne jak potomkowie Kaina. Różniło ich jedno. Kiedy urodził się Setowi syn Enosz, zaczęto wzywać imienia pańskiego. Nie wiemy, co to znaczy. Niektórzy wtajemniczeni powiadali, że Set zdobył nauki sekretne i od niego zaczyna się trwający po dziś dzień nurt mistyczny. Jeszcze inni dodają, że słowa o wzywaniu imienia pańskiego łączą się ze skromnym życiem. Wiemy, że nikt z potomków Seta nie wślawił się budową miasta, odkryciami geograficznymi, grą na instrumentach. Żaden nie był wielkim wojownikiem. Zresztą czasy przedpotopowe są nazbyt skromnie opisane, by mieć o nich jakieś bliższe pojęcie. Najgorsze było seksualne rozpasanie, ale nie wiemy, czy mieli z tym coś wspólnego synowie i córki Seta.

Wyjątkowe miejsce w dziesiątym pokoleniu od czasów Adama i dziewiątym po Secie zajął Noe. Liczba dziesięć nie jest przypadkowa. Chodzi o niewypowiadalne imię Boga. Bywa ono nieszczyśliwie tłumaczone na Jahwe. Zapomnijmy o tym okropnym słowie, które wywodzi się od tetragramatonu! Pierwszą literą Imienia jest *jud*, a ma ono wartość liczbową dziesięć. Wynika z tego, o czym uczył mnie przed laty pewien młody wówczas rabin ze Słowenii, że w historię biblijnych praojców wpisuje się owo imię.

Set jest naszym przodkiem i z niego miała się po potopie narodzić nowa ludzkość. Potrzebny był ktoś, kto mógł się podjąć misji odbudowy świata. Jak wiemy, Bóg w swoim rozczarowaniu ludzkością ukarał nie tylko nasz gatunek, ale całą naturę. Ona też – choć nie wiemy dlaczego – była obarczona winą za zło ludzkie. Utonęły tysiącami wiewiórki, sarny, bawoły, orły oraz zaskrońce. Niektórzy powiadają, że zmienił się klimat. Ludzie w czasach przedpotopowych żyli w całkiem przyjemnym otoczeniu i mieli dość zieleniny do jedzenia. Po potopie zmieniły się pory roku, a na pewno nasze nawyki kulinarne. Przestaliśmy być wegetarianami. Zmienił się na gorsze, na bardziej władczy, nasz stosunek do natury. Skutki widzimy na co dzień. Wygnani zostaliśmy na zawsze z porajskiego ładu. Wielki musiał być gniew i obrzydzenie Boga. A Jego gniewu Tora nakazuje nam bać się stale. Nigdy nie wiemy, kiedy i za co na nas spadnie cierpienie i wtedy tylko pozostaje nam szeptać: Boże, nie każ nam tyle cierpieć, ile potrafimy wytrzymać. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Salceson i pandemia



DZIAŁANIE DUCHA ŚWIĘTEGO ZWYKŁO SIĘ kojarzyć z łagodnością, cudownymi uzdrowieniami, nadzwyczajnymi objawieniami, ale też miłymi omdleniami, nagłym oświeceniem umysłu, w ogóle ze wszystkim, co przynosi ukojenie i poprawę poziomowi życia. Pamięta się srebrną gołębicę, a zapomina o porywistej wichurze, trzęsieniu ziemi i ogniu.

A przecież wzorem Boga Ojca Duch Boży też się zjawia. Takie wstrząśnienie żywiołów świata, a przede wszystkim wnętrza człowieka towarzyszyło przekazaniu Mojżeszowi Dziesięciu Słów. Jednym słowem, kiedy świat obraca się w perzynę, a ludzie mrą ze strachu, warto przypomnieć słowa Jezusa: „A gdy to zacznie się dziać, wyprostujcie się i podnieście głowy, bo zbliża się wasze odkupienie”. Oczywiście chodzi tu o ów dzień, kiedy dobiegnie kresu historia świata znanego nam i możliwego do wyobrażenia. Przed laty Pierre Teilhard de Chardin powiedział, że w chwili, gdy zaistniał człowiek, Bóg w jego ręce powierzył los świata.

Natomiast dzisiaj Marcin Król, zastanawiając się nad światem po epidemii, mówi, że jego zdaniem za to, co już się dzieje i co się jeszcze stanie z ludźmi i światem, politycy będą „odpowiadali nie tylko prawnie. Są też instancje wyższe”. Powie ktoś: profesor straszy. Nie tylko on, podobnie straszył np. Leszek Kołakowski i papież, począwszy od Jana XXIII, a skończywszy na Franciszku. Król mówi: „Ze świata nadmiaru przejdziemy do świata niedoboru. (...) Nie będzie już wchodziło się do sklepu i kupowało szynkę, [będzie się] kupowało salceson jako luksus. Zmieni się wszystko”. Na lepsze czy na gorsze? Zabrzmi to banalnie: zależy to od każdego z nas, skoro przyszłością ludzi i świata żywo zainteresowana jest Najwyższa Instancja – Bóg.

Za to zainteresowanie Bóg Ojciec zapłacił najwyższą cenę, śmierć Syna, którego posłał na świat z misją założenia Bożego Królestwa. Dlatego Jezus modlił się podczas Ostatniej Wieczerzy: Ojcze, „proszę za tymi, których Mi powierzyłeś, gdyż należą do Ciebie. Ja już nie jestem na świecie, lecz oni są na świecie. Ja wracam do Ciebie. Ojcze Święty, strzeż ich (...) aby byli jedno, jak my. Kiedy byłem z nimi, chroniłem ich. Teraz wracam do Ciebie, a mówię to na świecie, aby wypełniała ich moja radość”. Radość? Z czego?

Na to pytanie odpowiada Apostoł Piotr: „Bądźcie szczęśliwi, gdy was znieważają z powodu imienia Chrystusa, bo spoczywa na was pełen chwały Duch Boży! Niech jednak nikt nie cierpi jako morderca, złodziej, przestępca czy mściciel! Jeżeli zaś cierpi jako chrześcijanin, niech się nie wstydzi, ale chwali Boga za to, że nim jest!”. Czy jest w nas Duch Chrystusa, poznajemy po odwadze – dla chrześcijanina nie ma złego czasu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Cudowne uwolnienie z więzienia?

*Jeśli chcesz osiągnąć pokój
i w tym życiu,
i w przyszłym,
mów zawsze: „Kim ja
jestem?”. I nie sądź nikogo.*

ABBA POJMEN



– Kogo nazywasz złym?
– Tego, kto chce
zawsze zawstydząć.
– Co wydaje ci się
najbardziej ludzkie?
– Oszczędzić
komuś wstydu.
– Co jest pieczęcią
osiągniętej wolności?
– Przestać się wstydzić
samego siebie.

FRYDERYK NIETZSCHE



Wybrał PIOTR SIKORA



TAK BYWA ZATYTULO-
wany epizod opisany
w *Dziejach Apostol-
skich* (Dz 16, 25-34).
Chodzi o Pawła i Sylasa
uwięzionych w Filipi.

Oskarżeni przez ludzi, których niewolnicę
Paweł uwolnił od demona, o szerzenie ob-
cych obyczajów, skazani – także z racji na
wzburzenie tłumu – na ubiczowanie, zo-
stali wtrąceni do więzienia. W „wewnętrz-
nym lochu”, zakuci w dyby, o północy za-
częli śpiewem wielbić Boga. Wtedy trzęsie-
nie ziemi zachwiała fundamentami wię-
zienia, rozwalilo jego bramy i kraty, poro-
rywało kajdany i dyby. Na widok tego
strażnik chciał popełnić samobójstwo.
„Nie czyni sobie nic złego, bo jesteśmy tu
wszyscy! – krzyknął Paweł (...). Wtedy tam-
ten (...) wskoczył do lochu, przypadł drżący
do stóp Pawła i Sylasa”, i wyprowadził ich
na zewnątrz. Kiedy „opowiedzieli mu na-
ukę Pana”, poprosił o chrzest i przyjął go
„wraz z całym swoim domem (...). Cieszył
się bardzo, że uwierzył Bogu”.

Doczytawszy tę historię do tego mo-
mentu, nabieramy przekonania, iż jej ce-
lem ostatecznie wcale nie było uwolnienie
apostołów. Nie ono też pozostaje w całym
tym wydarzeniu największym cudem.
Największym cudem – i zarazem celem
tej historii – są narodziny wiary (a potem
chrzest) strażnika.

Owszem, zapewne za cudowne należy
uznać trzęsienie ziemi (zwłaszcza że aku-
rat wtedy i akurat tam). Cudowne rów-
nież było to, że z rąk i nog wszystkich

więźniów poopadały kajdany. Nie to jed-
nak nawróciło strażnika; przeciwnie, to
poprowadziło go na próg samobójstwa.
Nawrócił go inny znak: oto wyzwoleni
cudownie apostołowie nie uciekli z wię-
zienia (czym niechybnie skazaliby go na
śmierć); co więcej, zapobiegli także jego
samobójstwu (ratując mu życie po raz
drugi). Okazali mu miłosierdzie i praw-
dziwą troskę, choć mieli słuszne prawo do
odwetu, a przede wszystkim do zadbania
o samych siebie. To cud zupełnie innego
gatunku i wymiaru. To znak, który niesie
ze sobą niesłychaną siłę świadectwa i każe
postawić pytanie: co to za ludzie? I co nimi
kieruje?

Nasz epizod nie powinien więc nosić
tytułu: „Cudowne uwolnienie z więzie-
nia”; powinien być zatytułowany: „Naro-
dziny wiary i chrzest strażnika”. Cudow-
ność działania Boga w naszym życiu nie
polega „jedynie” na tym, że czyni nas On
wolnymi (zewnętrznie, wewnętrznie);
chodzi o to, że czyni nas wolnymi ku mi-
łości. Sprawia, że w życiu chodzi nam o coś
więcej niż o siebie samych, o własne szczę-
ście, komfort i wolność. Chodzi o prawdzi-
wie „cudowne” uzdolnienie nas do bycia
dla innych.

Być może jest tak, że wszechmoc Boga,
krusząca mury i rozrywająca kraty, nie jest
dość mocna, by nawrócić człowieka. Ale
ta, która przełamuje ludzki egoizm i sku-
pienie na sobie, jest wszechmocą o wiel-
kiej sile atrakcyjności. Widząc jej działanie
w kimś, człowiek chciałby doświadczyć jej
także w sobie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (31 V – 7 VI)

Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11;

Ps 104; 1 Kor 12, 3b-7. 12-13; J 20, 19-23;

Poniedziałek: Rdz 3, 9-15. 20; Ps 87;

Dz 1, 12-14; J 2, 1-11;

Wtorek: 2 P 3, 12-15a. 17-18; Ps 90;

Mk 12, 13-17;

Środa: 2 Tm 1, 1-3. 6-12; Ps 123; Mk 12, 18-27;

Czwartek, święto Jezusa Chrystusa

Najwyższego i Wiecznego Kapłana:

Rdz 22, 9-18; Ps 40; Mt 26, 36-42;

Piątek: 2 Tm 3, 10-17; Ps 119; Mk 12, 35-37;

Sobota: 2 Tm 4, 1-8; Ps 71; Mk 12, 38-44;

Uroczystość Najświętszej Trójcy: Wj 34, 4b-6. 8-9;

Ps: Dn 3, 52-56; 2 Kor 13, 11-13; J 3, 16-18.

DUOPOL TRZYMA SIĘ ŚWIETNIE

Znów zostaliśmy skazani na wybór między PiS a PO. Obie partie po cichu o to zadbały, na zewnątrz tocząc ze sobą wojnę totalną.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

WSZYSTKO RUNĘŁO W PIERWSZYCH dniach maja. Najpierw Jarosław Kaczyński zrezygnował z walki o wybory 10 maja i podpisał porozumienie ze zbuntowanym liderem Porozumienia Jarosławem Gowinem. Było ono mocno zagmatwane, ale zakładało, że wybory zostaną przełożone. Po prostu oceniający ważność wyborów Sąd Najwyższy miał zdaniem panów Jarosławów skonstatować, że głosowanie, którego nie było, jest nieważne. Tyle że szybko okazało się, iż nie jest to takie oczywiste, bo szefowa Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN Joanna Lemańska tupnęła nogą, przypominając politykom, że nie wszyscy sędziowie wybrani za czasów PiS to sędziowie PiS. I że jej nikt orzeczeń dyktować nie będzie. Wtedy politycy PiS wpadli w panikę.

Podczas wielogodzinnej narady w sobotę 9 maja w centrali partii na ul. Nowogrodzkiej w Warszawie doszło do starcia dwóch frakcji. Twardogłowi – m.in. Joachim Brudziński, Ryszard Terlecki, Jacek Kurski, Mariusz Błaszczak, Zbigniew Ziobro – namawiali Kaczyńskiego, by rozpiisał wybory jak najszybciej. W praktyce chodziło o przełożenie zarządzonych na 10 maja wyborów na 23 maja. Używali kilku argumentów. Po pierwsze, ryzyko erozji autorytetu Kaczyńskiego, który tygodniami powtarzał suwerenowi, że nie ma powodów, by wybory korespondencyjne w maju się

nie odbyły, a jednak mogą się nie odbyć. Po wtóre – postępująca destrukcja wizerunku Andrzeja Dudy. Po trzecie, pogarszające się nastroje społeczne wywołane spodziewanym kryzysem gospodarczym. I wreszcie, jeśli wybory nie odbędą się najpóźniej 23 maja, to trzeba będzie szukać formuły prawnej, by je rozpiisać na nowo, co oznacza, że PO zyska prawo wystawienia innego kandydata prezydenckiego.

Frakcja umiarkowana – Mateusz Morawiecki, Piotr Gliński, Stanisław Karczewski – przekonywała, że wybory majowe ze względu na kłopoty logistyczne i wpadki rządu nie są możliwe. W dodatku Kaczyński ryzykowałby w ten sposób zerwanie koalicji, bo wszak kilka dni wcześniej podpisał z Gowinem porozumienie, wedle którego wyborów w maju miało nie być.

Gowin przynosi ekspertyzy

Ostatecznie Kaczyński stanął po stronie umiarkowanych. Ale jednocześnie zrezygnował z rozpisywania nowych wyborów poprzez Sąd Najwyższy. Czemu? Nie tylko ostrzeżenie Lemańskiej miało znaczenie. Według moich nieoficjalnych informacji do Kaczyńskiego dotarły – za pośrednictwem Gowina – opinie prawne zamówione u konstytucjonalistów przez marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego (PO). Wynikało z nich, że Sąd Najwyższy może uznać, że skoro wyborów nie było, to nie można orzec, czy były legalne, czy

nie. To byłaby katastrofa, bo PiS wpadłby w pułapkę prawną, co mogłoby odwlec wybory o kolejne miesiące.

Wtedy Kaczyński poszedł na nieoficjalny kompromis z Platformą w sprawie wyborów. Okazało się, że obie partie mają doraźnie wspólny cel: zamknięcie wyborów majowych i rozpisanie nowych w ciągu kilku tygodni.

Jest konkretny dowód tego cichego układu. To zachowanie Państwowej Komisji Wyborczej. Otóż PKW, choć przezebraną przez PiS, nie została całkowicie przez tę partię przejęta i zwasalizowana. Wciąż są w niej m.in. sędziowie, a dodatkowo poza nominatami PiS wybrani zostali także prawnicy wskazani przez opozycję, w tym dwóch związanych z Platformą.

Zarówno ci z PiS, jak ci z PO zagłosowali za taką uchwałą, która pozwala rozpiisać wybory na nowo w ekspresowym tempie. Można byłoby to uznać za standardowe działanie, gdyby nie dwa fakty. Po pierwsze, uchwała została tak napisana, aby ominąć Sąd Najwyższy. Ale to dopiero przygrywka. Bo oto przedstawiciele PiS i PO w Państwowej Komisji Wyborczej jednogłośnie przyjęły uchwałę, wedle której wybory majowe się nie odbyły, gdyż... nie było w nich ani jednego kandydata. Ani jednego! A przecież kandydatów było dziesięć. To nie była przypadkowa decyzja, lecz polityczny pakt, bo właśnie ta-



Ogólnopolski Strajk Przedsiębiorców, Ogród Saski, Warszawa, 16 maja 2020 r.

kie rozwiązanie proponowali konstytucjonaliści w opinii dla Grodzkiego. Tak groteskowe uzasadnienie pozwalało właśnie – ze względów prawnych – ominąć SN i rozpisać wybory na nowo. Pracownicy PKW przecierali oczy ze zdumienia – do końca przekonywano ich, że przygotowywana jest uchwała, która odda decyzję w ręce SN. Jeden z członków PKW (nawizyjny go przedstawicielem tej doraźnej koalicji PO-PiS) mówił mi: – Ze wszystkich złych rozwiązań to było najmniej złe. Stworzyliśmy prawną możliwość wyjścia z tego kryzysu.

Budka wietrzy kuchnię

Podczas tej operacji Platforma znajdowała się w niebywale trudnym położeniu. Do walki z majowymi wyborami korespondencyjnymi wykorzystywała sztandar obrony demokracji i hasła walki z kaczymem. A jednocześnie miała przyziemny interes – wymianę kandydatki.

Gdyby z jakiegoś względu jednak PiS zdołał wybory w maju przeprowadzić, byłaby to polityczna katastrofa dla Platformy. Jej kandydatce groził wynik poniżej 10 proc. To mogłoby uruchomić procesy autodestrukcji, wbudowane w obecną strukturę Platformy. Chodzi o ostry konflikt między obecnymi władzami partii a stronnikami Grzegorza Schetny, choć osłabionymi, to jednak wciąż wpływowymi.

Wiele wskazuje na to, że Schetyna grał na porażkę Kidawy, licząc, że uda mu się za to obciążyć szefa PO Borysa Budkę, którego chce wysadzić z siodła. Dlatego Schetyna otwarcie jej bronił, gdy szefostwo PO zaczęło rozważać szybką podmiianę.

Szkopuł w tym, że to Schetyna wyciągnął Kidawę do pierwszego partyjnego szeregu kilka miesięcy wcześniej – przed wyborami do Sejmu jesienią 2019 r. wskazał ją jako kandydata PO na premiera.

Gdy mimo to wybory przegrał, próbował odwrócić od siebie uwagę i pod koniec roku rozpiął prawyborczy prezydencie. Choć wcześniej obiecywał Kidawie kandydowanie na prezydenta, to w prawyborach wspomagał prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. Pakt z Kidawą zawiązał w tej sytuacji Budka – obiecał jej kandydowanie w zamian za poparcie w starciu ze Schetyną podczas wyborów szefa PO na początku 2020 r.

Dlatego dziś wrogie frakcje obwiniają się za ten wybór, ale prawda jest taka, że i Budka, i Schetyna przyłożyli do niego ręce. I tak jak wybór Kidawy na kandydatkę był elementem rozgrywki o władzę w Platformie, tak jej podmiiana również – Budka nie mógł sobie pozwolić na marny wynik i ryzykować utratę pozycji lidera.

Jak na pierwszą poważną i niebywale delikatną operację polityczną za swego przewodnictwa w PO, Budka poradził sobie dobrze. Zdołał na tyle dyskretnie

przewietrzyć partyjną kuchnię, że Platforma na tym nie straciła. Wręcz przeciwnie: pierwsze sondaże pokazują, że Rafał Trzaskowski wskoczył na drugie miejsce w wyścigu o prezydenturę.

Trzaskowski podgrzewa polaryzację

Paleta polityków, których władze PO umieściły w poufnym badaniu prezydenckim, była jak na dramatyczny brak czasu dość długa. To m.in. Tomasz Grodzki, Radosław Sikorski, Rafał Trzaskowski oraz Bartosz Arłukowicz. Badany był nawet ojciec założyciel PO Donald Tusk, mimo że przed wybuchem epidemii nie wykazywał zainteresowania startem.

W finalnym starciu znaleźli się Trzaskowski oraz Sikorski. Czemu wygrał Trzaskowski? Bo partia uznała, że jest bardziej plastyczny od oschłego i wyniosłego Sikorskiego. W dodatku jest symbolem sukcesu – poprowadził udaną kampanię wyborczą, gdy rozbił Patryka Jakiego w stolicy w 2018 r.

To jednak kandydat z poważnym defektem: jest wyraziście lewicowy, podczas gdy nastroje społeczne są centroprawicowe. Start Trzaskowskiego praktycznie kończy kampanię Roberta Biedronia, pozabawia szans na drugą turę Władysława Kosiniaka-Kamysza i zapewne Szymona Hołownię.

→ Za wymianą kandydata momentalnie poszła przemiana kampanii Platformy. Poselskie naloty na instytucje rządowe, by pokazać sięgające 140 mln zł (a może i wyższe) przelewy dla firmy brata ministra zdrowia.

Politycy Platformy przerywający konferencję wiceministra zdrowia, by oskarżyć rząd o kupowanie za gigantyczne pieniądze trefnych maseczek jednorazowych. Sam Trzaskowski przed siedzibą TVP zarzucający zarządowi telewizji, że przyznał sobie milionowe premie – to świadomy plan ostrej kampanii (nawet gdy, jak w przypadku owych premii, nie jest to prawda, bo miliony poszły na premie, ale dla pracowników). Wzorem jest PiS w 2015 r. – zarzucający wprost Platformie złodziejstwo, a Polsce pod jej rządami przypisujący ruinę.

Politycy PO będą tak hasać do czasu rozpoczęcia formalnej kampanii – czyli do czasu, gdy ruszą sądy wyborcze, rozpatrujące sprawy w 24 godziny, a zatem ryzyko szybkiego procesu i porażki będzie realne.

Potem szykowana jest potężna akcja promocyjna Trzaskowskiego, prezentująca go jako człowieka o prezydenckim formacie: wykształconego i obytego w świecie.

Finałem ma być starcie Trzaskowskiego z Andrzejem Dudą w drugiej turze wyborów. Wtedy ma nastąpić całkowita polaryzacja elektoratów. Albo jesteś za PiS, albo przeciw. Lewicowy światopogląd

Przed drugą turą wyborów PO chce osiągnąć całkowitą polaryzację elektoratów, dzięki czemu **lewicowy światopogląd Trzaskowskiego straci znaczenie.**

gląd Trzaskowskiego ma w tym planie stracić znaczenie.

Prezesa świerzbi ręka

Wejście do gry Trzaskowskiego i nowa dynamika jego kampanii zbiegły się w czasie z najpoważniejszą zadyszką polityczną PiS od momentu dojścia tej partii do władzy niemal pięć lat temu. W tym sensie raczej mieli twardogłowi, przestrzegając Kaczyńskiego, że opóźnienie wyborów to proszenie się o kłopoty.

Do wyborów w maju nie doszło, bo zbuntował się Jarosław Gowin. Bez jego rebelii PiS spokojnie by te wybory przeprowadził, depcząc po drodze procedury i frywolnie podchodząc do przepisów. Rozpoczynając oficjalne negocjacje z liderem Porozumienia w sprawie przełożenia wyborów, Platforma postraszyła jednak Kaczyńskiego i niejako zmusiła do zawarcia z Gowinem wspomnianego po-

rozumienia. Ale to nie znaczy, że szef PiS wypalił z krnąbrnym koalicjantem fajkę pokoju i razem wyruszą teraz polować na Trzaskowskiego.

Złowrogie pomruki wobec Gowina wysła także drugi koalicjant PiS – Zbigniew Ziobro. „Stanowisko Jarosława Gowina postawiło całą koalicję w bardzo trudnej sytuacji. Stawianie ultimatum to ostateczność i nie zachęca do dobrego współdziałania” – oświadczył w związanym z PiS tygodniku „Sieci”.

Umowa z Gowinem jest dla Kaczyńskiego bolesna. Nie obsadził Dudy na fotelu prezydenta w zaplanowanym terminie. Musiał się dogadywać z Platformą, by mieć gwarancję przełożenia wyborów. I wreszcie nie był w stanie zablokować wymiany Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która była z jego punktu widzenia wygodną rywalką.

Żeby przeprowadzić nowe wybory, PiS wniósł do Sejmu specustawę wyborczą. Zapisano w niej, że starzy kandydaci – czyli zgłoszeni do wyborów 10 maja, które się nie odbyły – będą mogli startować w nowych wyborach. W dodatku głosowanie będzie standardowe, w lokalach, a oddanie głosu listem będzie tylko opcją. Kiedy PiS chciał zrobić wybory korespondencyjne w maju, politycy PO krzyczeli, że to epidemiczne zagrożenie dla życia Polaków. Tym razem, w sytuacji wyborów epidemicznie ryzykownych niepomrotnie bardziej, głosów oburzenia Platformy nie słychać. Powód jest prosty. Otóż Platforma osiągnęła już to, co chciała: zmieniła kandydata.

Ale Kaczyński nie byłby sobą, gdyby w tej grze nie pokazał swej natury szulera, który nawet ustalając z przeciwnikiem zasady prowadzenia gry, nie rezygnuje z trików. Szularka dotyczyła pieniędzy – a konkretnie limitu wydatków. Starzy mogliby wydać na kampanię niemal po 30 mln zł, co w praktyce dotyczy tylko finansowanego przez PiS Andrzeja Dudy, bo inni kandydaci, którzy wystartowali do majowych wyborów, nie mogą nawet śnić o takich pieniądzach.

Za to nowi kandydaci – a nowy zapewne będzie tylko Trzaskowski – będą mogli wydać trzy razy mniej, niespełna 10 mln zł. W swym projekcie PiS proponuje także zapisy, które utrudnią Platformie zebranie wymaganych prawem 100 tys. podpisów pod nową kandydaturą. Chodzi o to, że marszałek Sejmu Elżbieta Witek określi, ile jest na to czasu.

Z głębokim żalem żegnamy

Ś.†P.

Jerzego Skąpskiego

artystę malarza, grafika i projektanta witraży,
który od przeszło 20 lat wspierał chorych na białaczkę,
przekazując swoje obrazy na organizowane przez Fundację aukcje
dzieł sztuki, a w Klinice Hematologii przy ul. Kopernika 17
do dziś podziwiamy piękny witraż okienny,
którego był autorem.

Wyrazy współczucia Rodzinie Zmarłego
składają członkowie

**ZARZĄDU FUNDACJI PROFILAKTYKI I LECZENIA
CHORÓB KRWI IM.PROF. JULIANA ALEKSANDROWICZA**

W PO żywe jest przekonanie, że Trzaskowski dostanie 2-3 dni.

Senat się nie spieszy

Dlatego Senat, do którego – po ekspresowych pracach Sejmu – trafił projekt, nie zamierza się spieszyć. Może przeciągnąć prace o miesiąc – dla Platformy im później wybory, tym lepiej.

W dodatku te 30 dni zwłoki to szansa na przygotowanie się do szybkiego zebrania podpisów pod kandydaturą Trzaskowskiego. Ponadto każdy tydzień opóźnienia to – jak wierzą w partii – większa szansa na pobicie Dudy.

A PiS jest pod ścianą. Bez nowej ustawy praktycznie wyborów zrobić się nie da. Dlatego partia sięgnęła po swe stare praktyki z czasów wojny o Trybunał Konstytucyjny. Zwleka z drukiem w Dzienniku Ustaw wspomnianej uchwały PKW z 10 maja o tym, że nie było wyborów, bo nie było kandydatów. Wszelkie dokumenty należy wydrukować „niezwłocznie”. Tyle że gdyby szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk (PiS) nakazał druk uchwały, uruchomiłby zapisane w konstytucji terminy – i marszałek Sejmu Elżbieta Witek (PiS) musiałaby w ciągu 14 dni ogłosić termin wyborów, a głosowanie musiałoby się odbyć w ciągu kolejnych 60 dni od dnia ogłoszenia.

Tylko jakie Witek miałaby ogłosić wybory, skoro nie ma ustawy? Musiałaby się oprzeć na obowiązujących w tej chwili przepisach, czyli ustawie korespondencyjnej albo Kodeksie Wyborczym, opisu-

jącym standardowe głosowanie. Typowy galimatias prawny autorstwa PiS.

Kaczyński wydał swoim ludziom dyrektywę, by wybory odbyły się 28 czerwca. Ale z każdym dniem – ostrzega PKW – jest to coraz mniej realny termin. Może, jeśli dobrze pójdzie, prezydenta poznamy do początku sierpnia, gdy kończy się kadencja Dudy.

Kurski idzie na ratunek

Ale PiS ma jeszcze większy kłopot. Mniejsza o gry wokół terminu wyborów – w ciągu kilku tygodni wszystko będzie jasne. Mniejsza o kryzys w koalicji i objazd Jarosława Gowina po Polsce w poszukiwaniu duszyczek do nowej partii republikańskiej (jemu też koronawirus już przestał przeszkadzać). Większy kłopot jest taki, że kampania prezydenta znalazła się w wyraźnym marazmie.

Milionowe interesy klanu Szumowskich finansowane przez państwo. Protesty przedsiębiorców tłumione przez policję. Wybuch epidemii w kopalniach w efekcie błędów rządu. Witany przez czynniki partyjno-rządowe sprzęt ochronny z Chin, który okazał się niewart funta kłaków. Nowy film Sekielskich – nawet jeśli krytykowany przez mniejszości seksualne i przykrywany przez TVP rzekomą pedofilią celebrytów – to jednak przypominający niezrealizowane zapowiedzi sprzed roku o powołaniu antypedofilskiej komisji państwowej. Na koniec „Twój ból jest lepszy niż mój” Kazika i dobicie radiowej Trójki rękami marnych najemników w oba-

wie przed marsem prezesa wywołanym tą piosenką. O „Ostry mieniu mgły”, w którym prezydent sam wystawił się na kpinę, nawet szkoda wspominać.

Każde z tych wydarzeń ma różną wagę i przemawia do różnych grup elektoratu. Ale ich skumulowany efekt już osłabia Dudę – coraz mniej sondaży daje mu szanse na wygraną w pierwszej turze, co jeszcze kilka tygodni temu było standardem.

Politycy PiS mówią, że ich wewnętrzne, partyjne sondaże po wejściu Trzaskowskiego zwariowały. Może to tylko szepotanka, by rozbudzić nieco uśpiony elektorat. Ale faktem jest, że obóz władzy nie czeka z założonymi rękami. Do zarządu TVP powraca Jacek Kurski. Choć wygląda to na pozór na upokorzenie prezydenta – wszak Duda wymusił jego dymisję na początku marca – to jest odwrotnie. Kurski ma być głównym propagandystą prezydenta.

Po odwołaniu Kurski został doradcą p.o. prezesa TVP Macieja Łopińskiego. Tak, wtedy to było upokorzenie Dudy. Bo Łopiński to mentor Kurskiego, jest fikcyjnym prezesem, a za sznurki i tak pociągali byli prezes. Tyle że okazało się, iż taka prowizorka w czasie politycznego kryzysu nie wystarcza. Kurski nie był w stanie z pozycji doradcy ręcznie sterować ludźmi i pieniędzmi. Dlatego teraz wraca, by uratować swego nieudolnego prześladowcę.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Domowe lekcje czytania

**Literatura jest niezbędnym elementem dobrego życia.
Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?**

W każdą **środę o godzinie 12.00** na facebookowym profilu „Lekcji czytania” dyrektor programowy Festiwalu Conrada **Grzegorz Jankowicz** analizuje wybrany tekst i odpowiada na Wasze pytania.

W środę 27 maja przeczytamy „Hammerklavier” Yasminy Rezy (przetł. Andrzej Krzywicki) opublikowany przez wydawnictwo Nisza. **A w środę 3 czerwca** rozmawiamy o utworze „Było to jakiś czas temu, o, tak” Roberta Walsera w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz (Korporacja Ha!art). Teksty udostępniamy na facebookowym profilu „Lekcji...”. Zapraszamy!



Be jak bezrobotny

MAREK RABIJ

Firmy w Polsce znów zaczynają zwalniać pracowników. To zła wiadomość – także dlatego, że przez ostatnie trzydzieści lat walkę z bezrobociem sprowadziliśmy do walki z bezrobotnymi.

PRZEZ AŻ DWIE Z TRZECH DEKAD wolnego rynku w Polsce bezrobotny był jedną z najważniejszych postaci życia publicznego. W jego obronie zrodził się ruch polityczny. Kandydaci w kolejnych wyborach parlamentarnych poświęcali mu wiele uwagi w swoich programach. Dla autorów kabaretowych stał się figurą właściwie obowiązkową, pokazywaną zwykle w znoszonym dresie, czapce bejsbolówce i z niepełnym uzębieniem.

Doczekał się nawet odmian regionalnych. Wiejska przesiadywała zrezygnowana na ławeczce przed sklepem, jak bohaterowie popularnego swego czasu serialu. Miejska, zdecydowanie młodsza i bardziej agresywna, w powszechnym wyobrażeniu spędzała całe dnie na wyścigach zdezelowanymi golfami, słuchaniu rapu i organizowaniu się w osiedlowe gangi.

Bezrobotny zszedł nam z oczu niepostrzeżenie. Jego miejsce w politycznej agendzie najpierw zajął emigrant zarobkowy, a potem odbiorca 500 plus i innych programów. W końcu – ktoś, kto po kilkunastu latach wysokiego bezrobocia bierze wreszcie na pracodawcach sprawiedliwy odwet na tzw. rynku pracownika. Gdy 4 marca minister Łukasz Szumowski ogłaszał na konferencji prasowej wykrycie pierwszego polskiego przypadku COVID-19, w urzędach pracy zarejestrowanych było 909 400 bezrobotnych, czyli zaledwie 5,4 proc. Polaków w wieku produkcyjnym. Bardzo blisko pułapu 4,4 proc. uznawanego w naszym kraju przez część ekonomistów za tzw. naturalną stopę bezrobocia, niezależną od sytuacji ekonomicznej.

Kryzys ex machina

W kwietniu, jak wynika z danych opublikowanych przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, liczba zarejestrowanych bezrobotnych wzrosła już o około 58 tys. osób. W kolejnych miesiącach będzie znacznie gorzej. Pierwszego uderzenia bezrobocia eksperci rynku pracy spodziewają się pod koniec czerwca, gdy na zwykły o tej porze skok liczby osób rejestrujących się w pośredniakach (koniec roku szkolnego) nałożą się efekty pierwszych zwolnień grupowych z końca marca i kwietnia.

Co dalej? To w głównej mierze zależy od tempa odmrażania polskiej gospodarki. Minister rozwoju Jadwiga Emilewicz zasugerowała, że ostatnie epidemiczne zaostrożenia mogłyby zniknąć do połowy lipca, co pozwoliłoby wykorzystać w pełni przynajmniej drugą połowę wakacji. Epidemii w Polsce nadal daleko do wygaśnięcia, trudno więc potraktować takie zapowiedzi jako coś więcej niż pobożne życzenia. Dlatego większość ekspertów rynku pracy uważa, że na koniec roku odsetek bezrobotnych Polaków może się zbliżyć do 10 proc., czyli do poziomu odnotowanego ostatni raz na początku 2016 r. Dla pełnego obrazu trzeba więc od razu dodać, że od tamtej pory polski system wspomagania osób pozbawionych zatrudnienia padł ofiarą niemal całkowitego demontażu, przeprowadzonego z premedytacją przez egzotyczną koalicję kolejnych rządów PiS i samorządowców.

Toruń, Kielce, Gniezno, Pleszew, San domierz, Żywiec – to tylko kilka z kilkunastu polskich powiatów, gdzie w ostatnich miesiącach „dostosowano wielkość zatrudnienia” w powiatowych urzędach pracy do aktualnej stopy bezrobocia, najczęściej po prostu zwalniając doświadczonych urzędników albo przesuwając ich do innych zadań. W małych miejscowościach dochodziło nawet z tego powodu do komicznych sytuacji: zwolnieni urzędnicy rejestrowali się w byłym miejscu pracy, przez co stopa bezrobocia szła nagle w górę i dyrekcja urzędu musiała dokonywać kolejnego „dostosowania”, przyjmując zwolnionych ponownie do pracy.

Brak pieniędzy – to najczęstszy powód. W 2016 r. Fundusz Pracy przeznaczył na aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu 6,2 mld zł. Rok później już 5,77 mld zł. W zeszłym roku wydatki na ten cel spadły do 2,76 mld zł. Spadek na-

kładów wydaje się zrozumiały w obliczu malejącego bezrobocia. Problem w tym, że wiosną na rynku pracy rząd nie wykorzystał na przygotowania do czegoś, co w gospodarce wolnorynkowej jest nieuniknione, czyli dekonstrukcji. Przeciwnie, potraktowano to jak okazję do doraźnych budżetowych oszczędności i przesunięć. Po protestach lekarzy stażystów Sejm pospieszenie znolizował budżet, obciążając Fundusz Pracy dofinansowaniem zarobków młodych medyków. W tej sytuacji za sukces trzeba uznać odrzucenie przez rząd postulatów organizacji przedsiębiorców, które domagały się obniżenia składki na FP z 2,45 do 1,45 proc. wynagrodzenia „w obliczu sukcesywnie malejącej stopy bezrobocia”. Rząd PiS zdawał się podzielać przekonanie przedsiębiorców, że jedynym problemem polskiego rynku pracy po wsze czasy będzie odtąd tylko brak pracowników.

– Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej ma dziś długą nazwę, ale to urząd wydmuszka – mówi jeden z byłych wiceministrów tego resortu, prosząc o niepodawanie nazwiska. – Zwolniono doświadczonych dyrektorów i kierowników, którzy pracowali na tych stanowiskach czasem i po kilkanaście lat. Ich miejsce pozajmowali głównie ludzie związani z politykami partii rządzącej, czasem w ogóle niezwiązani zawodowo z problematyką społeczną.

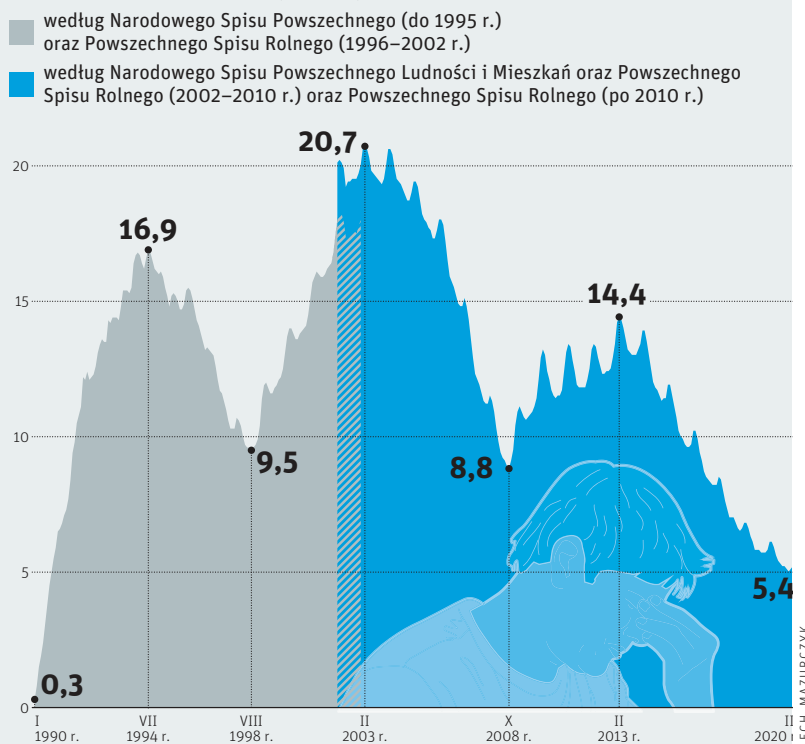
Obywatel kategorii B

Epidemia COVID-19 stawia więc polskie państwo w obliczu zagrożenia, na jakie nie jest ono kompletnie przygotowane. Tym razem nie chodzi jednak o samą chorobę, lecz o gwałtowny skok bezrobocia, którego nikt nie mógł wyczytać z prognoz makroekonomicznych.

– Kiedy przejrzałem pierwszą wersję ustawy o tarczy antykryzysowej i nie znalazłem w niej ani jednej wzmianki o bezrobotnych, byłem zdziwiony – mówi prof. Ryszard Szarfenberg, badacz polityki społecznej. – Gdy nie wyszukałem ich także w dwóch kolejnych, zdziwienie zamieniło się w rozgoryczenie. To niestety wygląda tak, jakby zdaniem rządzących obywatel zasługiwał na pomoc tylko wtedy, kiedy pracuje, płaci podatki i zwiększa PKB.

Zaniedbania Polski w sferze pomocy dla bezrobotnych są, jak mówi Szarfenberg, wieloletnie. Winny jest nie tylko PiS. Eksperti rynku pracy i część ekono-

STOPA BEZROBOCIA (W PROC.)



mistów od lat przypominają politykom, że Polska ma najniższą wśród wszystkich krajów OECD wysokość zasiłku dla bezrobotnych w relacji do ostatniej wypłaconej pensji. Podstawowa stawka na rękę wynosi obecnie 741,87 zł przez pierwsze 3 miesiące prawa do zasiłku, a przez kolejne – 592,52 zł. Kwoty te ulegają podwyższeniu lub obniżeniu w zależności od stażu pracy. Realnie zasiłki w Polsce stanowią jednak około 30 proc. pensji minimalnej. Tymczasem Międzynarodowa Organizacja Pracy już w latach 50. ubiegłego stulecia zarekomendowała stawkę zasiłku na poziomie co najmniej 50 proc. minimalnego wynagrodzenia.

Rząd w połowie maja zapowiedział podwyżkę świadczenia do 1,2 tys. zł i trzymiesięczny dodatek antyrecesyjny w wysokości 1300 zł. Prawa do zasiłku nadal nie będą jednak mieć osoby pracujące na posadach sezonowych albo zatrudnione na umowach cywilnoprawnych.

– Obawiam się, że statystyki bezrobocia już nie oddają jego prawdziwej skali, a będzie z tym tylko gorzej – mówi prof. Szarfenberg. – Niski zasiłek i ograniczenia w prawie do tego świadczenia sprawiają, że wiele osób będących *de facto* bezrobotnymi nie rejestruje się w urzędach. Ministerstwo pracy mówi o niespełna 60 tys. nowych bezrobotnych w kwietniu. Tymczasem badania niezależnych instytucji pokazują już opinie ponad 50 proc.

Polaków o gwałtownym pogorszeniu sytuacji bytowej. Z danych ZUS, do których dotarły media, wynika, że tylko w kwietniu z listy płatników wyrejestrowano aż 165,5 tys. osób.

Bezrobocie i zasiłki od zawsze były ulubionym tematem do politycznych harców. Już pierwszy projekt tego typu, wprowadzony na rządową wokandę w 1911 r. przez gabinet brytyjskiego premiera Herberta Henry'ego Asquitha, zebrał bity zarówno ze strony torysów, obawiających się o stabilność budżetu, jak i brytyjskich komunistów, którzy w zasiłkach upatrywali środek przeciwbólowy mający powstrzymać masy przed rewolucją. Do złudzenia podobną rozpiętość ma także współczesna polska debata o wysokości zasiłków dla bezrobotnych. Z jednej strony słychać obawy części pracodawców, że dodatkowe 5 mld zł, które budżet będzie musiał wydać na wyższe zasiłki, rozhuśta finanse publiczne. Z drugiej zaś dobiegają głosy polityków, że wyższe zasiłki doprowadzą do wzrostu bezrobocia, bo pracodawcom łatwiej będzie skreślać kolejne nazwiska z listy płac.

Nad pierwszym argumentem nie warto się nawet pochyłać w sytuacji, kiedy rząd uruchamia dziś pakiety anty kryzysowe idące w dziesiątki miliardów złotych. Mit wysokich zasiłków utrwalających rzekomo bezrobocie jest o wiele groźniejszy – także dlatego, że towarzyszy

polskiej debacie publicznej praktycznie od końca lat 90. Przeciwnicy podnoszenia świadczeń powołują się na wyniki ówczesnych badań OECD.

Szkopuł w tym, że – jak zauważa Ryszard Szarfenberg – ich autorzy doszli do takich wniosków jedynie w odniesieniu do bogatych państw opiekuńczych, które w tamtym czasie oferowały bezrobotnym bardzo wysokie zasiłki, do tego wypłacane przed długi czas.

– Rozciąganie tamtych konkluzji na współczesne polskie realia jest zwykłą manipulacją – kwituje badacz.

Siła stereotypów

Skąd więc to niemal powszechne przekonanie, że wydatki na walkę z bezrobociem to pieniądze, które można wydać mądrzej? Przez pierwsze dwie dekady wolnego rynku pracodawcom i części ekonomistów udało się namalować wizję bezrobotnych jako hamulcowych transformacji. Walkę ze zjawiskiem bezrobocia sprowadzono praktycznie do walki z samymi bezrobotnymi. W 2004 r. społecznie wrażliwy tygodnik „Polityka” w raporcie zatytułowanym „Bezrobotni nierobotni” opisywał problem, jaki walcząca o cywilizacyjny awans Polska ma z bezrobotnymi. Jeden z bohaterów materiału na pytanie, dlaczego nie pracuje, odpowiadał: „Nie robim, bo się ujem”. Nawet autorzy „Diagnozy Społecznej”, największego cyklicznego badania socjologicznego w Polsce, nie uchronili się przed krzywdzącymi uproszczeniami, pisząc w 2009 r. o bezrobotnych kobietach, które „z pewnością nie podjęłyby pracy, nawet gdyby rynek je wzywał; dzięki zaś zarejestrowaniu w urzędzie otrzymują, podobnie jak pracujący na czarno, »ekstra-prezent« od państwa – bezpłatne ubezpieczenie zdrowotne i przez pewien czas comiesięczny zastrzyk finansowy”.

Znamienne, że skrzywione wizje bezrobotnych media i badacze nie wypatrzyli raczej na ulicy. Irena Reszke, autorka książki „Wobec bezrobocia. Opinie, stereotypy”, pod koniec lat 90. precyzyjnie oszacowała uczucia Polaków do osób bez pracy. Okazało się, że określenie „bezrobotny” aż u 55,7 proc. ankietowanych budziło skojarzenia pozytywne lub neutralne, zbudowane na osobistych doświadczeniach utraty pracy lub kontaktach ze znajomymi czy krewnymi, którzy także doświadczyli bezrobocia. Domino wało tu przekonanie, że utrata etatu jest

→ jednym z wielu zdarzeń losowych, na które nie ma się większego wpływu. Kolportowany w mediach wizerunek bezrobotnego, który „jest sam sobie winien” lub z wyrachowania woli pozostawać na państwowym garnuszku, podzielało natomiast tylko 10,2 proc. badanych.

Siła medialnego stygmatyzowania grupy, którą w pewnym momencie uznano za hamulcową polskiej transformacji gospodarczej, była jednak bardzo duża. Badanie CBOS z 2001 r. na temat źródeł utrzymania osób bez pracy pokazało przepaść, jaka dzieliła już codzienność polskich bezrobotnych od wyobrażeń reszty społeczeństwa. 47 proc. wszystkich zapytanych o źródła utrzymania osób bez pracy wskazało na pomoc społeczną, instytucje charytatywne i Kościół. Wśród samych bezrobotnych odsetek takich samych odpowiedzi wyniósł tymczasem 12. Odwrotne proporcje badacze uzyskali przy pytaniu o oszczędności: 20 proc. ankietowanych bezrobotnych wskazało właśnie na nie jako na dodatkowe źródło utrzymania w trakcie poszukiwania pracy. Wśród wszystkich uczestników badania takiego zdania było tymczasem tylko 3 proc.

Miary normalności

Przez 26 z 30 lat wolnego rynku w Polsce wskaźnik bezrobocia utrzymywał się powyżej 10 proc., chwilami przekraczając nawet 20 proc. W rezultacie wielu przedsiębiorców nabrało przeświadczenia, że olbrzymia przewaga popytu nad podażą jest naturalnym stanem polskiego rynku pracy. W obecnym kryzysie widzą natomiast „powrót do normalności”. Z ich punktu widzenia kluczowa wydaje się więc również odpowiedź na pytanie o tempo powrotu „rynku pracodawcy”.

Wiele wskazuje bowiem na to, że załamanie rodzimej gospodarki nie będzie tak dotkliwe, jak w zamożniejszych od Polski krajach Europy Zachodniej, którym Komisja Europejska w prognozie sprzed kilkunastu dni wieszczy wprost

Polski system
wspomagania osób
pozbawionych zatrudnienia
**padł ofiarą niemal
całkowitego demontażu,**
przeprowadzonego
z premedytacją przez
egzotyczną koalicję kolejnych
rządów PiS i samorządowców.

katastrofę. Przy zapowiedziach spadku PKB Włoch, Hiszpanii, które stracą w tym roku ponad 9 proc., czy nawet na tle Niemiec, których gospodarka skurczy się o 6,5 proc., spadek polskiego PKB o 4,3 proc. rzeczywiście wygląda jak najniższy wymiar kary.

Optymizm autorów prognozy opiera się na porównaniu prostych parametrów poszczególnych gospodarek, w którym wyraźnie rysuje się tymczasowa przewaga polskiej: niski w odniesieniu do unijnej średniej odsetek mieszkańców zatrudnionych w sektorze usług, zwłaszcza turystyki, w którą pandemia uderzyła z największą siłą; niewielki udział tejszej turystyki w polskim PKB; wciąż duża liczba zakładów przemysłowych, które produkują na eksport. I to dla różnych branż. Słowacja, która kilkanaście lat temu związała się na dobre i na złe z żywającym obecnie wielkie trudności sektorem motoryzacyjnym, w tym roku wyhamuje o 6,7 proc.

Jej sytuację komplikuje dodatkowo obecność w strefie euro, a tym samym brak swoistego zderzaka, jakim dla każdej gospodarki jest różnica kursowa. Przez ostatnie 12 miesięcy euro podrożało do złotego o ponad 5 proc. i o tyle polscy eksporterzy mogą dziś obniżyć ceny dostaw dla kontrahentów płacących w unijnej walucie, nie tracąc przy tym na rentowności. Słowackie montownie samochodów czy centra usług dla biznesu w Wilnie czy w Tallinie, gdzie również płaci się już w euro, w walce o zagraniczne zlecenia będą zatem musiały sięgnąć do kieszeni o wiele głębiej niż ich polscy rywale.

W powtarzanej przez ekonomistów li-tanii przewag naszej gospodarki poczesne

miejsce nadal zajmują także niskie koszty zatrudnienia. Z szacunków Eurostatu wynika, że godzina pracy Polaka w 2018 r. (nowszych opracowań na razie brak) kosztowała średnio 10,1 euro i taniej można było ją zlecić tylko w Bułgarii (5,4 euro), Rumunii (6,9 euro), na Litwie (9 euro), Węgrzech (9,2 euro) i na Łotwie (9,3 euro). W porównaniu z 2017 r. koszty polskiej pracy wzrosły wprawdzie o 6,8 proc., ale nadal są niezwykle atrakcyjne – zwłaszcza w zestawieniu z duńskimi (43,5 euro za godzinę), belgijskimi (39,7 euro), szwedzkimi (36,6 euro), holenderskimi (35,9 euro), francuskimi (35,8 euro) czy niemieckimi (34,6 euro). Jeśli potwierdzą się prognozy ekonomistów i po głębokiej tegorocznej recesji gospodarki odbiją w przyszłym roku w górę (Bruksela szacuje, że w tym roku PKB UE skurczy się o 7,4 proc., ale w 2021 r. odnotuje aż 6,1 proc. wzrostu), dla firm w najlepszej kondycji nastanie wówczas okres zniw.

Dlatego trudno nie mieć wrażenia, że część przedsiębiorców i wspomagających ich ekonomistów w debacie publicznej z premedytacją przerysowuje zagrożenie bezrobociem w najbliższych miesiącach. Cel? Przygotować podatny grunt pod rozmowy o ponownej deregulacji rynku pracy i pod dalsze obniżki wynagrodzeń, które jeszcze bardziej zwiększą konkurencyjność ich firm w nowej, postpandemicznej rzeczywistości wspólnego unijnego rynku. Jeszcze kilka miesięcy temu środowisko uskarżało się na brak około dwóch milionów rąk do pracy. W marcu, tuż przed zamknięciem granic, Rzeczpospolitą opuściło w pośpiechu kilkadziesiąt tysięcy obywateli Ukrainy, pogłębiając jeszcze bardziej tę lukę. W kontekście tych informacji zapowiedzi 14-procentowej stopy bezrobocia w Polsce na koniec roku wydają się zatem, delikatnie mówiąc, zbyt pesymistyczne.

Jak mówi dr hab. Agnieszka Chłoń-Domińczak, ekonomistka zajmująca się polityką społeczną, w odpowiedzialny sposób można dziś prognozować zagrożenie bezrobociem w przedziale 8-9 proc. na koniec roku. To oznacza, że do sylwestra pracę straci około 700 tysięcy osób. Strasznie dwukrotnie wyższym wskaźnikiem będzie jednak w tej sytuacji takim samym nadużyciem jak mówienie, że te 700 tys. Polaków nieodpowiedzialni kapitaliści składają właśnie na ołtarzu zysków.

© P MAREK RABIJ



MAREK RABIJ będzie gościem
Grzegorza Chłasty w środę

27 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



MIROSLAW PIEŚLAK

Online nie zdaje egzaminu

GRZEGORZ CAŁEK, DYREKTOR INSTYTUTU INICJATYW POZARZĄDOWYCH:

Dorośli dzięki zdalnej edukacji poznali współczesny świat ucznia. Teraz są za odchudzeniem szkolnej podstawy programowej.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Jak wygląda polskie nauczanie zdalne?

GRZEGORZ CAŁEK: Odpowiedź jest smutna: tego nauczania właściwie nie ma.

Jak to nie ma?

W trzecim już swoim badaniu zachowań Polaków w czasie kwarantanny – tym razem dotyczącym edukacji – poprosiłem rodziców o odniesienie się do kilku stwierdzeń. Jedno z nich brzmiało: „W obecnym nauczaniu zdalnym więcej jest zadawania uczniom zadań do wykonania, a mniej faktycznego uczenia ich przez nauczycieli”. Ponad trzy czwarte rodziców zgodziło się z tym. Trzeba zastrzec, że moje badanie nie miało charakteru reprezentatywnego, ale ogromna liczba ankietowanych (8250 osób) pozwoliła mi uzyskać wiedzę o poglądach

szerokiej grupy rodziców. Upust swoim emocjom dawały najczęściej osoby, które mają sporo zastrzeżeń do tego, co dzieje się ostatnio w edukacji. Odpowiedzi na inne pytania oraz spontaniczne wypowiedzi potwierdzają, że bardzo mało jest nauczania, w szczególności realizowanego przez spotkanie nauczyciela z uczniem na żywo.

Czyli co jest?

91 proc. ankietowanych miało do czynienia ze zlecaniem do wykonania zadań z podręcznika, zbioru ćwiczeń itp. Czyli uczeń dowiaduje się, że ma zajrzeć do podręcznika na stronę X i wykonać przykłady od a) do e). Albo dzieci otrzymują zadanie, by przeczytać fragment podręcznika. Miało z tym do czynienia ponad 80 proc. rodziców. Czyli znów forma pracy samodzielnej, bez udziału nauczyciela. Kolejne

najpopularniejsze metody to zlecenie samodzielnego wykonania prezentacji, wypracowań oraz – i temu już bliżej do uczenia – przesyłanie materiałów edukacyjnych przygotowanych przez nauczyciela albo linków do nich. Oczywiście do samodzielnego zapoznania się. Te formy także dotyczą ponad 80 proc. uczniów.

A jak często są prowadzone lekcje na żywo?

Wprawdzie spotkało się z nimi blisko 60 proc. rodziców, jednak z komentarzy wyraźnie wynika, że jest to forma stosowana przez nauczycieli w bardzo ograniczonym zakresie. Nauczyciele nie zostali właściwie przygotowani do pracy zdalnej, ale widać, że radzą sobie na miarę swoich możliwości.

Indywidualne konsultacje – są w tych warunkach możliwe?

40 proc. rodziców wskazało, że nauczyciele dają uczniom taką możliwość. Dzieje się to jednak sporadycznie, więc należy tę sytuację odróżnić od stałego indywidualnego prowadzenia zajęć z uczniem, najlepiej na żywo. Z taką formą spotkało się około 10 proc. rodziców. Tracą na tym przede wszystkim uczniowie ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, dla których brak takich zajęć przez dłuższy czas, →

→ liczony już w tygodniach, to groźba wręcz cofania się w tym, co już wcześniej udało się osiągnąć.

Jakie są największe trudności związane z edukacją zdalną?

Problemem wskazanym przez prawie 75 proc. badanych jest zmęczenie dzieci obecną sytuacją. Brakuje też możliwości spotkania się na żywo z przyjaciółmi. Do tego dochodzi ogromne przeciążenie nauką.

Mogłoby się zdawać, że nauczania jest w tych warunkach mniej.

Nauczania tradycyjnego, z udziałem nauczyciela, jest mniej. Ale bardzo dużo jest samodzielnej nauki. Nauczyciele niby zadają niewiele – po pięć zadań z matematyki, kilkanaście ćwiczeń z języka angielskiego, trzydzieści stron z podręcznika do historii. Do tego lektury z języka polskiego i jeszcze trzy prezentacje z innych przedmiotów. Ale to wszystko zaczyna się kumulować. Gdy dojdzie brak koordynacji między nauczycielami, pojawia się dodatkowy problem – obciążenia są nierównomiernie rozłożone w czasie.

A jak sobie radzą w tej sytuacji rodzice?

Też są zmęczeni. Jest im trudno niezależnie od tego, czy pracują w domu, czy nie mogą tego robić. Są także problemy z mobilizacją do nauki. Przy czym mam na myśli zarówno motywację samego dziecka, jak i kłopot rodziców, by zachęcić je do wykonywania zadań. Wynika to oczywiście z tego, że ciężar nauki został przerzucony w dużej mierze z nauczycieli na uczniów, ale też na rodziców.

Rodzice nie chcą pomóc?

Czasem nie chcą, choć sądzę, że to jednak margines. Problem bardziej w tym, że nie mają siły, a przede wszystkim nie zawsze potrafią pomóc. Wyraźniej widać to w wyższych klasach. Mechanizm jest prosty: nauczyciele zadają pracę do samodzielnego wykonania. Czasem dziecko jest w stanie przeczytać kilkanaście stron w podręczniku i je zrozumieć. Często jednak ma z tym problem i to moment, kiedy ewidentnie brakuje nauczyciela, który wytłumaczy, skoryguje, pokaże przykłady. Bywa, że rodzice po prostu dysponują na tyle małym kapitałem kulturowym, że pomoc dziecku w siódmej czy ósmej klasie przekracza ich możliwości.

Co z dostępem do sprzętu?

W mediach, zwłaszcza na początku pandemii, mówiło się głównie właśnie o sprzęcie. To duży problem. Dotyczy on około 20-25 proc. rodzin i związany jest nie tyle z brakiem komputera, bo ten zwykle jest, ale z dostępem do dobrej jakości łącza internetowego czy drukarki.

Czy jest różnica w odbiorze edukacji zdalnej w zależności od tego, ile ma się dzieci?

Jest, trojakiego rodzaju. Po pierwsze: sprzęt. Powiedziałem, że komputer generalnie w polskich domach jest. Nie oznacza to jednak, że swój komputer do nauki ma każde dziecko. Często dzieci mają do dyspozycji jeden komputer. W sytuacji, gdy dzieci jest troje lub więcej, konieczna jest dobra organizacja nauki. Dotyczy to też dobrej organizacji czasu i przestrzeni w domu. I właśnie ta organizacja jest drugim elementem, który zależy od liczby dzieci w rodzinie.

Wiąże się z tym trzecia kwestia, czyli panowanie nad wszystkimi lekcjami, zadaniami itd. To duże wyzwanie logistyczne. Za przykład może posłużyć wypowiedź rodzica czworga dzieci. Każde z nich ma 6-7 przedmiotów, z których otrzymują zadania. W przypadku jednego dziecka jest świetnie, bo nauczyciele wszystkie prace opisują w Librusie. Ale u pozostałej trójki jest fatalnie, ponieważ każdy nauczyciel robi po swojemu: wysyła wiadomości przez dziennik elektroniczny albo maile, pisze na Facebooku itd. Skutek? Rodzic, by upewnić się, co jego dzieci mają do zrobienia, musi zajrzeć w dwanaście miejsc.

Co rodzice sądzą o ocenach?

Aż dwie trzecie jest za normalnym ich wystawianiem, sprzeciwia się temu tylko jedna czwarta badanych. Z opinii rodziców wynika, że nie jest to kwestia jakiegось szczególnej wiary w skuteczność zdalnych metod nauczania i egzekwowania wiedzy. W ocenianiu na odległość widzą oni szansę na lepsze stopnie dla swoich dzieci, co ma wynikać z mniejszej surowości nauczycieli, a przede wszystkim mniejszego stresu związanego z nauką i sprawdzianami.

Ale przecież ta wiedza może być sprawdzona po powrocie do normalnej szkoły.

I tu jest bardzo ciekawa kwestia. Otóż bardzo często pojawia się wątek powrotu i sprawdzania wiedzy z okresu izolacji. Z jednej strony – rodzice chcą powrotu do normalności, chcą móc pracować i zarabiać. Z drugiej zaś – myślą o tym, co będzie lepsze dla ich dzieci.

A co będzie lepsze dla uczniów?

W sensie towarzyskim na pewno powrót. Motyw tęsknoty za „normalną” szkołą jest bardzo widoczny w moich badaniach. Ale edukacyjnie? Spójrzmy w kalendarz. Gdyby uczniowie mieli wrócić w czerwcu, to w praktyce zostałyby im dwa tygodnie nauki. I tego właśnie bali się rodzice i uczniowie – że po powrocie do szkoły nauczyciele chcieliby w tak krótkim czasie nadrobić dwa miesiące zdalnej edukacji. Stąd postulat, że lepiej, aby to zdalne nauczanie zostało do końca tego roku szkolnego.

To oznacza, że rodzice mają zaufanie do efektów nauczania zdalnego?

Niekoniecznie. Wskazałbym tu raczej na myślenie w kategoriach dobra swojego dziecka. A w kwestii, o którą pan pyta, są bardzo podzieleni. Połowa badanych uważa, że po powrocie do szkoły powinno się powtórzyć cały materiał z okresu pandemii.

Czy to, jak wygląda podstawa programowa, ile zajęć, podręczników i jakie wymagania mają dzieci, sprawiło, że rodzice chcą zmian?

Tak! Aż dwie trzecie jest za odchudzeniem podstawy programowej. To efekt bliższego poznania współczesnego świata ucznia. Rodzice przez to, że musieli na co dzień wspierać swoje dzieci w nauce, zobaczyli, ile jej jest.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ



MACIEJ FOLTA

GRZEGORZ CAŁEK
jest badaczem zachowań Polaków w czasie kwarantanny.
Dyrektor Instytutu Inicjatyw

Pozarządowych, w którym od 15 lat prowadzi projekty rozwijające aktywność społeczną. Prezes Polskiego Towarzystwa Zespołu Aspergera. Zajmuje się badaniem podmiotowości rodziców w polskiej szkole oraz niepełnosprawności (obecnie jako doktorant w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego).

ANNA

Dziewit-Meller:

Szklana pogoda



PODRÓŻUJĄC OSTATNIO SPORO MIĘDZY MAZURAMI a Warszawą, zmęczona polską debatą na jakikolwiek już w sumie temat, słucham dużo podkastów z zagranicy. W ubiegłym tygodniu z wielkim zainteresowaniem wysłuchałam tego, co mówił dziennikarz „New York Timesa” James Poniewozik, który od wielu lat zajmuje się krytyką telewizji. A była to opowieść o tym, jak wspólne oglądanie tego medium bywa pięknym rodzinnym doświadczeniem, niosącym bliskość osobom zaangażowanym we wspólne gapienie się w ekran. Serio. Tak mówił. I miał na to dowody.

Przypomniał bowiem czasy swojej młodości, gdy wspólne oglądanie serialu „M.A.S.H.” z ojcem było formą ich komunikacji, nieraz dużo głębszą niż to, co potrafili sobie powiedzieć wprost. Taka to była generacja – powiada Poniewozik – w której właściwie nie robiło się rzeczy mających z założenia jakoś celowo tworzyć więź z dzieckiem, więź tworzyła się poprzez różne rutyny. Wspólne oglądanie TV było dla nas bardzo więziotwórcze.

Przyjrzałam się więc natychmiast swojej przeszłości i – bum! – teraz napiszę, że wspólne oglądanie telewizji i w mojej rodzinie było działaniem więziotwórczym. Gdy tylko na rodzinnym forum zapytałam, jakie mają wspomnienia związane ze wspólnym oglądaniem, rozwiązał się worek z opowieściami.

Ot sobota – w dawnych czasach dzień ważny dla każdego dziecka, bo w soboty w porze obiadowej TVP nadawała „Kacze opowieści” (od 1989 do 1993 r.). Mama, jak w każdej porządnej śląskiej rodzinie, serwowała nam w soboty żur, a tata siedział z nami przed telewizorem i oglądał. Przed „Kaczymi opowieściami”, jak i przed niedzielną wieczorynką, która tym różniła się od pozostałych, że była na bogato – ze stajni Disneya – TVP emitowała również lepsze reklamy. Co przypominał nam tata śpiewając pod nosem „Ta wstrętna Cindy, co na modzie się zna”, czyli naszą rodzinną wersję piosenki z reklamy drogich lalek, na które nikogo wówczas nie było stać – więc wszyscy o nich marzyliśmy, a frustrację wyrażaliśmy przekręcając przymiotnik „piękna”, którym Cindy określił copywriter.

Za to niedzielne poranki, wypełnione zapachem frankfurterek z keczupem, były momentem wspólnego oglądania serialu „Droga do Avonlea”, opartego na książkach Lucy Maud Montgomery. Jeśli naprawdę powinniśmy kiedyś pojechać gdzieś całą rodziną, to na Wyspę Księcia Edwarda. Żadne inne miejsce na świecie nie było przez nas tak regularnie oglądane jak ta wyspa. W ogóle była wtedy jakaś szczególna mięta do Kanady, bo popołudnia niedzielne wypełniała fabuła serialu „Niebezpieczna zatoka” o przygodach rodziny Robertów – dwójki dzieci i ich taty pracującego jako morski biolog w Akwarium w Vancouver. Niezmiennie fascynujące dla nas było to, że w serialu dziejącym się na kanadyjskim wybrzeżu

Pacyfiku dwójka dziecięcych aktorów tak stosownie morską się nazywa: aktorka bowiem miała na imię Ocean, młody aktor nosił zaś nazwisko Crabb, co nas zawsze bardzo śmieszyło.

A potem trochę podrośliśmy i miejsce bajek w seansach wspólnego oglądania zajęły seriale. Takie jak „Hotel Zacisze” (zawsze zwany „Hotelem Zacyce”), „Pan wzywał, Milordzie?” czy oglądany nie tylko przez rodzinę Poniewozików w Ameryce serial „M.A.S.H.”.

Wreszcie zaś przyszedł czas na „Latający cyrk Monty Pythona”, nagrywany na kasety video najpierw przez tatę, potem też już przez nas z telewizyjnej Trójki, gdzie na początku go nadawano. Wtedy też jedynym słusznym tłumaczeniem stało się dla nas to dokonane przez Tomasza Beksińskiego, albowiem oglądaliśmy wszystkie odcinki tyle razy, że się w końcu nauczyliśmy wszystkiego na pamięć. W domu każdy wie, kim jest Namorzyn Nieżyty Krtani, Zasmarkany Szczurek Buc albo Nudna Stara Pierdziocha. I żadnemu z członków mojej rodziny nie trzeba tłumaczyć, co się stało, gdy ktoś powiada: „Edno zżarło środu”, bo przecież jasne jest, że to po prostu „Jedno z żaren wypadło z mimośrodu” – a kto tego nie wie, ten może powinien zacząć z rodziną oglądać po kolei wszystkie odcinki.

Były też rodzinne seanse doroczne z filmami „National Lampoon” – w Boże Narodzenie odtwarzaliśmy „W krzywym zwierciadle. Witaj święty Mikołaju” („– Tato, Clark się napracował. – Pralki też ciężko pracują”) i inne filmy z Cheym Chase'em (w tym wspaniałego „Fletcha”, z którego pochodzą takie rodzinne mądrości jak „Luizjana to stan pelikana”).

Wiadomo bowiem, telewizja ogłupia i tak dalej, ale – zwłaszcza teraz, gdy jeszcze nigdy ekrany w naszych domach nie jarzyły się tak mocno – może trzeba, jak krytyk „NYT”, wziąć i zrehabilitować ten wzgardzony czas, który marnowaliśmy na wspólne oglądanie czegokolwiek. Niech będzie pięknym, a nie wstydliwym takie na przykład wspomnienie, że w 2008 r. zabrałam z domu na wyjazd służbowy odtwarzacz DVD i kable, by mieć pewność, że w hotelu będziemy mogli z mężem w spokoju zobaczyć kolejne odcinki „Lost”, który to serial na płytach DVD kupiliśmy na Amazonie. ©

POZEGNANIE

W dniu 17 maja 2020 roku
w wieku 87 lat odszedł
nasz najukochańszy Mąż, Ojciec i Dziadek

ś.†P.

Jerzy Skąpski

Wybitny artysta malarz,
projektant witraży, plakatów.
Redaktor graficzny „Tygodnika Powszechnego”,
kawaler Rycerskiego i Szpitalniczego
Zakonu św. Łazarza z Jerozolimy.

AGNIESZKA, ŁUKASZ, HELENA,
ANTONI I MARIA SKĄPSCY Z RODZINĄ

A close-up portrait of a man with a beard and glasses, looking slightly to the side. The image is overlaid with a large, semi-transparent yellow filter. A red square is positioned in the upper left corner.

WIARA

BYŁEM SCHOWANYM CZŁOWIEKIEM

JAKUB PANKOWIAK, MUZYK:

Muzyka organowa była moim krzykiem. I moim wyznaniem wiary.

ANNA GOC: Czy pamięta Pan moment pierwszego zachwyty muzyką organową?

JAKUB PANKOWIAK: Nie tyle moment, co czas w życiu. Tata kończył Państwową Szkołę Muzyczną II stopnia w Kaliszu. Dużo ćwiczył, zwykle wieczorami. Jego pianino stało w pokoju moim i brata. Nie mieliśmy wyboru – musieliśmy słuchać, jak gra. Ale właśnie wtedy zaczęła się moja miłość do muzyki liturgicznej. Pierwsze emocje, pierwsze odkryte połączenia harmoniczne, pierwsze zachwyty. Miałem wtedy siedem lat. Zaczęłem też chodzić z tatą do kościoła: on siadał przy organach, ja obok niego, na ławeczce.

Kim był dla Pana?

Przez wiele lat był dla mnie wzorem muzyka. Teraz wiem, że startował z innego pułapu, w młodości uczył się sam. W latach 80. był na studium organistowskim w Poznaniu. Doksztalał się jako dorosły.

Mama miała dla mnie mniej czasu, bo prócz pracy zajmowała się naszym chorym bratem. Tata zawoził mnie do szkoły muzycznej. Zawsze przygotowywał jakieś nuty, które potem próbowałem wykonać samodzielnie w kościele. Zdarzało się, że pozwalał mi na mszach zagrać jedną czy dwie pieśni. Jeździłem z nim też do proboszczów, którym pomagał przy niewielkich remontach organów. Jeśli był na to czas, zachęcał, żebym im pokazał, jak gram.

Wprowadzał Pana w ten świat.

Tak. Dzięki niemu zobaczyłem, że muzyka liturgiczna nie musi być takim koszmarem, jakim zwykle była w latach 90. Wyczuł mi na usłyszenie współbrzmień, które pozostają na całe życie. Są takie utwory, które tata ćwiczył w naszym dziecięcym pokoju, i które ze mną zostały. Niezależnie od tego, gdzie gram koncert, nawet w najbardziej dostojnych wnętrzach, staram się je przemycić. Są łącznikami z dobrą przeszłością.

Które to utwory?

Druga część Sonaty organowej triowej Jana Sebastiana Bacha. Sonata c-moll jest taką formą, gdzie trzy głosy współgrają ze sobą, mają jeden temat, który przewija

się przez całą tę część. Tam są niesamowite współbrzmienia, dużo chromatyki, która mnie, ośmiolatka, bardzo poruszała. Choć tata w domu miał tylko pianino, a więc grał dwugłosowo.

Była jeszcze Fuga c-moll Jana Sebastiana Bacha, jedna z mniejszych, i pamiętam Fantazję koncertową Augusta Freyera, bardzo trudną. Jak tylko zacząłem grać na organach, próbowałem ją wykonać.

Nie miał Pan wątpliwości, czy być organistą?

Nie, mimo że decyzję podejmowałem już wtedy, gdy do mojego życia wszedł ksiądz, o którym opowiadałem w filmie „Zabawa w chowanego” braci Sekielskich.

Mówi Pan o roku 1996, gdy wraz z rodziną przeprowadził się Pan do Pleszewa.

Tak. Z małego mieszkania przenieśliśmy się do wielkiego – trzy pokoje, kuchnia, olbrzymia łazienka, centralne ogrzewanie. Było rewelacyjnie, przynajmniej na początku. Tata pracował jako organista, codziennie chodził do kościoła. Do naszego domu zaczęli przychodzić jego znajomi z pracy, także księża. Przychodzili na kawę, czasami któryś wpadał na piwo. Podobnie było z tym księdzem, o którym mówię w filmie. Zaczęło się życie w dwóch światach. W jednym byli koledzy, muzyka, w drugim – on.

Świat równoległy.

Ten świat, w którym był on, niespecjalnie chciał się zmieścić w mojej głowie. Starłem się z niego uciekać. Zabrzmi to dziwnie, ale tłumaczyłem to sobie tak: znowu mi to robi, potrwa to kilka minut, będzie obrzydliwe i straszne, ale wytrzymam, a potem będzie znów normalnie.

Było?

Tylko pozornie. Właściwie to normalnie było tylko przez chwilę. Ksiądz zabrał mi wiele rzeczy.

Także dom?

Tak, bo wchodził do naszego mieszkania jak do siebie. Bo to wszystko działo się, gdy rodzice byli za ścianą albo na chwilę wychodzili z pokoju. Pamiętam Boże Narodzenie w nowym mieszkaniu. Przyszli do nas na kolację, usiadł

przy stole, dał nam prezenty. Rozmawiał wesoło z moimi rodzicami, żartował, a gdy tylko rodzice po coś wyszli, zaczynał mnie całować i dotykać. Wystarczyło mu kilkanaście sekund.

Odkąd zaczął do nas przychodzić, przestałem czuć, że nasze mieszkanie jest moim domem.

Kiedy rodzice wracali, uśmiechał się do nich i znów rozmawiali. Jakby nigdy nic. Siedziałem i patrzyłem: to na rodziców, to na niego. Czułem, że nie mogę nic powiedzieć. Bo nie mam na to siły. Udało mi się tylko czasami przewidzieć, że rodzice po coś zaraz wyjdą, i uciec.

Próbuję sobie wyobrazić, co myśli dziecko patrzące to na rodziców, to na księdza, który krzywdzi, siedzących razem.

To był straszny dysonans. I rzeczywistość, te momenty bardzo rzutowały na moje późniejsze relacje z rodzicami. Teraz rozumiem, że musiałem bardzo szybko zmężyć. Wyjechałem do liceum, zamieszkałem w internacie. Rodzice pewnie uważali, że sobie świetnie radzę. A ja myślałem, że muszę sobie radzić, bo nikt się mną nie zaopiekuje. Czułem same sprzeczności. „Nie mogą ci za wiele dać” – myślałem o rodzicach, a chwilę potem: „przecież oni o niczym nie wiedzą”. Kiedy to się działo, nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Nie mówiłem rodzicom z jeszcze jednego powodu, który może się wydać dziwny: bałem się, że stracę przyjaciela w postaci księdza.

Nie dziwię się, bo rozmawiając z osobami wykorzystanymi seksualnie przez księży, a także z terapeutami, wiem, że takie myślenie to element manipulacji, którą stosuje ksiądz, żeby wciągnąć swoją ofiarę w układ.

Kiedy to się działo, czułem, że mnie krzywdzi. Nie rozumiałem, po co to robi. A chwilę potem, gdy jechaliśmy do kina albo szliśmy coś razem zrobić w kościele, wydawało mi się, że mnie wspiera.

Ksiądz w swój układ wciągnął także Pana rodziców.

Bałem się, że tata straci pracę. Był organistą, mieszkał w kościelnym mieszkaniu. Mieliliśmy bardzo chorego brata, potrzebowaliśmy pieniędzy na jego leczenie.

⇒ I bałem się jeszcze jednego: że nikt mi nie uwierzy. Księża wszyscy lubili. Potrafił obrzydliwie mnie dotykać, a gdy do drzwi wikariatu ktoś zapukał, wstać, otworzyć i z uśmiechem zaprosić gościa do środka. Czasami przychodzili inni księża, proponował im kawę. Siedzieliśmy razem, jakby nigdy nic. Po latach zdałem sobie sprawę, że boję się ludzi, którzy potrafią tak szybko zmienić swoje emocje. Widziałem też inne dzieci, które do niego przychodziły. Zastanawiałem się, czy im też to robi.

Czy rozmawia Pan o tamtych wydarzeniach z rodzicami?

Bardzo mi zależało na tym, żeby wątek rodziców nie pojawił się w filmie. Chciałem ich ochronić. Przeżywają teraz bardzo trudny czas, mają pewnie mnóstwo wyrzutów wobec siebie. Kiedy ksiądz, który zrobił nam krzywdę, przychodził do naszej parafii, plotkowano, że coś jest z nim nie tak. Oczywiście, to były lata 90., więc nikt nie używał słowa „pedofil”.

O tym, co mi zrobił, powiedziałem tacie, kiedy byłem już dorosły. Zadzwoń, miałem w sobie mnóstwo złości, złej energii. Gdy się spotkaliśmy, wyznał mi, że go przed tym księdzem ostrzegano: „Ktoś mi powiedział, że trzeba na niego uważać, a ja to zbagatelizowałem”.

Jak Pan to przyjął?

To był czas buntu i wstydu. Zależało mi na tym, żeby nikt poza tatą i moją żoną się o tym nie dowiedział. Tata chciał iść na policję, ale zabroniłem mu. Powiedziałem, że jak to robi, wszystkiego się wyprę. Dopiero teraz, kiedy mój brat przyznał, że też był przez tego księdza molestowany, zdecydowałem się mówić.

Gdy myślę o rodzicach, czuję miłość, mnóstwo pozytywnych emocji. Ale nie kojarzą mi się w ogóle z poczuciem bezpieczeństwa. I już chyba nigdy nie będą.

Odzyskał Pan poczucie, że dom to bezpieczna przestrzeń?

Nie. Kiedy myślę, dokąd chciałbym wrócić, gdzie są moje korzenie i gdzie jest moje bezpieczne miejsce, wyobrażam sobie dom mojej babci. Przyjeżdżałem tam często jako dziecko. Zanim poznałem tego księdza.

Jak zmieniał się Pana obraz Kościoła?

Już jako dziecko patrzyłem na niektóre rzeczy w Kościele z podejrzliwością. Nie

rozumiałem na przykład, po co chodzimy wokół kościoła i coś śpiewamy. Albo: dlaczego mamy być obowiązkowo na mszy co niedzielę, czy nie lepiej, żebyśmy chcieli być? Nie rozumiałem narzuconych odgórnie nakazów. Gdy zacząłem być molestowany, mój silny już bunt wobec pewnych rzeczy w Kościele tylko się wzmocnił.

A przestrzeń kościoła – ona też była trudna?

Nie, nigdy. W kościele były organy, tam czułem się u siebie. Chyba zacząłem utożsamiać moją wiarę z muzyką liturgiczną. Dlatego wewnątrz kościoła nigdy mnie nie odpychało, nie kojarzyło się z niczym złym.

Kończył Pan liceum organistowskie w Lutomiersku, które prowadzą księża salezjanie. Jak się Pan odnalazł wśród księży?

Wiedziałem, że nie mogę zostać w domu, bo w parafii obok jest on. Zdecydowałem, że zamiast iść do liceum na miejscu, pójdę do organistowskiego. Jedynie w Polsce jest w Lutomiersku.

Wtedy jeszcze nie bardzo potrafiłem patrzeć na księży. Drażnili mnie. Odrzucała mnie sutanna, koloratka. Na szczęście w liceum poznałem fajnych księży. Niby trochę zapomniałem o tamtym. Ale też chyba dopiero tam uświadomiłem sobie, co mi zrobił. Spotykałem się ze znajomymi, śmialiśmy się i żartowaliśmy, ale ja patrzyłem na nich i myślałem: „Oni mają cudowne życie, a w moim do końca będzie ten ksiądz”. Uświadomiłem sobie, jak niesamowitą krzywdę mi wyrządził. Że nigdy nie będę taki jak inni. Zawsze będę miał blokadę. Także w relacji z dziewczynami, później kobietami. Obawy, że ktoś mnie znowu skrzywdzi, zawiedzie, nie miną. Pojawiło się pytanie, czy zdołam komuś zaufać.

Był czas w moim życiu, kiedy sam sobie nie potrafiłem zaufać. Nie wiedziałem, co zrobić, jak się zachować. Bałem się każdego następnego dnia. Miałem poczucie, że jestem gorszym mężczyzną, inni są mocniejsi, pełni energii, pewni siebie. A ja byłem człowiekiem schowanym.

Potem zaczął się mój bunt.

Opowie Pan o nim?

To było na początku studiów. Nie znosiłem księży. Uważałem, że wszyscy są źli, utożsamiałem ich z tym, który mnie

skrzywdził. Miałem wrażenie, że oni wiedzą, którzy spośród nich molestują dzieci, i kryją się nawzajem. Chodziłem do kościoła, ale wszystko się we mnie gotowało.

Równocześnie siadał Pan przy organach w kościele.

Być może zabrzmiało to absurdalnie, ale wydarzenia z dzieciństwa miały niesamowity wpływ na mój rozwój artystyczny. Emocje, które w sobie nosiłem, mogłem wyrazić w muzyce. A że tych emocji było tak dużo, moją muzykę niektórzy oceniali jako wyjątkową.

A dla Pana? Czym ona była?

Moim krzykiem. I moim wyznaniem wiary, modlitwą. Nie modłę się wypowiadając słowa, tylko siadając przy organach.

Niezwykłe przejmujące jest Pana wykonanie Toccaty Jana Sebastiana Bacha, od której zaczyna się „Zabawa w chowanego” braci Sekielskich.

Im więcej człowiek ćwiczy, tym jest lepszy. Ale same ćwiczenia nie wystarczą. Potrzebne są emocje i wrażliwość. Moje emocje były na wierzchu, a wrażliwość bardzo rozwinięta. To było słychać.

Do dziś, już jako pedagog, mam z tym kłopot – czasami oczekuję od studentów dużego zaangażowania emocjonalnego w to, co grają. Wykonania, które są emocjonalnie zagrane, wydają mi się wartościowsze.

Gdy Pan gra, wracają obrazy z mieszkania w Pleszewie?

Nie, obrazy nigdy, tylko emocje. Dzięki temu mogę je wyrzucić. Muzyka była terapią i przygotowaniem do tego, co się teraz dzieje. To, że rozmawiam z panią tak otwarcie, jest zasługą muzyki. Występowałem w wielkich salach koncertowych i kościołach. Grałem o tym, co przeżywałem. Na koncerty do kościołów przychodziły setki osób i słuchały muzyki człowieka, który wyrzuca z siebie krzywdę doznana od księdza.

Muzyka dawała mi nie tylko przyjemność, ale też uczyła przyjmowania ocen. Niektóre nagrania z koncertów obejrzały setki tysięcy osób, podobnie jak film braci Sekielskich. Może dzięki temu potrafię teraz przyjąć podziękowania od innych ofiar, które dzwonią, i nie zwracać uwagi na hejt, który czasami pojawia się w komentarzach.

Gdyby miał Pan zamienić nuty na słowa, jakich by Pan użył?

Nie potrafię znaleźć słów czy zdań. Wiem tylko, że moja muzyka jest o smutku, żalu, czasami o buncie i agresji. I jeszcze o melancholii. Ktoś mnie kiedyś pochwalił, że rzadko się słyszy tak wrażliwe prowadzenie frazy organowej w wolnym tempie. Ale to chyba nie jest moja zasługa, tylko tamtych emocji.

Jak słyszeć emocje w Pana muzyce?

Uwielbiałem utwory w tonacjach molowych. Przez wiele lat miałem kłopot z tym, żeby zachwyć się utworami durowymi. Wydawały mi się zawsze lekkie i mniej wartościowe. Słucham ich i myślę: „Co w nich jest takiego głębokiego, dobrego?”. Teraz to się trochę zmienia, zaczynają mi się podobać utwory łatwe w odbiorze, potrafię się już nimi cieszyć. Być może w ogóle zaczynam się umieć cieszyć z czegoś, co jest łatwe i przyjemne, a niekoniecznie skomplikowane i trudne. Może na tym polega moje leczenie, które udaje się dzięki muzyce?

Zaczyna przynosić ukojenie.

Myślę, że muzyka uratowała moje życie. Mam znajomych, którzy też byli molestowani przez księży, ale nie mieli możliwości, by uciec w coś dobrego. Sam miałem stany depresyjne, myśli samobójcze. Mogę powiedzieć: tylko tyle – bo moi znajomi są po próbach samobójczych, znam osoby, które zaczęły chorować, są alkoholikami, narkomanami. To, co mi się zdarzyło, rzutuje na moją rodzinę, na moje małżeństwo. Dziękuję mojej żonie, że jeszcze ze mną jest, że to wszystko wytrzymała.

O księdzu, który wykorzystywał Pana seksualnie, powiedział Pan w filmie, że on już zawsze z Panem będzie, i że pójdzie z Panem nawet do grobu.

Udział w filmie braci Sekielskich był dla mnie terapią. Gdy nagrywaliśmy ten fragment, był czerwiec ubiegłego roku. Wtedy czułem, że nigdy nie pozbędę się tego księdza ze swojego życia. Gdy patrzę na początki nagrań, czuję, że były one dla mnie momentem przełomowym. Mówiąc o nim publicznie, nazywając rzeczy po imieniu, zacząłem się go pozbywać ze swojej głowy. Może ludzie, którzy przeszli to samo, widzą, co się ze mną działo wtedy i jak radzę sobie teraz, znajdując w tym pomoc. Choć nie mam pewności,

Muzyka uratowała moje życie.

Mam znajomych,
którzy też byli molestowani
przez księży,
ale nie mieli możliwości
uciec w coś dobrego.



WOJCIECH SKRZYPCZYŃSKI DLA „TP”

JAKUB PANKOWIAK jest absolwentem Akademii Muzycznej w Poznaniu, obronił dyplom z wyróżnieniem w klasie organów Sławomira Kamińskiego. Studiował także na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie pod kierunkiem Magdaleny Czajki, w Musikhochschule Lübeck pod kierunkiem Arvida Gasta. Laureat wielu konkursów w Polsce i za granicą, między innymi M.K. Čiurlionisa w Wilnie, Ogólnopolskiego Konkursu Organowego Wykonawstwa Utworów D. Buxtehudego w Krakowie i wielu innych. Uhonorowany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznaką „Zasłużonych dla Kultury Polskiej” (2017). Występuje jako solista akompaniator, koncertował m.in. w Niemczech, Luksemburgu i Izraelu.

co będzie ze mną za rok albo dziesięć lat. Czy ciemne dni wrócą.

Obserwował Pan to, co się dzieje w Kościele w związku z pedofilią: raport pensylwański sprzed dwóch lat, który pokazał, jak przez 70 lat co najmniej 300 księży wykorzystywało seksualnie ponad tysiąc dzieci i nieletnich, i konferencję prasową naszych biskupów sprzed roku?

Tak. Byłem wściekły, kiedy biskupi prezentowali jakiś raport i mówili o danych. Sam znam kilkadziesiąt osób wykorzystanych seksualnie przez księży. Większość z nich nigdy swojej sprawy nie zgłosiła. Znam trzy przypadki księży molestujących dzieci, które nigdy nie zostały ujawnione.

My, ofiary księży, rozpoznajemy się szybko. Czasami patrzę na kogoś i myślę: „Ty też byłeś molestowany, prawda?”. Widzę charakterystyczne spojrzenie, dystans, wyczerpanie na pewne zachowania. Czuję, że ktoś przeżył coś podobnego. I niestety to się często sprawdza.

Wtedy jeszcze wszystkie informacje związane z pedofilią wywoływały u mnie niesamowite emocje. Nie chciałem o tym czytać ani słuchać. Jeśli otwierając jakiś portal zobaczyłem nagłówek, w którym było słowo „ksiądz” i „pedofilia”, wyłączałem komputer. Czułem się winny. Jakbym to ja zrobił coś złego. Takie uczucie towarzyszyło mi też przy pierwszym filmie braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Przełomem było, kiedy zobaczyłem ludzi, którzy w nim wystąpili. Okazali się tacy sami jak ja, z podobnymi problemami i doświadczeniami.

Co się wtedy stało z poczuciem winy?

Zmieniło się w gniew, a gniew w energię do działania. Ale to wszystko długo trwało.

Wahał się Pan, czy wiązać swoje życie zawodowe z Kościołem?

Z racji wykonywanej pracy musiałem to zrobić. Wielu księży ma kłopot ze zrozumieniem muzyki liturgicznej. Często nie mają elementarnej wiedzy o niej i nie potrafią jej docenić.

Jak to się przekłada na traktowanie organistów?

Odpowiem dowcipem. Przy stole siedzi dwóch księży, wchodzi interesant, →

→ który chce pracować jako organista. Proboszcz pyta, czy umie oporządzać świnię. Organista mówi, że umie. Proboszcz pyta więc, czy pozamiatać wokół kościoła też umie. Tak, oczywiście. Drugi ksiądz na to: „Spytaj go, czy umie grać”. A proboszcz: „E tam, grać to umie każdy”.

Proboszczowie nie pytali Pana o kwalifikacje, nie prosili o CV?

Nie. Można skończyć studia, można uczyć się gry na instrumencie przez 30 lat, można coś nawet osiągnąć w dziedzinie muzyki organowej i można grać w kościele, którego proboszcz o tym wszystkim nie wie.

Pracowałem kiedyś przez trzy lata w pewnej parafii. Do proboszcza przyszedł mój znajomy z Akademii Muzycznej. Przywitaliśmy się. Proboszcz się zdziwił, skąd się znamy. Znajomy pyta: „Jak tam na uczelni?”, a proboszcz do mnie: „A co ty masz wspólnego z uczelnią?”. Kiedy powiedziałem, że tam pracuję, był bardzo zdziwiony. Przez trzy lata nie wiedział, że jestem muzykiem, że koncertuję... To go nie interesowało.

Nie słyszał, jak Pan gra?

Widocznie nie, czasem tylko mi zwracał uwagę, że gram za głośno. Dzwonił z dołu i zlecał: „Dziś ma być ciszej” albo „Zagraj ten psalm krócej”. Starałem się wykonać swoją pracę dobrze, zgodnie z przepisami liturgicznymi, ale ostatnie zdanie w sprawie muzyki należało do proboszcza, nie do mnie. Rozmawiamy o tym często z innymi organistami, mają podobne doświadczenia.

To jest obraz Kościoła, który należy do księdza.

Ta sytuacja przekłada się na warunki naszej pracy. Także od strony prawnej. Weźmy zapis o dniu wolnym od pracy w niedzielę. Pracujemy we wszystkie niedziele i święta, ale kiedy bierzemy dzień wolny za pracę w niedzielę, nikt nam za niego nie płaci.

Nie czuję się jak współpracownik proboszcza, raczej jak sługa. Jakbyśmy się zatrzymali w XVII albo XIX wieku. Nie czuję, że Kościół – także jako budynek – należy do nas na takich samych prawach. Nie mamy nawet komu zgłosić, gdy ksiądz nam proponuje podpisanie fałszywej umowy o wolontariat, oferuje pracę w szarej strefie, bo w Kościele nie

ma człowieka, który broniłby praw pracowników.

Takie praktyki są powszechne?

Tak, sam ich doświadczyłem i znam je z opowieści innych pracowników kościelnych. Praca w Kościele to zwykle praca w szarej strefie. My, organiści, szukamy przyzwoitych księży, którzy zgodzą się nas zatrudnić na umowę o pracę. O uczciwej kościelnej emeryturze nie mamy zwykle co marzyć.

Byłem świadkiem, kiedy pracownik kościoła musiał chodzić rano po bułki dla proboszcza, mimo że to w żaden sposób nie wiązało się z jego pracą. Sprzeciwić się księdzu nie można. To znaczy można, ale wtedy zwykle traci się pracę. Takie podejście do księży sprzyja temu, że robią rzeczy dużo gorsze niż podpisywanie fikcyjnych umów.

Zastanawiał się Pan nad reakcją księży, z którymi Pan pracuje, na film braci Sekielskich?

Tak, to była jedna z największych blokad, kiedy podejmowałem decyzję o udziale w filmie.

Czego się Pan obawiał?

Tego, że będę napiętnowany. Że stracę pracę. Kilka reakcji już było, między innymi prymasa Wojciecha Polaka – była pozytywna, długo rozmawialiśmy, ulżyło mi.

Jestem na etapie poszukiwania. Wierzę w Boga, ale mam kłopot z tym, żeby brać udział w życiu mojej parafii. Szukam miejsca w Kościele, gdzie nikt by mnie nie oceniał, nie mówił, co jest dobre, a co złe, raczej chciał pokazać, że droga do Jezusa jest kręta i nie musi być konieczność związana z niedzielą mszą i chodzeniem wokół kościoła z feretronami.

Na jakim etapie jest sprawa księdza, który molestował Pana i Pana brata, a którą Pana brat wniósł do prokuratury?

Moja sprawa, jako człowieka po 30. roku życia, została umorzona. Sprawa mojego brata od półtora roku jest w prokuraturze, nie trafiła jeszcze do sądu. Śledztwo trwa, ksiądz jest na wolności.

Gdybyśmy ja albo Pani wykorzystali seksualnie dziecko, siedzielibyśmy w areszcie. Takie jest prawo. Równe, dla wszystkich, poza księżmi.

© Rozmawiała ANNA GOC



Światłoczuli

MARCIN CHODUŃ

Żeby usłyszeć głos Boga, siedzą podczas nabożeństwa w ciszy. Kim są i w co wierzą kwakrzy?

KATARZYNA: – UMIEJĘTNOŚĆ PODEJMOWANIA jednomyślnych decyzji bez głosowania. Właśnie to najbardziej mnie ujęło.

Krzysztof: – Po latach poszukiwań tutaj znalazłem spokój i ciszę.

Michał: – Poczułem, że zawsze byłem częścią tej wspólnoty. Nie wiedziałem tylko po prostu, że ona tak się nazywa.

Bez pośredników

Urodzony w 1624 r. w purytańskiej rodzinie pasterz i szewski terminator George Fox w wyniku długich poszukiwań duchowych doświadczył jako 24-latek „spotkania z Bogiem”. Dzięki mistycznemu przeżyciu pojął, że do kon-



JASON REDMOND / REUTERS / FORUM

*Kwakierka Grace Wedgwood,
katedra św. Jakuba w Seattle.
Stany Zjednoczone, marzec 2020 r.*

grali kluczową rolę w ruchu abolicjonistycznym (przed rokiem 1761 kwakrzy uchwalili dla wszystkich członków swojej wspólnoty po obu stronach Atlantyku zakaz posiadania niewolników), w ruchach praw kobiet (wiele spośród amerykańskich przywódczyń sufrażystek w XIX wieku było kwakierkami) oraz w działaniach na rzecz obrony praw Indian amerykańskich (członkowie kwakerskiej wspólnoty m.in. budowali i prowadzili dla indiańskich dzieci szkoły i ośrodki adopcyjne).

Kwakierskie grupy pojawiły się wkrótce również w innych krajach: na terenie Niemiec, południowej Francji, Holandii czy Norwegii.

Dziś kwakrzy są obecni na całym świecie. Jest ich w sumie około 400 tys. i są zrzeszeni w kilku międzynarodowych organizacjach. Największa z nich to Światowy Komitet Przyjaciół na rzecz Konsultacji (Friends World Committee for Consultation). Najwięcej zgromadzeń jest w Afryce, głównie Kenii, w USA, Kanadzie i Europie. Kwakrzy są obecni również w Polsce.

Za swoją działalność pacyfistyczną, społeczną i polityczną otrzymali w 1947 r. Pokojową Nagrodę Nobla. W mowie noblowskiej podkreślono, że członkowie tej wspólnoty na przestrzeni wieków żyli w zgodzie z głoszonymi wartościami, sprzeciwiając się przemocy w każdej formie. Już w 1810 r. założyli pierwszą na świecie organizację pokojową; w XIX wieku propagowali ideę braterstwa między narodami (za co odsiadywali długoletnie wyroki w więzieniach) i pomagali poszkodowanym w czasie wojen (kwakerskie misje były obecne choćby w Finlandii podczas wojny krymskiej czy we Francji po wojnie z Prusami).

Nie inaczej było podczas wojen światowych w XX wieku. Podczas pierwszej z nich kwakrzy konsekwentnie odmawiali udziału w walce, za co trafiali do więzień. Od chwili rozpoczęcia pierwszych walk (w 1914 r. byli już obecni we francuskim regionie Marny) nieśli pomoc rannym i potrzebującym w miejscach najbardziej dotkniętych przez działania wojenne. Także podczas hiszpań-

skiej wojny domowej kwakrzy pomagali po obu stronach frontu.

Wszędzie tam w Europie i Azji, gdzie kwakerskie misje humanitarne mogły działać, niosły pomoc również podczas II wojny światowej. Gdy po japońskim ataku na Pearl Harbour z zachodniego wybrzeża USA ewakuowano 112 tys. mieszkających tam Japończyków, kwakrzy natychmiast pośpieszyli im z pomocą, m.in. aktywnie przeciwdziałając antyjapońskiemu resentymentom ze strony amerykańskiej społeczności.

List do króla

– Ze źródeł pisanych wiadomo, że na terenach polskich kwakrzy pojawili się niedługo po powstaniu ruchu w Anglii – objaśnia Michał, jeden ze współzałożycieli kwakerskiej grupy warszawskiej. – Istnieje list Williama Penna, bliskiego współpracownika George'a Foksa, do króla Jana III Sobieskiego, w którym prosi on polskiego władcę o wzięcie w opiekę prześladowanych kwaków na terenie Pomorza. Narodowość tych osób była różna, na tych ziemiach mieszkała przede wszystkim ludność niemieckiego pochodzenia, ale również m.in. Holendrzy, Szkoci oraz Kaszubi i Polacy. Wiadomo też o grupach kwakerskich istniejących na początku XX wieku na Podlasiu i Mazurach, również zapewne złożonych z osób mówiących przede wszystkim po niemiecku. Po obydwu wojnach światowych pojawiły się także w Polsce kwakerskie misje humanitarne, głównie z USA i Wielkiej Brytanii. Wiadomo również o nielicznych grupach kwaków w PRL-u, ale są to informacje szczątkowe.

W ostatnich latach w naszym kraju znów zaczęły pojawiać się kwakerskie ośrodki. Na początku XXI wieku powstała grupa w Poznaniu (obecnie istnieją dwie). W następnych latach kolejne – w Warszawie, Białymstoku, na Kaszubach i na południu Polski. W sumie to kilkanaście osób, z czego dziewięcioro jest formalnymi członkami Religijnego Towarzystwa Przyjaciół.

Polscy kwakrzy funkcjonują bez żadnej formalnej struktury. Ich grupy należą do nurtu kwakryzmu liberalnego, zdecydowanie dominującego w Europie. Poza nim na świecie istnieją obecnie jeszcze inne nurty tej religii: konserwatywny i ewangelikalny (pastoralny). Kwakrzy konserwatywni (ich zgromadzenia →

taktu ze Stwórcą potrzebne jest jedynie bezpośrednie działanie Ducha Świętego, a nie pośrednictwo wyświęconych kapłanów czy nawet Biblii, rozumianej od tej chwili przez jego uczniów raczej jako słowo o Bogu niż słowo Boga. Tak powstał w Anglii ok. 1652 r. nowy ruch religijny: kwakrzy.

Z indywidualnego doświadczenia religijnego Fox wywiódł przekonanie, że każdy człowiek ma w sobie wewnętrzne światło, czyli źródło poznania dobra i zła, mogące prowadzić do doskonałości. Stąd pierwsze nazwy, jakimi członkowie nowej religijnej wspólnoty samych siebie określali: Dzieci Światła, Głosiciele Prawdy, Przyjaciele w Prawdzie. Około 1800 r. kwakrzy przyjęli dla swojej organizacji oficjalną nazwę: Religijne Towarzystwo Przyjaciół.

Krótko po powstaniu kwakerska wspólnota szybko się rozrastała, obejmując swym zasięgiem całą Anglię (w XVII wieku niektóre angielskie miasta, jak Bristol, były właściwie całkowicie kwakerskie), inne tereny Brytanii oraz Irlandię. W wyniku prześladowań religijnych w okresie restauracji Stuartów pod absolutystycznymi rządami Karola II wielu kwaków szukało schronienia w Ameryce Północnej. Tam ode-

→ istnieją głównie w USA) odwołują się do pierwotnej formuły, uznającej rolę Chrystusa w zbawieniu ludzkości.

Nabożeństwa kwakrów konserwatywnych i liberalnych są podobne – w oczekiwaniu na doświadczenie wewnętrznego światła, czyli objawienia, ich uczestnicy siedzą przez godzinę w ciszy (w kręgu lub w ławach), przerywanej jedynie rzadkimi wypowiedziami osób, które czują w sobie boskie natchnienie. Spotkania kwakrów ewangelikalnych (pastoralnych) przypominają bardziej nabożeństwa protestanckie – z modlitwami i śpiewami (tzw. spotkania programowane). Jednak także podczas tych nabożeństw – podobnie jak u innych kwakrów – następuje właściwy element nabożeństwa, czyli moment ciszy.

W żadnym z kwakerskich nurtów nie ma dogmatów. Kwaków na świecie łączy wiara w wewnętrzne światło oraz podstawowe wartości (tzw. świadectwa), czyli prawdę, prostotę, równość, pokój i wspólnotę, które należy urzeczywistniać w codziennym życiu.

U siebie

To właśnie było ważne dla Krzyska: – Dawanie świadectwa oznacza dla mnie życie tym, co odkrywam jako Boże, jako zgodne z sumieniem, prawdą, miłością – tłumaczy.

Jego droga do kwakerstwa? Przypada – nie należała do najprostszych. W młodości został dominikaninem, by po kilku latach przejść do zakonu Małych Braci od Jezusa. W tym zgromadzeniu mieszkał razem z innymi braćmi w mieszkaniu w kamienicy na warszawskiej Pradze. Zwykłe życie: większość braci pracowała, Krzysiek jako salowy w szpitalu. Nie czuł jednak, że to jego miejsce – po jakimś czasie wrócił do dominikanów. Jednak tu też długo nie zagrzał miejsca – wkrótce zamieszkał na wsi, w parafii prowadzonej przez brata. W niedzielę odprawiał mszę, w tygodniu pracował jako ładowacz śmieciarki. – Zawsze marzyłem o takiej fizycznej pracy – opowiada. – To był bardzo piękny okres, moja droga szukania prostoty.

13 lat po święceniach postanowił odejść z zakonu. Podjął pracę i założył rodzinę. Po kilku latach trafił do metodystów; właśnie u nich w pewnym momencie usłyszał o kwakrach. – Moje serce wtedy zapalało. Pomyślałem: „Ten minimalizm to jest to!”.

W żadnym z kwakerskich nurtów nie ma dogmatów.

Kwakrów na świecie
łączy wiara
w wewnętrzne światło
oraz podstawowe wartości.

Obecnie Krzysztof pracuje jako opiekun medyczny na oddziale hematologii i transplantacji szpiku. – Ta praca, w zgodzie z sobą samym i z kwakerską prostotą, ma dla mnie głęboką, ewangeliczną wartość.

Katarzyna wychowała się w ortodoksyjnej katolickiej rodzinie. Ale – opowiada – był to katolicyzm ludowy o wierze prostej, z dużym naciskiem na obrzędowość. Pierwsze zetknięcia z nierównym traktowaniem ludzi i hipokryzją bliskich rozpoczęły u niej przedwczesny nastoletni bunt.

– Okazał się nie tylko nastoletni, bo trwał prawie całe życie – mówi. – Nie znoszę sztucznych struktur i hierarchii, zwłaszcza podlanych arogancją i hipokryzją w sprawach, w których wszyscy jesteśmy tacy sami. A przed Bogiem, naturą, życiem jesteśmy. Może dlatego tak dobrze czuję się wśród kwakrów, bo szanują wszystkich w jednakowy sposób i nie silą się na obrzędowość, która często przykrywała brak głębszego doświadczenia i refleksji. Gdy trafiłam na kwaków, zrozumiałam, że już nie muszę szukać. Mam tu wszystko, co jest dla mnie w życiu ważne.

A Michał? Również pochodzi z katolickiej rodziny. Uczęszczał do katolickiego liceum w Warszawie. W tym czasie, jak opowiada, jego życie religijne zyskało znacznie szerszy wymiar. – W liceum zacząłem odwiedzać inne kościoły chrześcijańskie, a także świątynie niechrześcijańskie. Ostatecznie trafiłem do baptystów. Pomimo tego, że baptysty byli dużo bliżsi moim przekonaniom niż Kościół katolicki, to ciągle miałem poczucie, iż to nadal nie jest właściwa ścieżka. Gdy trafiłem do kwaków, poczułem, że jestem u siebie.

Za ciasne ramy

Po śmierci Foksa w 1691 r. charakter stworzonego przez niego ruchu religijnego nie ulegał większym zmianom, aż do XIX wieku, gdy pod wpływem prze-

nych wówczas ruchów ewangelikalnych i metodystycznych wielu jego członków zaczęło stawiać w centralnym miejscu Biblię. Ta coraz wyraźniejsza dominacja kwaków ewangelikalnych wywołała silną reakcję bardziej liberalnych członków tej wspólnoty. Na zwołanej w 1895 r. konferencji w Manchesterze kwakrzy liberalni wezwali wprost do restytucji pierwotnego nauczania kwakerskiego, porzucenia Biblii jako źródła religijnego autorytetu i przywrócenia w wymiarze teologicznym znaczenia wewnętrznemu światłu jako jednemu narzędziu poznania rzeczywistości metafizycznej.

W drugiej połowie XX wieku wzrosła różnorodność wyznaniowa wśród kwaków liberalnych. Coraz liczniejsi spośród nich zaczęli upatrywać źródeł swej religijnej tożsamości nie tylko w chrześcijaństwie, lecz także w innych tradycjach religijnych. Obecnie członkami wspólnot kwaków liberalnych bywają ateści, agnostycy i ludzie poszukujący.

Michał: – W ogóle nie poruszamy tematów teologicznych. Uważamy, że takie dyskusje do niczego nie prowadzą. Pytanie, jaką formę boskości ma siła wyższa, z czasem straciło dla mnie znaczenie. Najważniejsze jest przeżycie duchowe, a następnie to, co z niego wynika w codziennym życiu: w pracy, w domu. Chodzi o pokazywanie tego całym sobą.

Katarzyna (członkini grupy warszawskiej): – Kwakrzy są po prostu wrażliwi na wewnętrzne światło. Jak je definiuję? To się cały czas zmienia, ale Bóg przestał być dla mnie osobowy. Wolę mówić o sile większej, bo dla mnie Bóg jest czymś wszechogarniającym i religie są zbyt ciasne, żeby go pomieścić. Wielu kwaków uznaje jednak boskość Jezusa.

Krzysztof: – W naszej wspólnotie najbardziej podoba mi się brak podziału na *sacrum* i *profanum*. Wszystko jest święte: każde miejsce, każdy czas, każdy człowiek. Dlatego nie celebруем żadnych sakramentów, bo one dzieją się po prostu w życiu. Jeżeli siedzimy przy stole i staramy się kochać, to jest to już jakiś sakrament. Bo wtedy siedzisz z nami Jezus.

© MARCIN CHODUŃ

Korzystałem m.in. z: Pink Dandelion „The Creation of Quaker Theory: Insider Perspectives”; „The American Midwest: An Interpretive Encyclopedia” oraz z artykułu Zbigniewa Kaźmierczaka „Kwakryzm liberalny”.



GRAZYNA MAKARA

Święty wiatr

PIOTR SIKORA

Zmysłowe znaczenie ukryte w zdaniu, że „Bóg jest Duchem”, może otworzyć naszą świadomość na pełnię Życia, dostępną na wyciągnięcie ręki.

JA ZANURZAM WAS DO WODY, ON ZAŚ zanurzy was w świętym wietrze” (Mk 1, 8) – tak kończy się pierwsza wypowiedź o Jezusie, zanotowana w najstarszej z Ewangelii – według Marka. Jan Chrzciciel, który wedle ewangelisty jest autorem tych słów, chciał wyjaśnić tu różnicę pomiędzy sobą samym a „Mocniejszym”, który po nim idzie. Różnica to dla naszego życia kluczowa.

Zmysłowy język Biblii

Jan wzywał do nawrócenia i pełnił rolę przewodnika specyficznego rytuału: zanurzał ludzi w wodach Jordanu. Rytuał ów miał dla tych, którzy się mu podda-

wali, różne egzystencjalne znaczenie. Jedni przystępowali do niego pod wpływem emocjonalnego poruszenia kazania Chrzciciela i – po powrocie do swej codzienności, gdy emocje opadły – wspominali jako mocne religijne przeżycie, które należy jednak do przeszłości i ma niewielki wpływ na to, co u nich dzieje się teraz. Dla innych zanurzenie w nurcie Rzeki mogło być punktem zwrotnym życia. Dla wszystkich jednak Janowy rytuał był tylko wyróżnionym punktem osobistej czasoprzestrzeni. Pewnego dnia weszli do wody – i wyszli z niej. Handlowali teraz na targu w Jeruzalem lub orali pole w Galilei, albo szyli buty w Ain-Karim. Jordan płynął gdzie indziej.

To, co robi z nami „Mocniejszy”, ma zupełnie inną naturę. Aby to zrozumieć, pożyteczne jest zatrzymać się z uwagą przy użytym przez Jana obrazie. Biblijne księgi mówią bowiem o Bogu za pomocą plastycznych symboli, których namacalna treść ma istotne, egzystencjalne znaczenie. Niestety, korzystając z nie zawsze udanych przekładów świętego tekstu, mamy często utrudnione zadanie. Tak jest i w tym przypadku. Najbardziej znany polski przekład ma w tym miejscu zdanie: „On chrzcić będzie Duchem Świętym”. Zwodzi nas to sformułowanie, i to podwójnie. „Chrzcić” kieruje nasze skojarzenia do specyficznego religijnego rytuału, w którym uczestniczenia większość z nas nie pamięta. „Duch Święty” brzmi w naszych uszach jak dość abstrakcyjne teologiczne pojęcie, imię własne poznane z kart katechizmu „trzeciej Osoby Boskiej”, niewzbudzające samo z siebie bezpośrednich namacalnych skojarzeń.

Jednak czytelnik ewangelii, do którego pisał Marek, gdy czytał lub słyszał „*baptisei*”, w pierwszych skojarzeniach swej wyobraźni widział, że chodzi o zanurzenie, coś, co czuje się wszystkimi zmysłami. „*En pneumati hagiō*” →

→ przywoływała mu na myśl święty – więc pełen mocy – wiatr albo oddech. Powietrze.

Przeoczyć oczywiste

„Traktujesz mnie jak powietrze!” – to okrzyk rozpacz człowieka, którego druga osoba, ważna dla niego, nie uważa, ma za nic. „Traktujesz mnie jak powietrze!” – mogłoby być, zapewne, i Bożą skargą skierowaną zasadnie – przynajmniej od czasu do czasu – wobec każdego z nas, gdy nie zauważamy Tego, w którym jak w powietrzu zostaliśmy zanurzeni – przez sam fakt naszego istnienia.

Istniejemy bowiem jako byty stworzone. Każda i każdy – ta lub ten oto; nie inna, nie inny. Jesteśmy, kim jesteśmy, różniąc się wzajem od siebie. Różnice to brak. Nie jesteśmy tym, czym jest świat poza nami. Nie dana jest nam perspektywa żadnej innej osoby. Tak jest ze wszystkim i nawet całość świata inna jest od swoich części. Zupełnie inaczej jest z Bogiem. W Nim – jeśli ma być Bogiem, a nie bożkiem – nie może być braku. Jak odkrył XV-wieczny mistyk i filozof Mikołaj z Kuzy, Bóg absolutny nie jest tylko wszystkim, co istnieje. To, co jest, realizuje się wszak kosztem innych możliwości, które pozostały niezrealizowane. I nawet jeśli to, co udało się stworzyć, jest piękne i dobre – to (choć trochę) żal alternatyw, co nie doszły do bycia. Bóg więc, w którym brak żadnego braku, jest – pisał Mikołaj – „wszystkim, co być może”.

On jest zatem inny od każdego bytu i od całego świata przez to właśnie – jak określił to Mistrz Eckhart – że jest nie-inny. Nie jest, mawiał Mistrz, „tym albo tamtym”, nie jest żadnym czymś: „jeśli myślisz, że Bóg jest czymś – On tym nie jest”. Nie ma miejsca, gdzie by Go nie było. Miejsca nie tylko w przestrzeni,

Biblijne księgi mówią o Bogu za pomocą plastycznych symboli, których zmysłowa treść ma istotne znaczenie.

Mówią o zanurzaniu, o wietrze, o tchnieniu.

ale także w tobie, we mnie – w myślach, uczuciach, dążeniach...

Eckhart powiada więc: „Wielu wyobraża sobie w swej prostocie, że powinni patrzeć na Boga tak, jakby On był tam, oni zaś tutaj. Tak nie jest. Bóg i ja jesteśmy jednym”. Chociaż ja, różny od wszelkiego nie-ja, jestem stworzeniem, nie Bogiem – to nie ma we mnie niczego, czym On by nie był. I chociaż żadnego „czegoś” nie wolno mi z Nim pomylić – nie mogę się ruszyć, by nie wpaść na Niego. Czego bym nie dotknął, czego nie powąchał – toż to On właśnie! Jak mówi Pismo: „On wszystko całkowicie napęlnia” (Ef 1, 23); jest „wszystkim we wszystkim” (por. 1 Kor 15, 28; Kol 3, 11), „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28).

Nic dziwnego zatem, że święte Pisma nazywają Go „pneumą” – Powietrzem. Bóg bowiem, który wszystko w pełni napęlnia, musi być jak powietrze, niewidzialny. Inaczej – to odkrycie jednego z moich dzieci – wszystko by sobą zasłaniał.

Oddech życia

Niewidzialność Boga-Powietrza jest nie tylko zmysłowa. To nieuchwytność i niepojmowalność w każdym wymiarze. Gdy

chcemy Go ująć w teologicznej teorii, zostaje nam w głowie paradoks. I obraz, którego wartość polega na tym, że może pomóc w odpowiednim kształtowaniu życia.

Co więc mówią naszemu życiu ten obraz i ów paradoks? Po pierwsze burzą pogląd, że moja relacja do Boga jest jedną z relacji, w które wchodzę, dzielącą się obok wszystkich innych relacji: do żony, dzieci, przyjaciół, kota, pracy, samochodu, powietrza. Znowu posłuchajmy Pisma: „Nikt nigdy Boga nie widział. Ale jeśli kochamy się wzajemnie, Bóg trwa w nas i miłość ku niemu jest w nas doskonała” (1 J 4, 12). Jeśli zauważymy, że w naszym życiu pojawia się konkurencja pomiędzy relacją, którą uznajemy za związek z Bogiem, a jakąkolwiek z relacji, którą mamy do bytów tego świata – to sygnał, że coś jest nie tak – z naszą relacją do Boga i/lub z relacjami do świata. Relacja do Boga dzieje się w każdym aspekcie naszego życia, w każdej relacji do bytów stworzonych, w każdym momencie naszego życia.

Tu pokazuje się, dlaczego oddech jest znakomitym symbolem naszej wiary. Symbolem rozumianym jako coś konkretnego, co wskazuje na rzeczywistość większą od siebie, ale w taki sposób, że to, na co symbol wskazuje, obecne jest w samym znaczącym zjawisku. Symbol otwiera nas na owo „więcej” właśnie przez to, czym jest w swojej konkretnej namacalności.

Przyjrzyjmy się zatem uważnie oddechowi. Tak, właśnie temu, który towarzyszy nam od narodzin i będzie z nami do śmierci, której moment nazywamy ostatnim tchnieniem. Oddech jest konieczny do życia. A nawet więcej: choć bowiem nie ma prostej definicji tego, czym jest życie, to jako istotną cechę bytów żywych wskazuje się przemianę materii, spala-

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 64/17, toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Renacie Karczewicz, córce Józefa i Alicji, ostatnio zwykle przebywającej w Warszawie przy ul. Deotymy 46 m. 5, ur. 18 lipca 1958 r. w Warszawie, zm. 7 listopada 2010 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Anieli Biesiady, pod sygnaturą I Ns 675/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości o powierzchni 1,2700 ha, położonej w miejscowości Stanisławów, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 732.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Aleksandra Józefa Zielińskiego i Stefana Bolesława Zielińskiego, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

nie. Czyż oddech nie jest zaś fundamentalnym aspektem metabolizmu? Wdychamy tlen, który umożliwia spalanie, wydychamy dwutlenek węgla – efekt tego procesu. Można powiedzieć: oddychanie to alfa i omega życia.

Po drugie, oddech zawsze dzieje się teraz. Można się najeść na zapas, ale nie da się na zapas naoddychać. Oddychać trzeba więc stale. I to stale robimy, czy jesteśmy tego świadomi, czy nie.

Po trzecie, oddech polega na tym, że przyjmujemy to powietrze, które jest wokół, choćbyśmy nie za bardzo byli zadowoleni z jego jakości. Jeśli nie będziemy wdychać powietrza, gdyż nie spełnia naszych oczekiwań – prędko nie będziemy już zdolni cegokolwiek oczekiwać. Dalej – oddychając nie można nabranego powietrza zatrzymać w sobie, dla siebie. Choćby to teraz właśnie nabrane miało skład idealny, bez śladu smogu – jeśli ktoś nie wypuści go z płuc, udusi się. Trzeba przyjąć, trzeba oddać. W każdym momencie.

Po czwarte, choć nie da się nie oddychać, oddychać można lepiej lub gorzej. I choć oddychamy zawsze, najczęściej nie zwracając uwagi na to, że to robimy, świadomość oddechu jest pożyteczna. Intencjonalna praktyka świadomego oddechu ma dużo pozytywnych skutków i pomaga w życiu – redukuje ogólny poziom stresu, uspokaja w danym momencie, dobrze wpływa na układ krążenia, ale także prowadzi do lepszego oddychania poza czasem tej praktyki.

A więc – Bóg jest Powietrzem, a nasze życie jest oddychaniem. Nie da się żyć, istnieć i nie oddychać Bogiem. W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy – nie da się wyjść z Jego rzeczywistości. On wszystko całkowicie napędza – nie da się oddzielić od Niego. Nie oddychają Nim tylko martwi. Można jednak oddychać Bogiem gorzej lub lepiej. Specjalna praktyka przetomnego oddychania Świętym Powietrzem ma zbawienny wpływ na całość naszego bytu i uczy lepiej oddychać Bogiem w każdej sekundzie – nawet wtedy, gdy nasza świadomość zajęta jest rozmaitymi przyziemnymi sprawami.

Zdanie „Bóg jest Powietrzem naszej egzystencji” mówi także, z drugiej strony, że to, co nas otacza i czym oddychamy (przychodzące przyjmując, odchodzące oddając), pomimo całej swojej niedoskonałości, zanieczyszczeń krzywdą, bólem i cierpieniem – ostatecznie – niesie

Trafnym symbolem
„życia w Duchu”,
czyli pełni egzystencji,
jest także żeglowanie.
Czasami jest jasność i spokój.
Czasami niewygoda i trud.
Bywa i sztorm.

życie, a nie śmierć. Pomimo całego zła – ma w sobie metafizyczny tlen. Jedyny tak naprawdę ostateczny życiowy błąd polega na próbie nieoddychania. Gdy ktoś nie chce zrobić egzystencjalnego wdechu – nie chce przyjąć w siebie rzeczywistości, która go otacza, gdyż ta nie spełnia jego oczekiwań. Albo usiłuje nie dopuścić do egzystencjalnego wydechu – chce rzeczywistość zatrzymać w sobie, dla siebie, próbuje jej nie wypuścić. Dusi wówczas w sobie życie. Odnosi się to tak samo do doświadczeń nazywanych zwykle religijnymi, jak i tego, co przeżywamy słuchając w niedzielny wieczór ostatnich taktów koncertu, krojąc cebulę, grając z dziećmi w bierki lub leżąc w szpitalu. Zgodnie z zawartą w Apokalipsie samoprezentacją Świętego Powietrza: „Ja jestem Alfa i Omega, Początek (*arche*) i Koniec (*telos*), który jest, który był, przychodzący” (Ap 1, 8). Taka jest r(R)eczywistość: jest, i w tym momencie już była, i w tym samym – przychodzi. Życie to wdech i wydech – w każdym danym momencie.

Żagle i skrzydła

Czy jednak symbol oddychania nie sugeruje życia nazbyt pasywnego? Gdzie w przyjmowaniu tego, co nadchodzi, i wypuszczaniu z rąk zaraz potem jest miejsce na działanie, wolną aktywność, zaangażowanie w przemianę świata, w tworzenie dobra?

Powietrze jest jak oddech, powietrze jest jak wiatr. Życie zanurzonych w Wietrze to nie tylko wdech i wydech, żaden symbol nie wyczerpie bogactwa rzeczywistości. Potrzebne są inne. Można więc również powiedzieć: żeglowaniem życie jest człowiekiem, a przestronny świat jest jak morze, bez wyznaczonych dróg i granic. Czyż to nie w Piśmie czytamy:

nad wodami wieje Boże Tchnienie (por. Rdz 1, 2), jego energia umożliwia ruch.

Żeglowanie wymaga sporej wiedzy i umiejętności – gdy jesteś przy sterze albo obsługujesz żagle – zawsze zaangażowania, czasami wysiłku. A jednocześnie potrzebna jest czujna uważność – na każdy podmuch, który właśnie nadchodzi: skąd i z jaką siłą. Owszem, pamięć poprzednich doświadczeń i umiejętność przewidzenia, co będzie za chwilę, za godzinę – cała ta wiedza ma wielkie znaczenie. Jednak musisz czuć, co dzieje się teraz. Chwila rozproszenia może skończyć się wywrotką łódki. Możesz dopłynąć tam, gdzie sobie upatrzyłeś – ale tylko wtedy, gdy się dostosujesz do wiatru, który wieje: przyjmując go bez buntu w każdej chwili, odpowiednio z wycuciem ustawiając żagle.

Działanie jest tu odpowiedzią. Pamięć przeszłości nie może być rozpraszającym wspomnianiem tego, co minęło. Jest raczej zgromadzonym w ruchach, w czuciu doświadczeniem. Na bazie doświadczenia tworzą się schematy, procedury. Na przykład: kolejność komend i działań, kiedy robisz zwrot przez rufę. Jednak każdy kolejny manewr wymaga elastyczności. Zawsze nowej reakcji. Tego, co dzieje się właśnie, nigdy jeszcze nie było, nigdy się już nie powtórzy.

Żeglowanie to więc także trafny symbol „życia w Duchu” – pełni egzystencji. Egzystencji uważnej, wymagającej nauki, wysiłku, przyjmującej świat, jaki jest, lecz zarazem w wolności wyznaczającej sobie cele i zmierzającej ku nim siłą tego, co otacza nas ze wszystkich stron. Czasami jest jasność i spokój. Czasami niewygoda i trud. Bywa też i sztorm. Choć i sztorm jest piękny – gdy trudno oddychać, wiatr napiera na bębniaki uszu tak, że nawet nie wiesz, czy głośno jest, czy cicho, i nie ma już granicy między mokrym powietrzem a rozpylonym morzem.

Zniknięcie granic jest tutaj istotą. Więc może lepszym obrazem od pływania żagłówką byłoby szybowanie na własnych skrzydłach. Nie jestem pewny, nie latałem, ale wyobrażam sobie – jak to jest, gdy nie ma granicy pomiędzy przestrzenią, w której się poruszamy, i siłą, która nas porusza. Jak to jest: całym sobą czuć Podmuch Boga, który nas unosi i prowadzi tam, gdzie chcemy – nas, Córkę Bożą i Synów Bożych (por. Rz 8, 14).

©© PIOTR SIKORA

WOJCIECH

Bonowicz:

Jutro, pojutrze



JESZCZE JEST PUSTAWO, ALE ZA CHWILĘ JUŻ się pojawia. Najpierw nieśmiało – zaparkuje jeden lub dwa samochody, wysiądą ludzie w maseczkach. Ktoś pójdzie sprawdzić, czy otwarte, naciskając klamkę łokciem, a ponieważ drzwi się

otworzą, machnie na pozostających. W przedsionku przemycią ręce środkiem dezynfekcyjnym, potem wejdą dalej – do kościoła, synagogi, muzeum.

Świat się ruszy. Ludzie będą się bać hoteli, ale chętnie wynajmą domek, który pozwala zachować dystans. Rozłożą koce na plaży nieco dalej od siebie niż zazwyczaj, będą wchodzić do wody ostrożnie, jakby i jej nie mogli być pewni, ale w końcu zanurzą głowy i zanurkują. Będą szukać miejsc na uboczu, żeby dzielić się w spokoju przyniesionym z sobą jedzeniem; zamiast biegać do budki z zapiekankami znów polubią własne kanapki, gotowane na twardo jajka i herbatę z termosu.

Już widać, że wrócą do łasek rowery. Tak jak siedząc w domu odkryliśmy, ile rzeczy warto by zmienić w tej przestrzeni, w której na co dzień żyjemy, tak dzięki wycieczkom rowerowym przekonamy się, czy miasto jest przychylne rowerzystom, czy nie. Może zacznie się nam podobać dojeżdżanie rowerem do pracy? W obłokach spalin było to nieprzyjemne, ale teraz, gdy ruch samochodowy jest mały, może się okazać miłą odmianą. Wielu z nas – ale jak wielu? – chce czegoś nowego, choćby to nowe oznaczało jedynie wymianę jednych zwyczajów na inne. Jeść też będziemy trochę inaczej, choć, obawiam się, bardziej mięsnie niż dotychczas (ceny owoców i warzyw bardzo poszły w górę). Wiele osób przypomniało sobie, że umie gotować i piec ciasta. Niektórzy zaczęli wypiekać chleb.

Większość zachowa ostrożność. Częste mycie rąk nikogo nie będzie dziwić. Po wypuszczeniu gości do mieszkania będzie się ich prowadziło najpierw do łazienki: tu jest mydło, tu płyn antybakteryjny, tu papierowy ręcznik. Całować się będzie można, ale nie soczyć i raczej daleko od ust. Nauczmy się rozpoznawać znajomych nawet w maskach. Nieznajomym przyglądać się będziemy podejrzliwie; wypytawszy ich, skąd przyjechali, będziemy sprawdzać w internecie, jak wiele jest zachorowań w tej części kraju, z której pochodzą. Poczujemy się odpowiedzialni nie tylko za siebie i własną rodzinę, ale też za innych w naszym otoczeniu. Niektórzy będą dzwonić na policję, ilekroć w okolicy pojawi się ktoś, kto wzbudzi ich niepokój. Do restauracji i pubów będziemy wracać powoli; na wspólne wino lepiej umawiać się w zaroślach, tam, gdzie wzrok stróżów prawa nas nie wypatrzy. Zresztą coraz więcej będzie wolno.

A potem – może się tak zdarzyć, choć wcale nie musi – krzywa zachorowań znowu zacznie się wznosić. Będziemy mieli do wyboru dwie możliwości: iść dalej w stronę zmniejszania ograniczeń albo wrócić do tych, które pozwoliły nam tę krzywą wypłaszczyć. Jeżeli liczby nas przerażą, z pokorą wrócimy do rytuałów izolacji. Będzie to może łatwiejsze niż poprzednio, bo już je znamy i znakomita większość z nas je zaakceptowała. „Chcieliśmy spróbować wolności, nie udało się”, powiemy sobie, wspominając nurkowanie w jeziorze. Zresztą reakcję na ponowny wzrost zachorowań i zgonów trudno przewidzieć. Może wybuchnie jako złość, uderzając w rządzących, albo w obcych, albo w jednych i drugich. Ale może być i tak, że większość z nas przyjmie nawrót epidemii obojętnie. Nie będziemy odczuwać ulgi ani strachu. W zapadającym zmierzchu nasze twarze znów oświecą ekrany komputerów i telewizorów.

Na razie jest późne popołudnie. W stolicy na środku skrzyżowania usiadło kilka kawek, które nie zamierzają ustąpić pierwszeństwa samochodom. Rozglądają się, rozkładają skrzydła, są małą, nieantyrządową manifestacją. Nie trzeba wyjeżdżać z miasta, żeby się przekonać, że zwierzęta odzyskały swoją część świata. Ta część wróciła do nich tylko na chwilę, teraz stopniowo jest im odbierana. Ale niewykluczone, że niebawem znowu ją odzyskają. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

60. Krakowski Festiwal Filmowy i „Tygodnik Powszechny” zapraszają na pokaz filmu

„Autoportret”

Margreth Olin, Katji Hogset i Espena Wallina
połączony z debatą

Patrzeć i współczucie

weź, oglądaj online!

Czy fotografia estetyzuje ból, usypiając nasze sumienia? A może dzięki zdjęciom potrafimy wzbudzić w sobie współczucie dla nieznanych ludzi?

Po co nam widok cudzego cierpienia?

Udział w debacie wezmą Joanna Pawlik i Cezary Żechowski,
prowadzenie Marta Filipiuk-Michniewicz i Monika Ochędowska

■ wtorek 2 czerwca godz. 18.00

Więcej o filmie,
terminach projekcji
i zasadach zakupu biletów
(w cenie 6 zł)
krakowfilmfestival.pl

TYGODNIK
POWSZECHNY

60. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
60th KRAKOW
FILM
FESTIVAL

31.05 – 7.06.2020
oglądaj online



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 22/2020



O dobrym umieraniu

ANNA JOCHIM-LABUDA,
dyrektor Puckiego Hospicjum
pod wezwaniem św. Ojca Pio:

Porozmawiajmy o życiu

KOLEJNY ZGON, kolejne ognisko zachorowania, kolejne statystyki. Krzywa opadająca, krzywa rosnąca. Prognozy optymistyczne, pesymistyczne. Lęk, że zachoruję, że dotknie to kogoś z bliskich, że ciężko będzie wytrzymać zamknięcie w niewygodnym i ograniczającym kombinie albo na kwarantannie w wynajętym mieszkaniu. W izolacji, z dala od bliskich. Młodzi czy starsi, zdrowi czy schorowani, właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek czujemy oddech zaproszonej przez wirusa do naszego życia ostateczności – przychodzącej zawsze za wcześniej, w nieodpowiednim momencie.

A MOŻE TO WŁAŚNIE MOMENT, by pomyśleć o czymś, co tak chętnie wypieraliśmy? Może nadszedł czas, by spojrzeć śmierci w oczy? Nie czekając na kolejne zachorowania i przypadki izolacji podyskutujmy o tym, co warto cenić już dziś. Doświadczenie kilkunastoletniej opieki realizowanej przez zespół Puckiego Hospicjum pozwala na ważny wniosek: w rodzinie i bliskich naszych pacjentów drzemią nieskończone pokłady dobra, czułości i miłości, które okazują się najbardziej cenne w trudnej chwili. Warto przy okazji pandemii dokonać przeglądu własnego życia i relacji, jakie mamy z innymi. Choćby po to, by w trudnych momentach dać sobie i innym poczucie bezpieczeństwa oraz radość z bycia razem. Wspólnie możemy wyjść z każdej trudnej sytuacji wzmocnieni – zapomnianą wcześniej miłością, zaniedbaną bliskością.

PAMIĘTAM wiele takich powrotów: terminalna faza choroby sprawia, że ludzie – pozornie już bardzo od siebie oddaleni – znowu są razem. Ale nie potrzebujemy do tego choroby: rozmowa o śmierci, tak niepopularna, może dać nam spokój za życia na każdym jego etapie. I lepsze relacje z ludźmi, którym przyjdzie z nami żyć, towarzyszyć nam w starości czy chorobie, żegnać nas i po nas rozpaczać.

POROZMAWIAJMY o marzeniach czy planach, które pozostały do realizacji. Niech czas pandemii – pozornie dzielący – potączy nas w tej rozmowie. ©



Odchodzenie: instrukcja obsługi

KATARZYNA JABŁOŃSKA

COVID-19 unaoczniał wypieraną przez większość z nas prawdę: chorowanie i umieranie może być dobre lub złe.

Do niedawna nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że może mnie spotkać większa tragedia niż śmiertelna choroba i umieranie bliskiego. Pandemia pokazała, że może: za jej sprawą zobaczyliśmy, jak straszne jest chorowanie i umieranie w samotności. I jak traumatyczna jest to sytuacja również dla bliskich umierającego.

Dramat, na co dzień rozgrywający się w szpitalach i ośrodkach opiekuńczych z dala od naszego wzroku, teraz dociera

do nas za pośrednictwem mediów. Nie sposób odwrócić oczu od dostarczanych nam każdego dnia obrazów ludzi, którzy muszą chorować w izolacji. W czasie pandemii bliscy nie mogą odwiedzać nie tylko hospitalizowanych z powodu koronawirusa, ale również tych, którzy trafili do szpitala z innych przyczyn.

Chory umiera samotnie, nawet jeśli lekarz, pielęgniarka czy opiekun medyczny chciałby wziąć go za rękę – nie sposób poczuć ciepła dotyku, bo nie przeniknie ono przez ochronną rękę



MIROSLAW PIESLAK / PUCKIE HOSPICIUM

kawiczkę. Pozostaje nadzieja, że medycy zdołali pomóc umierającemu na tyle, by nie cierpiał fizycznie. Ale jest też pytanie: co z jego cierpieniem psychicznym i duchowym?

W jeszcze gorszej sytuacji znaleźli się w czasie pandemii pensjonariusze ośrodków opiekuńczych. Szczególnie tragiczne wiadomości dochodzą z Włoch: rodziny zmarłych mierzą się nie tylko z oczywistym bólem odejścia kogoś bliskiego, ale również z prawdą, że umierał on w samotności, często pozbawiony odpowiedniej opieki medycznej, cierpiąc.

Jakość i sens

Tak, chorowanie i umieranie, podobnie jak całe życie, mogą mieć dobrą albo złą jakość. I choć dziwne może wydawać się zestawienie, zwłaszcza z umieraniem, słowa „jakość”, to odsyła ono w tym wypadku do głęboko personalistycznej, humanistycznej idei, jaka stoi u źródeł medycyny paliatywnej.

Zajmuje się ona opieką nad osobami, które znajdują się na tzw. terminalnym etapie choroby. Ich nie udało się wyliczyć, choroba będzie postępowała,

Pani Wiesia, pacjentka Puckiego Hospicjum, w otoczeniu bliskich, październik 2018 r.

i wszystko wskazuje na to, że zakończy się śmiercią. Wiadomość, że leczenie nie powiodło się i nie będzie kontynuowane, to bardzo trudny moment dla chorego. Traci on nadzieję na zdrowie. Zderza się również z prawdą, że śmierć w jego przypadku nie jest już ulokowana w nieznanej przyszłości, ale nieodwołalnie wkroczyła w jego teraźniejszość. Ta wiadomość przeraża również bliskich chorego. W obu stronach wywołuje poczucie bezradności i lęk. Trudno się więc dziwić, że zakończenie leczenia przyczynowego, którego celem była walka z chorobą, wielu odbiera jako deklarację: medycyna jest bezradna. To nieprawda!

Medycyna paliatywna zapewnia takim pacjentom profesjonalną opiekę: medyczną, psychologiczną i duchową. Interdyscyplinarny zespół – lekarze, pielęgniarki, opiekunki medyczne, psychologowie, fizjoterapeuci, dietetycy, księża, wolontariusze – łagodzi ból i cierpienie, daje poczucie bezpieczeństwa. A gdy nadchodzi śmierć, pomaga odejść godnie.

Ksiądz Jan Kaczkowski, który towarzyszył w chorowaniu i umieraniu setkom ludzi, i którego również dosięgnęła śmiertelna choroba, szedł jeszcze dalej. „Również życie w chorobie może być intensywne! I można je wypełnić sensem” – mówił.

Sam tak żył i z zespołem Puckiego Hospicjum, którego był współtwórcą, starał się stwarzać przestrzeń, w której ten sens ma szansę być odnaleziony. Bo hospicjum nie jest, jak wciąż myśli wielu, umieralnią. To nieprawdziwe i szkodliwe, bo budzące niepotrzebny lęk, określenie. Zadaniem pracowników hospicjum jest ustabilizowanie stanu chorego oraz uświadomienie mu, a także jego bliskim, że walka wcale nie została zakończona. Walka trwa – o komfort życia pacjenta, o każdy dzień, godzinę, minutę jego życia.

W hospicjum (także na oddziałach i w poradniach paliatywnych) opieką objęci zostają również bliscy chorego. To ważne: kiedy jedna osoba w rodzinie ciężko choruje, ma to wpływ na wszystkich jej członków. Można powiedzieć, że oni w pewnym sensie też chorują, w związku z tym potrzebują pomocy. Przede wszystkim po to, by jak najlepiej opiekowali się swoim bliskim. Pracow-

nicy hospicjum uczą krewnych lub przyjaciół chorego czynności opiekuńczych oraz wyręczą w tych, którym nie będą w stanie sprostać. Będą także wspierać ich samych i czuwać nad tym, by w opiece się nie zatracili.

Życie tu i teraz

Aby chory mógł możliwie jak najlepiej funkcjonować, on i jego bliscy powinni wiedzieć, jaki jest jego rzeczywisty stan. To wymaga szczerości. Chorzy, a szczególnie ich bliscy, nie zawsze są na nią gotowi. Ci ostatni często uznają, że powiedzenie prawdy choremu tylko go załamie. Część toczy więc grę: „wszystko będzie dobrze”, „wyzdrowiejesz”.

Specjaliści medycyny paliatywnej uważają, że takie postępowanie wyrządza zazwyczaj wiele zła. Odbiera możliwość zaspokojenia potrzeb i pragnień. Pozbawia chorego ostatniej szansy na domknięcie istotnych spraw; spotkania z ważnymi, a często od dawna niewidzianymi osobami; przebaczenia tym, którzy go skrzywdzili, i poproszenia o wybaczenie tych, wobec których on sam zawinił. Odbiera też możliwość odnowienia relacji z Bogiem.

Udawanie może również przeszkodzić w okazywaniu sobie nawzajem czułości, sprawić, że chory nie będzie miał odwagi prosić o pomoc czy ujawnić lęków. Historie pacjentów Puckiego Hospicjum oraz ich bliskich, a także wielu innych hospicjów, dowodzą, że prawda najczęściej ma twórczą moc. Pozwala nie tylko dobrze przygotować się do śmierci, ale również otworzyć na życie – tu i teraz.

Pierwszą rzeczą jest więc zajęcie się objawami choroby: opanowanie bólu, duszności, problemów ze snem. One budzą zrozumiały lęk, potrafią zamienić życie w koszmar, zablokować radość życia. Na szczęście odpowiednio dobrana terapia pozwala choremu dobrze funkcjonować nawet w zaawansowanym stadium.

Jeśli chodzi o ból, w jego leczeniu osiągnięto ogromne postępy. Chory nie musi cierpieć, a rozpoznawanie i leczenie bólu to jego niezbywalne prawo. Zgodnie z dwiema żelaznymi zasadami. Pierwsza: ból jest odczuciem subiektywnym, jest więc zawsze taki, jakim opisuje go chory. Druga zasada dotyczy leków opioidowych, czyli takich, w których składzie są narkotyki: powstrzymywanie się przed ich stosowaniem tam, gdzie inne leki nie działają, to wielki błąd.

Wspomina Anna Saletra

psycholog
Puckiego Hospicjum

Pamiętam...

...PANIĄ MARIANNĘ,
*której wkładałam do ręki
różaniec. „Proszę nie
zapominać, że powinna
go mieć blisko, bo działa
na nią przeciwbólowo”
– powiedziała do mnie
jej córka, która nie
mogła odwiedzać mamy
z powodu epidemii.*

...PANIĄ WIESIĘ,
*bardzo słabą. Wczesna
zima, powiedziała
pielęgniarkę na nocnym
dyżurze, że bardzo lubi
śnieg, ale pewnie już go
nie zobaczy. Tej samej nocy
spadł – pierwszy w tym
roku. Pielęgniarka wyszła
nad ranem na dwór,
przyniosła garść i podała
pani Wiesi. To były
ostatnie godziny jej życia.*

...PANA,
*przyjętego do nas już
w czasie kwarantanny.
Tęsknił za żoną.
Gdy przywiozła mu rzeczy,
podeszła do przeszkłonych
drzwi tarasowych.
Patrzyli na siebie
przez szybę, głaskali
swoje dłonie.*

Choroba nie zwalnia

→ Spełnienie tych wszystkich warunków sprawia, że chory zyskuje przestrzeń do odnajdywania się w swoich życiowych rolach. Bo – ponownie oddajmy głos ks. Kaczkowskiemu – choroba „nie zwalnia – wyjąwszy rzeczy oczywiste, których chorzy nie mogą robić – z bycia ojcem, matką, babcią, bratem, przyjacielem. Z bycia człowiekiem, od którego wciąż wiele zależy, który ma wiele drugiemu do dania”. Nieporozumieniem jest więc wyręczanie chorego we wszystkim – to wyłącza go z codziennego życia.

I kolejna ważna sprawa – decydowanie. Bywa, że zrozpaczona zbliżającą się śmiercią rodzina stara się namówić, a niekiedy wręcz zmusić bliskiego do podjęcia często inwazyjnego leczenia. Nie działają odmowy chorego i perswazje specjalistów, że to zmieni życie w gehennę. Stąd ważny apel ks. Kaczkowskiego: „Zamiast wmuszać w chorego kolejne rewelacyjne preparaty, po prostu z nim bądźmy, gładźmy po rękę, czytamy mu ulubioną książkę, poprośmy o radę w jakiejś ważnej sprawie, powspominajmy wspólnie przeżyte szczęśliwe chwile. Zapytajmy, co go niepokoi, czego się boi, z kim chciałby się jeszcze spotkać, co rozwiązać”.

Jak noworodek

Wszystko, co do tej pory napisałam – opierając się na wiedzy przekazywanej przez ojca polskiej medycyny paliatywnej prof. Jacka Łuczaka, ks. Kaczkowskiego, pracowników i pacjentów Puckiego Hospicjum – składa się na swego rodzaju instrukcję obsługi choroby [jej bogatszą wersję znaleźć można we wspólnej książce Katarzyny Jabłońskiej i ks. Kaczkowskiego pt. „Życie aż do końca. Instrukcja obsługi choroby” – red.]. Żadna jednak instrukcja nie podaje metody na zatrzymanie zbliżającej się śmierci. Istnieje jednak taka, która pomaga dobrze śmierć przeżyć.

Z przygotowanego przez Puckie Hospicjum „Raportu o dobrym umieraniu” wynika, że ledwie 12 proc. pytanym, mając świadomość zbliżającej się śmierci, przekazałoby najbliższemu „wytyczne”, jakiej opieki oczekują. Ciekawe, że więcej, bo 22 proc. osób, przekazałoby preferencje co do pochówku. Wynikałoby z tego, że to, co stanie się z ciałem po śmierci, ważniejsze jest niż jego „losy” za życia. I ważniejsze niż samo życie – bo chorowanie to przecież nadal życie – i umieranie.

Omijamy temat umierania i tego, co śmierć poprzedza, bo nie umiemy i boimy się o tym mówić. Medykalizacja choroby i odchodzenia wyłączyła śmierć z naszego życia. Nie wiemy, jak przebiega proces umierania, jak się w jego obliczu zachowywać. Tu również z pomocą przychodzi medycyna paliatywna, choć jak twierdzi Anja Franczak – polska prekursorka instytucji tzw. towarzysza w żałobie, autorka bloga „Sprawy Ostateczne”, inicjatorka mającej rozpocząć wkrótce działalność fundacji Instytut Dobrej Śmierci – wciąż za mało wiemy o fizycznym procesie umierania.

Opisał go ks. Jan w tekście „Jak umiera ciało” [znajduje się w pierwszej książce Jabłońskiej i Kaczkowskiego pt. „Szału nie ma, jest rak” – red.]. „Pierwsze zmieniają kolor paznokcie, a gdy dłonie i stopy sinieją i stają się chłodne, oznacza to, że do końca zostało nie więcej niż dwie, trzy godziny – pisał. – Wtedy umierający poważnie traci świadomość. Jeśli nie – jest tylko w stanie odpowiadać przecząco lub twierdząco, czasem tylko ruchem głowy. Powieki opadają lub bywają półprzyknięte. (...) A gdy już nadejdą ostatnie chwile, oddech staje się coraz płytszy, człowiek przypomina rybę wyjętą z wody – łapie powietrze ustami. Mogą się zdarzyć nawet kilkunastosekundowe bezdechy. Mówi się, że wydaliśmy ostatnie tchnienie, ale to jest raczej wdech bez wydechu”.

Ksiądz Jan zwracał uwagę na to, że „śmierć staje się momentem, w którym umierający staje się wyjątkowo kruchy i bezbronny. Jest jak noworodek, który przychodzi na świat. Dlatego umierającego należy otoczyć czułą troską”.

Chcę umrzeć w domu

Aż 70 proc. z nas chciałoby chorować i umierać w domu, pośród bliskich, rodziny – również najmłodszych jej członków. Jeśli stan chorego pozwala, a bliscy są w stanie zapewnić mu opiekę, chorowanie może i powinno odbywać się właśnie w tym miejscu. Przy stałym wsparciu zespołu hospicjum domowego, gotowego stawić się, gdy stan pacjenta się pogorszy.

Dziś takie idee jak powrót śmierci na łono rodziny czy – szerzej – dowartościowanie w naszym życiu doświadczenia, jakim jest umieranie, są coraz lepiej rozumiane. W wielu krajach organizacje i instytucje oferują szkolenia przygotowujące do towarzyszenia w odchodzeniu. Coraz popularniejsza jest również

funkcja tzw. towarzysza w umieraniu. To osoba, która uczestniczy w życiu człowieka zbliżającego się do śmierci – stara się wsłuchiwać w jego potrzeby oraz je realizować.

Taką osobę nazywa się również doula od śmierci. Ta profesja związana była początkowo tylko z ciążą i narodzinami. Doula wspierała ciężarną – zwłaszcza emocjonalnie – i jej rodzinę przez okres ciąży oraz po narodzinach. Z tej samej filozofii – łagodnego przejścia, tym razem przez śmierć – wyrasta profesja douli od śmierci.

Taką właśnie rolę wobec chorych i umierających pełnił także ks. Kaczkowski. Osoby, których bliscy umierali pod opieką Puckiego Hospicjum, opowiadają, jakim dobrodziejstwem była dla nich pełna szacunku obecność ks. Jana. Zachęcał bliskich umierającego do okazywania mu serdeczności – aby do niego mówili, czule go dotykali. To okazywało się ważne również dla bliskich – było istotnym elementem przeżywania żałoby.

Umieranie, jak inne kluczowe momenty życia, domaga się celebracji i rytuałów. Zapewniają je obecność księdza czy, jeśli go brak albo ta obecność nie jest chciana, praktyki religijne lub kulturowe przypisane śmierci. Brak jakiegokolwiek zaznaczenia podniosłości tego wydarzenia jest – zdaniem prof. Krystyny de Walden-Gałuszko, prekursorki psychoonkologii w Polsce – dojmująco nieadekwatny do sytuacji. I nie pomaga umierającemu ani jego bliskim.

„Chorowanie – tak jak umieranie – jest włączone w ten jednorazowy i niepowtarzalny projekt, jakim jest życie każdego z nas” – powtarzał ks. Jan. Podobnie jest z towarzyszeniem bliskiej osobie. Wielu z tych, którzy się do tego towarzyszenia dobrze przygotowali i na nie odwążyli, mówi po czasie o przywileju, jaki stał się ich udziałem. I o doświadczeniu – nie przytłaczającym, ale życiodajnym.

© KATARZYNA JABŁOŃSKA

AUTORKA jest dziennikarką, krytyczką filmową, redaktorką „Więzi”, należy do Laboratorium „Więzi”. Współautorka, wraz z ks. Janem Kaczkowskim, dwóch książek poświęconych opiece paliatywnej. Była przyjaciółką urodzonego i zmarłego w Trójmieście kapłana.



DAMIAN KRAMSKI

Ksiądz Jan Kaczkowski z podopiecznym hospicjum, marzec 2015 r.

Chodzę tam na palcach

KS. ADAM BONIECKI:

**Towarzyszenie ludziom w odchodzeniu
jest patrzeniem z nimi w ciemność, w którą muszą wejść.**

ANNA GOC: Potrafimy rozmawiać o śmierci?

KS. ADAM BONIECKI: Mam w pamięci historię ciężko chorego, umierającego człowieka. Zadzwoiła do mnie jego matka, poprosiła, żebym przyszedł. W ich domu toczyła się gra, w którą od razu zostałem wtajemniczony. Otóż rodzina starała się ukryć przed chorym, jak poważny jest jego stan. A on ukrywał przed rodziną, że o wszystkim doskonale wie. Zostaliśmy sami, wymieniliśmy grzeczności. „Proszę księdza, mam raka wątroby, nic nie da się już zrobić, zostało mi niewiele czasu.

Kiedy mama pyta, czy dobrze się czuję, mówię, że tak. Kiedy przynosi obiad, staram się go zjeść” – powiedział.

O samotności w umieraniu opowiadała mi młoda kobieta, której lekarze po diagnozie dawali najwyżej dwa lata życia. Nikt z jej rodziny nie był gotów na rozmowę o śmierci, dlatego założyła blog i tam pisała o swoim umieraniu.

Czasami chyba łatwiej nam rozmawiać o takich sprawach z kimś obcym. Rodzina przeżywa chorobę, trudno zapano- ➔

...PACJENTA,
*który przez ostatnie
 osiem lat mieszkał
 w przyczepie kempingowej,
 bez światła i bieżącej
 wody. Trafił do hospicjum
 wyniszczony chorobą.
 Za wszystko dziękował,
 cieszył się czystym
 łóżkiem, przestrzenią,
 która należała do niego.
 Kiedy proponowałam
 spacer po oddziale,
 żartował: „Muszę pilnować
 łóżka, żeby nikt nie zajął”.*

...PANIA AGNIESZKĘ,
*tuż przed
 odbywającą się
 w naszym hospicjum
 uroczystością
 Pierwszej Komunii Świętej
 jej córki. Przymierzała
 apaszki i dobierała
 perfumy przyniesione
 przez jedną z pielęgniarek.
 Chciała pięknie
 przeżyć tę chwilę.*

...PANIA OLE,
*bardzo słabą,
 choć przytomną.
 Wpatrywała się
 w najbliższych,
 a oni opowiadali
 o wszystkim, co się działo.
 W rogu pokoju stała
 bordowa gitara
 przywieziona z domu
 przez córkę pani Ewy,
 która grała
 i śpiewała dla mamy.
 Także wtedy – już po cichu
 – gdy pani Ewa odchodziła.*

→ wać nad własnymi emocjami, skoncentrować się na człowieku, który tego potrzebuje. Kiedy idę jako ksiądz do umierającego, zazwyczaj się nie znamy. Zdaje się, że dużo rozmawiamy. Ale nie są to zwykle wielkie dysputy o życiu i śmierci ani o istnieniu Boga czy o życiu po.

**Bywasz kimś, od kogo oczekuje się
 pewności, że po śmierci jest coś
 jeszcze?**

Już samo przyjście księdza jest jakąś ulgą. Jeśli tylko nie potępia i nie grozi piekłem. Od księdza chyba oczekuje się tego, żeby przyszedł do nas jako świadek wiary. Choć jedynym świadkiem, który był po tamtej stronie i wrócił, jest Pan Jezus Zmartwychwstały. Nie ma więc co odgrywać teatru, udawać, że jest się kimś, kim się w rzeczywistości nie jest.

Udawać wiary.

Tak, nieszczerłość jest szybko wyłapywana. Ale nie powiedziałbym, że spotkanie z umierającym człowiekiem jest dobrym momentem na dzielenie się swoimi momentami zwątpienia w rzeczywistość po śmierci, choć one są udziałem wszystkich albo prawie wszystkich.

Zawsze przy rozmowach o życiu po śmierci przypomina mi się wspomniała prof. Barbara Skarga, która z taką pewnością powiedziała mi kiedyś: „Oczywiście, że się wszystko kończy. Przecież tam nic nie ma”. Mam nadzieję, że się miło rozczarowała.

Przychodzisz do ludzi niewierzących?

Tak, zwykle na zaproszenie rodziny. Bliscy są świadomi złego stanu chorego, chcą, żeby się wypowiedział przed śmiercią.

Nie mam pretensji do rodzin, które wzywają księdza i czekają, aż się dziadek, stary profesor, wypowiada. Ale taka akcja budzi zwykle reakcję: „A ja im się nie wypowiadałam. Co oni sobie myślą, że mnie tutaj zbawia?”.

Co odpowiadasz?

Nigdy nie namawiam do spowiedzi, komunii czy przyjęcia jakiegokolwiek sakramentu. Przekonywanie człowieka do nawrócenia, walczenie z nim, zmuszanie do sakramentów, póki żyje – byłoby czymś fatalnym. Umieranie jest intymnym momentem, należy się do niego odnosić z szacunkiem.

Kiedyś przyszedłem do osoby niepraktykującej, od dawna niechożącej do kościoła. Wierzącej – jak powiedziała – na swój nieobrzędowy sposób. Dużo rozmawialiśmy. Ale przecież nie mogłem spytać, czy chce przyjąć sakramenty. To mi się wydawało niestosowne, bo widziałem, jak sama się boryka z tymi pytaniami.

**I jako ksiądz nie masz obowiązku
 o to zadbać?**

Oczywiście, mam, ale chęć spowiedzi czy komunii powinna wyjść od człowieka.

Tak po ludzku sobie myślę, że Pan Bóg widział tych ludzi, którzy tyle dobrego zrobili w życiu, którzy tyle przeszli, którzy byli tacy wewnętrznie uczciwi. Pan Bóg sobie z nimi świetnie poradzi, z ich grzechami, z ich zbawieniem. I to być może będzie zaskoczeniem dla niektórych sędziów swoich bliźnich.

**Dobrze, że nie trzeba odhaczyć
 wszystkich punktów na liście przed
 śmiercią, jak przed startem samolotu.**

Tak, na szczęście na to składa się dużo więcej. Przypomina mi się jeszcze jedna scena: mój dobry znajomy, wspaniały człowiek, którego znałem dziesiątki lat, podziwiałem. Miał udar mózgu, stracił mowę. Leżał w szpitalu, ja obok łóżka. I nagle on chce się wypowiedzieć. Szepnąłem, że to nie jest konieczne, że może z Panem Bogiem sam, beze mnie, porozmawiać. Ale jemu bardzo zależało. I ta spowiedź... Niezapomniana. Klęknął przy szpitalnym łóżku, nie bardzo miał siły, nic nie mógł powiedzieć, szarpał się. Powiedziałem mu, że ważne jest patrzeć ku temu, ku któremu idzie. Łzy w oczach... Czułem, że jestem mu potrzebny. Nie dlatego, że przyszedłem jako Boniecki, stary przyjaciel, tylko jako znak czegoś, co jest poza zasięgiem wzroku. Oczywiście, udzieliłem sakramentalnego rozgrzeszenia. Są spowiedzi, w których wymienianie grzechów nie jest do tego niezbędnym.

**Bartosz Bielenia grający księdza
 w „Bożym Ciele” opowiadał mi, jaką
 trudność sprawiła mu scena odwie-
 dzin u umierającej kobiety, mimo że
 to był plan filmowy, a oni grali.**

W takich sytuacjach czuję się jako ksiądz postawiony do pionu. Zdaje sobie sprawę, kim ja naprawdę jestem, i dla-



MIROSLAW PIEŚLAK / PUCKIE HOSPICIUM

Pacjentka hospicjum, styczeń 2018 r.

czego jestem ważny jako nieważny, bo istotny jest wtedy ktoś inny.

Pamiętasz swoje pierwsze spotkanie jako ksiądz w takiej sytuacji?

Tak, to było w roku 1960. Dwie siostry, ciężko chore, powoli umierające. Mieszkały razem. Spowiadałem je, przynosiłem komunię, udzieliłem sakramentu namaszczenia. Ale wtedy czułem, że to jest moje zadanie bojowe, że mam coś do zrobienia. Wahania: czy nie zawiodę tych ludzi. Byłem młodym księdzem. Śmierć wydawała mi się wtedy czymś odległym. Jeśli bałem się śmierci, to tej naglej, która wszystko kończy.

Miałeś takie doświadczenia?

Topiłem się kiedyś, beznadziejnie. To był styczeń, lodowata woda w jeziorze. Był silny wiatr, padał delikatny śnieg. Płynęliśmy z moim znajomym kajakiem, na którym on zmontował żagiel. Byliśmy już blisko drugiego brzegu, gdy nagle kajak się przewrócił. Jezioro głębokie. Po jakichś rozpaczliwych próbach poszedłem na dno. Mój znajomy kilkoma potężnymi ruchami dopłynął do brzegu i stamtąd zobaczył, już pod powierzchnią, moje długie włosy. Bez wahania wrócił po mnie.

Przez chwilę poczułem, że nie uda mi się uratować. Że umieram. Nie miałem wtedy żadnych pobożnych myśli, prawdę mówiąc. I żaden film z mojego życia nie

przesunął mi się przed oczami. Jedyna myśl była taka, że to nie jest znowu taka przykra śmierć w lodowatej wodzie. Ocknałem się dopiero na brzegu.

„Gdyby ktoś umiał spojrzeć na nas z góry, zobaczyłby, że świat jest pełen ludzi biegających w pośpiechu, spoconych i bardzo zmęczonych, oraz ich spóźnionych, pogubionych dusz” – pisze w książce „Zgubiona dusza” Olga Tokarczuk. W tym czekaniu na swoją duszę jest też odnajdywanie siebie na nowo, patrzenie na swoje życie.

Ludzie umierający, którzy nas oczekują, pozwalają nam wejść do jakiejś niezaludnionej sfery w swoim życiu. Poruszam się tam zawsze z nieśmiałością. Ze świadomością, że znalazłem się z tym człowiekiem w jego przestrzeni, zupełnie wyjątkowej. Chodzę tam na palcach, dyskretnie.

Jest taka potrzeba w człowieku, żeby wypowiedzieć swoje lęki i nadzieje. Trzeba być na to uważnym. Czasami ludzie opowiadają mi o tym, co im bardzo ciąży. Co dotąd było spychane poza świadomość. Trzeba słuchać, zostawić tę przestrzeń dla człowieka, który chce jakieś sprawy w sobie uporządkować, być może uspokoić lęki.

Towarzyszenie ludziom w odchodzeniu jest patrzaniem z nimi w ciemność, w którą muszą wejść. Mieć w sobie uczu-

cie czułości dla umierającego człowieka – to jest ważne.

Zawsze w takich momentach ogarniają mnie myśli: stoję naprzeciw człowiekowi, który umiera, ja – taki facet, który jeszcze sobie pożyje. Wychodzę z jego domu, a on zostaje, żeby wsiąść do rakiety, która leci w kosmos, w jakieś tajemnicze miejsce.

Teraz podchodzę do tego inaczej.

Jak?

Na pewno bardziej niż kiedyś uświadamiam sobie, że jutro to ja mogę być tym facetem, który odjeżdża na zawsze. Że umieranie coraz bardziej mnie dotyczy.

Człowiek przestępuje jakiś czasowy punkt, dopada go starość, już wie, że lada chwila może umrzeć. Nie zapomnę pani Karoliny Lanckorońskiej, która gdzieś w okolicy swoich setnych urodzin powiedziała do mnie: „Proszę księdza, ja się tak nagle postarzałam”. To było bardzo konkretne. W pewnym momencie starość dopadła ją fizycznie. I ona masę energii wkładała w to, żeby wszystko starannie przygotować. Uporządkować dokumenty i korzystać z tego, że jeszcze żyje.

„Tak nagle się postarzałam” – czasem myślę o tych jej słowach. Prawdę mówiąc, jeszcze nie znam tego uczucia, a już chyba powinienem znać.

Zdarza się, że ktoś prosi, żebyś został? Czuje, że umiera?

→

⇒ Pamiętam historię wybitnego dziennikarza, człowieka ogromnej kultury, bardzo zaangażowanego w sprawy kraju. Poznałem go mieszkając w Rzymie. Nie wiedziałem, że choruje. Zadzwoił do mnie i powiedział: „Proszę księdza, zdaje się, że umieram. Może ksiądz do mnie przyjdzie? Ale niech ksiądz do mnie przyjdzie jako ksiądz”. Wziąłem Pana Jezusa i pojechałem. To była taka wizyta, która zostaje w pamięci na całe życie. Był bardzo słaby. Wypowiadał się, udzieliłem mu komunii świętej, pomodliliśmy się. Bez żadnych achów ani dramatów. Czułem, że uczestniczę w poważnym przygotowaniu na śmierć człowieka, który ma już spakowane walizki. Potem poprosił, żebym mu kupił serek Philadelphia w sąsiednim sklepie, więc poszedłem, kupiłem. Zjadł. W międzyczasie wezwałem lekarza. Szybka decyzja, że trzeba jechać do szpitala. Pomagałem mu się przebrać. Podtrzymałem, bo z trudem stał. I w czasie tego przebierania się on zakończył życie, umarł. Nie wiem, czy mu towarzyszyłem w drodze do śmierci. Mam poczucie, że tak. To było autentyczne przeżywanie wiary, która pewnie gdzieś tam była obecna w jego życiu.

Znam wiele historii, kiedy umierający czekali, aż ktoś przyjdzie. To czekanie trzymało ich przy życiu.

Tak, to jest dla mnie mocne przeżycie. Czuję, że doprowadzam kogoś do samego progu. Ludzie, do których przychodzę, mają zwykle świadomość, że już czekają w swojej przystani, że za chwilę przyplynie po nich łódź, która ma ich przeprowadzić przez Styks.

Pośród tych wielu doświadczeń towarzyszenia ludziom odchodzącym, zwłaszcza kiedy to trwało dłużej, kiedy spotykaliśmy się wielokrotnie, zawsze czułem, że byłem oczekiwany.

Można być przygotowanym do śmierci?

Nie tylko można, ale trzeba. Powiedziałbym, że elementem tego przygotowania jest osławianie się z myślą, że się umrze. Jest takie powiedzenie, że śmierć zdarza się innym. W którymś momencie człowiek widzi, że jego też dotyczy. Inaczej zaczyna traktować swój czas, spotkania, zaangażowanie.

Póki żyjemy, czerpiemy pełnymi garściami. To jest zrozumiałe, ale myślę, że

w którymś momencie może przerodzić się w niezaspokojenie. Znałe prawo rosnących potrzeb. Ciągłe nienasycenie. Zrezygnowanie z tego jest chyba pierwszym etapem osławiania śmierci.

Koniec końców jest pytanie: czy to się wszystko wtedy kończy czy jednak się zaczyna?

Spotkałeś ludzi, którzy odchodzili pogodnie?

Tak, są ludzie, którzy mają łaskę widzenia czegoś więcej. Pamiętam kobietę, do której przyszedłem w dniu jej śmierci. Była tak radosna, że spytałem, czy się nie boi. A ona na to: „A czego się bać? Ja całe życie do Niego szłam”. Ale to sytuacje wyjątkowe.

W moim doświadczeniu nieczęsto ktoś mówi: „No świetnie, moje życie się już kończy, zniknę i z moim zniknięciem zniknie też mój ból”. Dlatego gdy ktoś mnie pyta, jak się towarzyszy takim ludziom, nie mogę udzielić właściwie żadnej rady. Trzeba mieć wielki szacunek i być bardzo czujnym: słuchać, czy ktoś chce rozmawiać, czy ktoś chce, żeby być przy nim i z nim się pomodlić, czy ktoś chce, żeby być i się modlić nie z nim, tylko samemu.

I jest ważne, żeby za długo nie siedzieć. Długie siedzenie dla człowieka chorego jest okropnie męczące. Cudowni, wspaniali i kochani, że przyszli, ale już, już... Więc ksiądz tak samo powinien uważać, żeby się nie wczuć za bardzo w rolę anioła.

Nie da się schrzanić własnej śmierci, ale można zepsuć wszystko wokół niej – mówił ks. Jan Kaczkowski.

Spotkaliśmy się kilka razy. Obserwowałem, jak zaprzagał to swoje doświadczenie umierania do towarzyszenia innym ludziom. Nie to, że jemu trzeba było w czymś pomagać. Choć ceniał przyjaźń, lgnął do ludzi, był ciepły, serdeczny. Wiara tego człowieka, dziecięca w pozytywnym znaczeniu, była pełna zaufania. Chyba nigdy nie wspominał o tym, że wierzy w wyzdrowienie, albo że wszystko będzie dobrze. Wierzył za to, że jego życie się nie kończy, tylko zmienia.

Rozmawialiście o tym?

Nie za wiele. Trzeba uważać, żeby tematu śmierci nie przegadać.

Jeszcze zdążymy

ALEKSANDRA KUTZ

Sprowadziliśmy końcówkę naszego istnienia do wymiaru „odcicia prądu”. W smutku końca jest piękno, po które przestaliśmy sięgać.

Zrobiłam to z miłości. I dzięki odwadze nabytej w obcowaniu z ostatecznością. Rok temu stawiałam się w prosektrium, by ubrać i pomalować moją ukochaną Babcię. Pan Stefan, szef kostnicy, zadziwiony i poruszony oznajmił mi, że to się już prawie nie zdarza. Podobno rodziny zmarłych dzielą się teraz na dwa typy. Jedni nie chcą nawet widzieć bliskich. Drudzy usiłują – uwaga – swoich krewnych obudzić, co budzi nieskrywane politowanie pana Stefana. „Trzeba było się tak za życia szarpać” – komentuje.

Są jeszcze miejsca w Polsce, gdzie kulturuje się pamięć. Gdzie wkłada się do trumny przedmioty używane za życia, „by mu się nie cknęło i nie myślał wracać”. Ręka w górę, komu nigdy nie przyszły do głowy przedmioty, których teraz używa, a które chciałby mieć przy sobie na wieczność. Albo choć raz nie wzruszył się wyobrażeniem własnego pogrzebu. Obrzędy – teraz coraz rzadsze – dawały poczucie bezpieczeństwa. Wyśmiewane przez cyberspołeczeństwa obrządki stanowiły część porządku świata. Wynosząc trumnę z domu, stuknęło się nią o framugę na pożegnanie, nikogo nie przerażał fakt obecności nieboszczyka w domu.

Prawie wszystkie powszechne nurty religijne obiecują pośmiertne nagrody: chrześcijanie radują się z obietnicy Królestwa Niebieskiego, buddyzm niesie wraz z odejściem spokój i brak doczesnych oczekiwań. A jednak osławianie tego atawistycznego strachu przychodzi nam łatwiej wtedy, gdy odwaga



MIROSLAW PIESLAK / PUCKIE HOSPICIUM

Pracownice Puckiego Hospicjum, grudzień 2017 r.

ubiera się w brawurę: od literackiego samobójstwa po epickie ryzyko. Kultura wypierania zdaje się randkować z kulturą osobistą. Nie wypada w towarzystwie mówić o czymś tak nieestetycznym jak umieranie. „Najlepiej byłoby umrzeć we śnie” – powtarza większość nagabywanych przeze mnie znajomych. Czyli ładnie i po cichu. „Weź, przestań” – słyszę od tych, którzy nie muszą mi elegancko odpowiadać, ale i tak nie chcą o tym gadać. Ci natomiast, którzy „niczego się nie boją”, zgwałiliby się raczej bezpośrednio i głośno.

Tylko wyjątkowa odwaga oraz umiejętność zdystansowania się od własnego lęku pozwalają ludziom myśleć o tym, co sobie i innym mogliby w tych ostatnich chwilach dać. Na przykład czułość, rozmowę, autentyczne spotkanie. Albo poczucie humoru – potrafiące rozsądzić każde przerażenie. Skoro jest nad czym płakać, pewnie jest się też z czego śmiać. Czułość i radość to podstawowy zestaw w tych wszystkich dających jednak siłę śmierciach, które pamiętam. Właśnie te dwa elementy stanowią najlepszą kontrę dla ukrytych w nas cieni, które próbujemy



PIRAMIDA DOBREGO UMIERANIA:
hierarchia potrzeb chorego
na terminalnym etapie choroby

Źródło: przygotowany przez Puckie Hospicjum „Raport o dobrym umieraniu”, całość do pobrania na www.hospitium.org/raport-o-dobrym-umieraniu/

jemy za życia pracownicy oświetlić na kosztach terapeutów.

Nie samego aktu odchodzenia bali się pacjenci występujący w moim filmie [chodzi o dokument pt. „Jeszcze zdążę”, który

przez trzy lata był realizowany w Puckim Hospicjum, i którego premiera zaplanowana jest na jesień – red.]. Bali się tego, że strach zabierze im każdą z pozostających minut życia. Bali się bólu – także bólu niezalutowanych spraw. Pan Józef, spawacz, wyznał mi: „Nigdy w życiu nie powiedziałem nikomu, że go kocham”. Zdążył, powiedział. Miłość – to o nią chodzi pod koniec, jakkolwiek by to banalnie czy pompatycznie zabrzmiało. Także miłość do tego, co się w życiu robiło. Pan Józef miał marzenie: by pod koniec na chwilę zająć się swoją pasją. Chciał pospawać, także swoje relacje z bliskimi. Zdążył.

W smutku końca jest pewien rodzaj piękna, po który przestaliśmy sięgać. A życie i tak upłynie, bez oglądania się na nasze strachy. ©

ALEKSANDRA KUTZ jest artystką i dziennikarką. Prowadzi programy telewizyjne, m.in. motoryzacyjne i lotnicze. Związana była m.in. z TVN, TVN Turbo i TTV. Zaangażowana w działania charytatywne na rzecz podnoszenia jakości życia i zwiększania świadomości społecznej.

Najwyższy poziom opieki paliatywno-hospicyjnej możemy realizować dzięki pomocy Darczyńców. Możesz nas wesprzeć datkiem na: BANK PKO BP, nr konta: 49 1020 1912 0000 9202 0148 8055 lub przelewem elektronicznym na stronie www.hospitium.org/darowizny/

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 22/2020

REDAKCJA: Przemysław Wilczyński

SKŁAD: Marta Bogucka | TP TYPOGRAFIA | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara

Na okładce ilustracja Beaty Giermasińskiej dla Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio

PARTNER:

www.hospitium.org



**PUCKIE
HOSPICIUM**
PW. ŚW.
OJCA PIO

GODZINA SEBASTIANA KURZA

Zdusił w kraju epidemię, teraz mówi o nowej normalności. Austriacki kanclerz nie zdradza jednak, jak może ona wyglądać.

Ale czy ktoś w ogóle to wie?

BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK Z WIEDNIA

ZACZĘŁO SIĘ OD TYROLSKIEGO KURORTU narciarskiego Bad Ischgl, skąd – jak dziś już wiemy – koronawirus rozprzestrzenił się po całej Austrii, a także po części europejskiego kontynentu. Potem były szybkie decyzje i zdecydowane działania władz w Wiedniu, dzięki którym Austria uniknęła losu, jaki spotkał wiele innych krajów – na czele z zapaścią służby zdrowia i licznymi ofiarami.

Dzisiaj dane wskazują na to, że COVID-19 jest nad Dunajem pod kontrolą, a kraj stopniowo wybudza się z dwumiesięcznego odrętwienia. Zdecydowana większość austriackiego społeczeństwa uważa, że ogólnokrajowa izolacja była słuszną drogą. Bilans strat i zysków może tę opinię potwierdzić lub zmienić.

U źródeł, czyli Bad Ischgl

Wszystko zaczęło się, jak powiedziano, od alpejskich ośrodków sportów zimowych, dokąd w początkach marca białe szaleństwo jak co roku ściągnęło dziesiątki tysięcy narciarzy z całej Austrii i połowy Europy.

Wątpliwą sławę zyskała zwłaszcza tyrolska miejscowość Bad Ischgl. Jak wykazały badania sieci kontaktów przeprowa-

dzone przez państwową Agencję Zdrowia i Bezpieczeństwa Żywnościowego AGES, to właśnie z Ischgl pochodzi co najmniej 57 proc. krajowych infekcji. Zidentyfikowano 625 osób, które albo zakaziły się w miejscu narciarskiego urlopu, albo od tych, którzy – wracając z Alp – przenieśli infekcję w swoje miejsca zamieszkania we wszystkich częściach Austrii.

Na przełomie lutego i marca w Bad Ischgl wypoczywały nie tylko dziesiątki tysięcy Austriaków, lecz także tysiące zagranicznych gości – głównie z Niemiec, Danii i Islandii. Oznaczało to kolejne setki zarażonych. Jako pierwsi zorientowali się Islandczycy i już 5 marca przekazali tyrolskim władzom skrupulatne informacje o infekcjach, hotelach i miejscach, gdzie przebywali ich zakażeni obywatele.

Ale sezon, wyjątkowo dobry, był w pełni, a Tyrolczycy nie chcieli wierzyć w czarne scenariusze, więc wirus panoszył się dalej. Dopiero gdy 7 marca wykryto infekcję u barmana modnego lokalu Kitzloch w Ischgl, gdzie co wieczór gęste tłumy bawiły się po zejściu ze stoku – i zaraz później, gdy zachorowało kilkanaście osób z otoczenia tegoż barmana – stało się jasne, iż dzieje się coś poważnego.



RONALD ZAK / AP / EAST NEWS

10 marca w Bad Ischgl zamknięto wszystkie lokale obsługujące najróżniejsze oczekiwania narciarzy: od dyskotek i barów przez salony fitness i baseny aż po spokojniejsze kawiarnie (*Après Ski*: taką nazwę nosi ów przemysł rozrywkowo-wypoczynkowy tworzący „otulinę” stoków narciarskich). Ale jeszcze przez prawie tydzień turyści mogli korzystać z samych wyciągów, jeździć na nartach, słowem – kontynuować urlop.

W końcu 16 marca stanęły też wyciągi. W tym samym czasie władze w Wiedniu objęły kwarantanną całą dolinę Paznaun – z Bad Ischgl oraz z równie obleganym ośrodkiem St. Anton am Arlberg. Kwarantanny uniknęli uczestnicy kongresu medycznego w miejscowości St. Christophen, sąsiadującej z St. Anton. Później wyszło na jaw, że także tam doszło do zakażeń, a medycy – jeszcze o tym nie wiedząc – zawieźli koronawirusa w inne części kraju.



W otwartych 15 maja austriackich restauracjach konieczne jest zachowanie bezpiecznego dystansu. Wiedeń, 19 maja 2020 r.

Komisja wszystko wyjaśni?

Jeszcze nie jest jasne, na którym szczeblu błędnie oszacowano zagrożenie i za późno podjęto decyzje. Ping-pong oskarżeń i przerzucanie odpowiedzialności właśnie trwają. Tyrolscy gastronomowie i hotelarze twierdzą, że ściśle współpracowali z lokalnymi władzami, strukturami sanitarnymi i egzekutywą. Władze Tyrolu tłumaczą, że w każdym momencie przestrzegali nakazów z Wiednia, a zagraniczni turyści pewnie zakazali się nie podczas urlopu w Austrii, lecz w powrotnej podróży samolotem. Władze w Wiedniu nabrały wody w usta.

Media pytają, czy to aby nie jest partynajna polityka. Stery władzy zarówno na poziomie ogólnopolskim, jak też w landzie (kraju związkowym) Tyrolu dzierży przecież ta sama chadecka ręka. Politycy Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP) powtarzają zaś, że właściwie wszystko było w porządku, choć na

wszelki wypadek sytuację trzeba zbadać. Do października pracować więc będzie specjalnie powołana komisja złożona z wirusologów, ekonomistów, prawników i innych ekspertów.

I gdyby nie to, że jej przewodnictwem przypadkiem przypadło bezpartyjnej posłance do wiedeńskiego parlamentu Irmgard Griss – tej, którą opinia publiczna poznała w 2016 r. jako kandydatkę na urząd prezydencki (a jeszcze wcześniej jako prezesa Sądu Najwyższego) – można byłoby pomyśleć, że do jesieni w Dunaju upłynie wiele wody, a wraz z nią temat błędów w Bad Ischl odpłynie na daleki, zupełnie nieważny plan...

Marcowe zamykanie

Niezależnie od tego, kto miałby ponosić odpowiedzialność za początkowe błędy, potem Wiedeń zadziałał zdecydowanie.

Potem. Bo najpierw były jeszcze pogłoski, strzępy informacji, podsycane żą-

dzą sensacji pogawędki o tym, co dzieje się w Chinach i już bliżej, we Włoszech. A chwilę później – nowe oblicze ulicznych pejzaży, pełne postaci objuczonych zwojami papieru toaletowego w rodzinnych opakowaniach rozmiaru XXL. I zdjęcia ogołoconych sklepowych półek, przesyłane znajomym przez WhatsAppa. Oraz, 12 marca, wiadomość, że w Wiedniu zmarł pierwszy chory na COVID-19.

W poniedziałek 16 marca jakby ktoś bez uprzedzenia wyłączył wtyczkę: życie w Austrii zastygło w niespodziewanym letargu. W następnych dniach społeczeństwo skupiło się przed telewizorami – i tak zaczęła się era pandemii, z mozolnym klejeniem nowej rutyny codzienności. Wyciągnięta wtyczka – czyli pozamykane wszelkie urzędy, sklepy, zakłady usługowe, szkoły, uczelnie, kina, muzea, sklepy, cała masa przedsiębiorstw. I zarządzona odgórnie lista tego, co niezbędne →

→ społeczeństwu do przeżycia, a z czego trzeba zrezygnować.

Życie przez telefon, codzienność online – bolesne przedstawienie na nowy tryb funkcjonowania przeszło nadszperkowanie gładko. Szczęśliwi ci, którzy mogli uratować swą materialną egzystencję, przenosząc służbowe obowiązki w domowe zacisze. Kilka tygodni później stwierdzą, że praca w domowym biurze właściwie mogłaby stać się częścią normalnego życia, że przez Skype’a, WhatsAppa, Zooma itd. wreszcie poznali rodziny swych współpracowników, że pracowali wydajniej. Nie najgorzej trafili wszyscy ci wysłani przez pracodawców na *Kurzarbeit* – skrócono maksymalnie nawet do 90 proc. czasu pracy, w zamian za zarobki zredukowane tylko o 20 proc. (różnicę refunduje państwo). Ale masa innych pracowników została bez pracy, tysiące drobnych przedsiębiorstw z dnia na dzień straciły wszelkie dochody, wielu z nich pewnie już na stałe.

Pandemia sparaliżowała też scenę polityczną. Wybiła godzina rządu, na który teraz zwróciły się oczy wszystkich. Opozycja zamarła i bez szemrania wspierała poczynania kanclerza Sebastiana Kurza i jego młodego, jeszcze nie zaprawionego w bojach turkusowo-zielonego gabinetu (turkusowy to nowa barwa konserwatystów).

Ten zaś na okrągło sygnalizował niezamocną harmonię i niezłomne zdecydowanie. Nic to, że turkusowi Kurza widocznie zdominowali ekipę Zielonych, swego koalicyjnego partnera. Nawet gdy szef rządu ogłaszał, że koszty walki z pandemią nie mają żadnego znaczenia – nie było dyskusji ani krzty sprzeciwu.

Wnieście swój wkład!

Być może ów brak dyskusji złożyć należy na kontekst. Gdy bowiem w połowie marca ulice austriackich miast i wsi nagle opustoszały, Austriacy zastygli zszokowani przed ekranami telewizorów, patrząc na koszmarnie obrazy z bliskich przecież Włoch, a wkrótce potem także z Hiszpanii, chłonąc przerażające informacje o kolejnych ogniskach pandemii, paraliżujące wieści o niewidzialnym wrogu.

Były wielogodzinne programy informacyjne i publicystyczne, dzięki którym telewizyjne stopniowo nabierali poczucia rozeznania w sytuacji. Były codzienne konferencje prasowe rządu – o stałej po-



Kanclerz Austrii Sebastian Kurz,
kwiecień 2020 r.

HELMUT FOHRINGER / APA / EAST NEWS

rze, w identycznej choreografii i z powtarzanym w nieskończoność przesłaniem: nie wychodźcie z domu, uważajcie na siebie i innych, wnieście swój wkład w zwalczanie koronawirusa!

Poparcie dla rządu, a zwłaszcza dla 33-letniego kanclerza (młodego, co nie znaczy, że niedoświadczonego politycznie) rosło wyczuwalnie, z godziny na godzinę. Stara jak świat zasada, że w czasach zagrożenia dobrze jest skupić się wokół silnego przywódcy, okazuje się absolutnie aktualna.

A wódz – to rola jakby specjalnie skrojona dla kanclerza Kurza, który jak nikt inny wie, co dla kogo dobre, i ma w zanadrzu gotową odpowiedź na najtrudniejsze pytania. Najpierw z pełnym przekonaniem zapewnia, że zasłanianie ust i nosa nic nie da, a noszenie maseczek to kompletna bzdura. I nawet jeśli kilkanaście dni później z zapalem przekonuje, że maska jest niezbędna i nie da się bez niej opanować pandemii, tylko nieliczni dostrzegają dysonans i stawiają dodatkowe pytania.

Mantra Kurza, wedle której jedyną receptą na ratunek jest karność, dyscyplina i posłuszeństwo, po prostu niezawodnie działa. Działa strach przed chorobą, obawa, by nie narażać bliskich. Utrwalają je ciągle jeszcze sugestywne obrazy, mroczne informacje, wieści od znajomych, że pewien lekarz, znajomy znajomych, powiedział to i tamto... A kanclerz uprzedza, że każdy już wkrótce będzie miał w gronie rodziny i znajomych kogoś, kto zmarł z powodu koronawirusa, i że te marcowe dni to dopiero cisza przed burzą.

Co zabronione, co dozwolone

Media uczą w tym czasie nowych pojęć: *lockdown*, *social distancing*, *home office*,

homeschooling, *contact tracking*, *stay at home*. Ludzie z rzadka wychodzą z domu, wielu szuka możliwości pomagania innym, szyje maseczki, z okien i balkonów oklaskuje tych na froncie – personel szpitali, kasjerki z supermarketów, motorniczych tramwajów. Pochówki prawie w pojedynkę, odwołane wesela, pierwsze komunie, bierzmywania i urodzinowe spotkania rodzinne. Nie wolno odwiedzać chorych w szpitalach ani pensjonariuszy domów seniora. Nie wolno spotykać się z rodziną i przyjaciółmi.

Nie wolno? Tego dokładnie nie wiadomo. Za zabronione uchodzi wszystko, co nie zostało ogłoszone dozwolonym. A wolno tyle: zrobić niezbędne zakupy, pójść do apteki, wyjść z domu, by pomóc innym i – jeśli to konieczne – pojechać do pracy. Wolno nawet przejść się, żeby nie zwariować – ale tylko samemu, ewentualnie ze współmieszkańcem.

Granice pomiędzy tym, co dozwolone, a tym, co ogłoszone, są płynne i nie do końca określone. Może tak łatwiej kontrolować? Bywa, że policyjny patrol wlepi soczystą albo nawet zbyt soczystą karę. Ale kryzys to nie czas na detale. Detalami można zająć się później.

Jak wszędzie indziej, tak tutaj co poniektórzy uznają czas wolny za świetną okazję do zabawy. Imprezy pod hasłem „Corona-party” kończą się denuncjacją i interwencją. Ale to w gruncie rzeczy wyjątki. Większość społeczeństwa z samozaparciem stosuje się do dyrektyw kanclerza i stara się – stosownie do jego słów – wnosić swój wkład.

Kwietniowe przymiarki, majowe odrodzenie

Przed Wielkanocą Kurz dodawał otuchy znużonemu nową rutyną społeczeństwu, obiecując odrodzenie zaraz po świętach. Tak się też stało. Najpierw, w połowie kwietnia, otwarły swe podwoje markety budowlane i ogrodnicze, do których w karnym szyku stanęły gigantyczne kolejki. Wolnego było wszak pod dostatkiem, a wiosna w toku, więc czasu dość na remonty, porządki, sadzenie roślin w ogrodach i na balkonach. Otwarcie w tych dniach pomniejszych sklepów innych branż nie wzbudziło w Austriakach podobnego entuzjazmu.

Gdy z początkiem maja ruszyły też większe sklepy i centra handlowe, okazało się, że tylko nieliczni stęsknili się za zakupowymi wyprawami. Handlowcy

biją na alarm, bo nie zanosi się, że sprzedadzą wiosenny towar, sprowadzony jeszcze przed zarazą. A ci klienci, których nadal stać na to i owo, raczej wolą zamawiać w sklepach wysyłkowych. Na brak klientów nie narzekają za to salony fryzjerskie i kosmetyczne – na termin trzeba długo czekać. Ale Austriacy, choć zarośnięci i zaniedbani, przyjmują to ze zrozumieniem i stoickim spokojem.

Po handlu odrodziła się oświata. Jako pierwsi wrócili do szkół maturzyści i uczniowie kończący naukę w szkołach zawodowych. Od 18 maja przyszła pora na szkoły podstawowe i niższe klasy szkół średnich. Końcówka roku szkolnego oczywiście różni się od początku: klasy podzielono po połowie, lekcje odbywają się w ustalonym cyklu – dwa dni w jednym, trzy dni w następnym tygodniu. Szkoła nadal tylko uzupełnia nauczanie domowe, ale uczniowie są szczęśliwi, że mogą spotkać rówieśników (a i rodzice odetchnęli).

Uruchomienie szkół wzbudziło ciche dyskusje i nieśmiałe kontrowersje, ale władze oświatowe uznały, że warto zaryzykować. Mówi się głośno, że to rodzaj próby, przygotowanie do drugiej fali epidemii, która może pojawić się jesienią. Mówi się też, że trzeba pilnie zadbać o tych uczniów, którym niezbyt zasobni i słabo wykształceni rodzice nie są w stanie zapewnić pomocy w nauce domowej.

Odrodził się w maju masowy transport, z którego wcześniej korzystała jedynie garstka. W autobusach, tramwajach, metrze i podmiejskich kolejkach znów

pojawił się ludźmi – wyposażeni w tekstyla zakrywające usta oraz nos i najwyraźniej starający się zachować przepisowy odstęp przynajmniej metra. Wspólnoty wyznaniowe wznowiły publiczne nabożeństwa i również tu zapanowały zwyczajne nowe i rygorystyczne: odstęp oraz maska. Ruszyła gastronomia, a jej pracownicy musieli zredukować liczbę stolików i uzbroić się w maseczki lub plastikowe przyłbice. Ruch w gastronomii na razie nie zachwyca, a tam, gdzie są goście, trudno o zachowanie odstępu. W nocnych klubach byłoby jeszcze trudniej, więc ich bywalcy muszą poczekać.

Drgnęło za to w sporcie – i tylko jeszcze kultura leży rozłożona na łopatkach. Ludzie kultury zarzucają władzom dyskryminację, zaczynają się burzyć. Jak w żadnej innej dziedzinie – w kulturze wrze.

Nowa normalność czy druga fala

Sebastian Kurz stale mówi teraz o nowej normalności. Nie zdradza jednak, jak można sobie ją wyobrazić, więc w społeczeństwie cicho tli się niepewność. Władze bacznie obserwują dane służb epidemiologicznych. A wedle tych stale przybywa ozdrowieńców, którzy mogą oddawać osocze, ratując zdrowie i życie innych. Ubywa pacjentów szpitali, zwalniają się łóżka na oddziałach intensywnej terapii. Liczba aktualnie zakażonych spadła już poniżej tysiąca, liczba zmarłych nie przekroczyła 650. W porównaniu z innymi państwami, niespełna 9-milionowa Austria wypada całkiem nieźle.

Druga fala? Na ten temat można na razie tylko spekulować. Wiadomo, że gdyby zakażeń miało znów wyraźnie przybywać, władze będą szybko reagować, ale następny *lockdown* raczej nie wchodzi w rachubę. Skutki gospodarcze i tak będą fatalne, ale na razie za wcześnie na podliczanie strat.

Początek drogi do nowej normalności widać tymczasem w polityce – jesienią Wiedeń ma wybierać nowe władze komunalne i już rysują się rozdźwięki między politycznymi rywalami. Widać też w gospodarce, która usilnie szuka sposobów na uruchomienie turystyki – ważnego źródła budżetowych dochodów. Widać i w życiu przeciętnego obywatela, który powoli zaczyna zastanawiać się nad urlopowymi planami.

Jaka będzie ta nowa normalność – zwłaszcza dla ponad 500 tys. Austriaków, którzy ostatnio stracili pracę, dla kobiet, które pandemia znów zepchnęła w archaiczne schematy, dla ludzi kultury, dla przedsiębiorców? Dla warunków życia, postępu gospodarczego, rynku pracy, opieki zdrowotnej, sfery socjalnej, digitalizacji?

Pandemia sprawiła, że w ostatnich tygodniach pojawiło się sporo nowych pytań i trochę nowych pomysłów. Pojawia się być może także nowe rozwiązania. Ale na te Austriacy muszą jeszcze poczekać. Na razie cieszą się tym, co jest. Gdy patrzą na Wielką Brytanię, Włochy, Hiszpanię, Belgię, Francję, na Stany Zjednoczone – widzą, że jest z czego.

© BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Podkast
Powszechny**



„Rozmowy o byciu razem”

Wojciech Mann, Anna Dymna, Jan Peszek, Katarzyna Nosowska, Marek Bińczyk, Adam Wajrak, Tomasz Budzyński oraz Jerzy Stuhr

w autorskim cyklu

Katarzyny Kubisiowskiej.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



Nowy Wielki Kryzys

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (KALIFORNIA, USA)

Przed epidemią Donald Trump mógł chwalić się rekordowo niskim bezrobociem. Teraz, w ciągu dwóch miesięcy, pracę stracił już co piąty czynny zawodowo Amerykanin.

W STANACH RACZEJ NIKT SIĘ PUBLICZNIE nad sobą nie rozczula. Chyba że online. Gdy więc z powodu epidemii kolejne miliony Amerykanów zaczęły tracić pracę, ich lęki szybko znalazły odbicie w sieci.

Przykładem popularny serwis Reddit: pod wątkiem dotyczącym bezrobocia w dobie COVID-19 pojawiło się 18 tys. komentarzy. Wiele z nich to wpisy osób, które zderzyły się z twardym amerykańskim kapitalizmem. Użytkowniczka „lexeliza” w połowie marca napisała: „Jestem sprzątaczką z Maine. W czwartek miałam pracę, a w piątek zostałam zwolniona. Jest 4.58 rano. Miałam koszmar i obudziłam się w rzeczywistości, która jest koszmarem”.

O utracie posady z dnia na dzień pisał też użytkownik „fukuyokarma” z New Jersey. Dowiedział się o tym przez telefon: „Jestem menedżerem restauracji i straciłem pracę godzinę temu. Szef powiedział, że do końca dnia mam zwrócić klucze. Ale ja nie mogę teraz tego zrobić, bo jestem w kwarantannie. Usłyszałem więc, że w takim razie firma przyśle mi kurierem pudełko. Mam tam włożyć klucze i odesłać. Nie spodziewałem się, że spotka mnie coś takiego. Jestem w szoku i nie wiem, jak sobie poradzę”.

Zwolnienie na Zoomie

Wpis użytkownika „fukuyokarma” pochodzi z 19 marca. To dokładnie dzień, w którym Tim Yabor stracił etat menedżera ds. sprzedaży w hotelu w Filadelfii. O swojej historii 55-latek opowiedział na początku maja w telewizji CBS News. Gdy dzwonię do niego z prośbą o wywiad, rozmawia opanowanym tonem. Nieco nienaturalnym jak na człowieka, który po 30 latach pracy po raz pierwszy w życiu trafił na bezrobocie.

– To było pod koniec dnia pracy – wspomina Tim. – Szef napisał do mnie maila z pytaniem, czy możemy porozma-

wiać na Zoomie [popularny dziś wideokomunikator – red.]. Nie wzbudziło to moich podejrzeń, bo często omawialiśmy tak bieżące sprawy. Wszystko potoczyło się szybko. Szef powiedział, że ze względu na epidemię tracę etat i dziś jest mój ostatni dzień w pracy. 20 minut później odcięto mi dostęp do służbowej skrzynki mailowej. Nie mogłem się też zalogować do firmowego komputera. Wkrótce potem dostałem pocztą pismo potwierdzające wypowiedzenie umowy.

Dla Tima był to szok: – Nic nie wskazywało, że szykuje się redukcja etatów. Przecież to był dopiero pierwszy tydzień, gdy ze względu na epidemię kazano nam pracować z domu.

– Jakby się jednak zastanowić, to szef zwolnił mnie zgodnie z prawem. Nie ma się do czego przyczepić – dodaje Tim. Tłumaczy, że w Pensylwanii, podobnie jak w innych stanach USA, obowiązują przepisy pozwalające na zwolnienie pracownika z dnia na dzień, i to bez podania przyczyny.

Tim Yabor nie wie, ile osób z jego firmy zwolniono w ten sposób. Odkąd jest na bezrobociu, nie ma kontaktu z dawnymi współpracownikami. Każdy wstydy się mówić o utracie pracy.

Gdy telefon milczy

Twardy kapitalizm sprawia, że Tim nie ma czasu na rozpamiętywanie smutków. Jak wielu Amerykanów, musi co miesiąc opłacić ratę kredytu hipotecznego, ratę pożyczki na samochód, składkę za ubezpieczenie zdrowotne i rachunki domowe. Opowiada, że tuż po stracie pracy obdzwonił banki z prośbą o tymczasowe obniżenie rat. Udało się tylko z pożyczką na auto. Rata kredytu hipotecznego pozostała bez zmian.

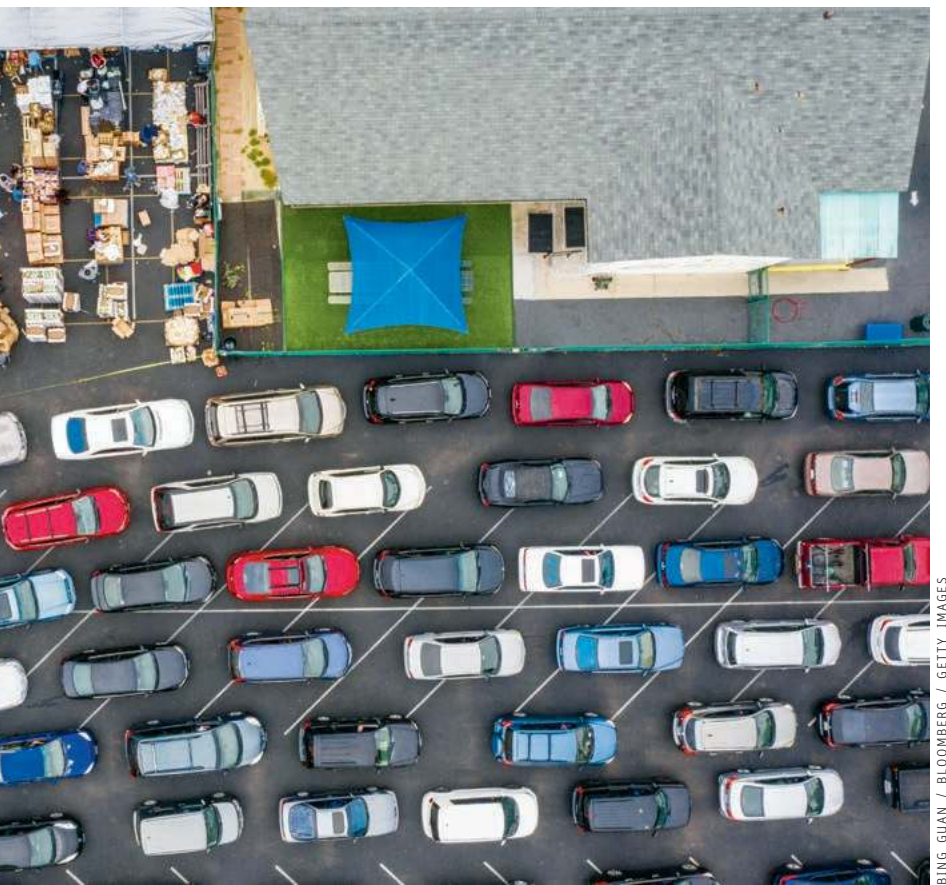
Timowi udało się opłacić wszystkie rachunki za kolejny miesiąc tylko dlatego, że jego żona ma stabilną pracę i w dobie koronawirusa może wykonywać ją



z domu. Za jedzenie i inne bieżące wydatki na początku płacili z oszczędności. Tim dostał zasiłek dopiero po miesiącu od złożenia wniosku w pensylwańskim Departamencie Pracy.

Podobnie jak ponad 38,6 mln Amerykanów, którzy od początku epidemii znaleźli się na bezrobociu, mężczyzna otrzymuje wsparcie podwójnie. Oprócz zasiłku stanowego (przeciętny Amerykanin dostaje na tydzień 378 dolarów), do końca lipca przysługuje mu też dodatkowe 600 dolarów tygodniowo. To środki z uchwalonego przez Kongres pakietu stymulującego gospodarkę. W ramach tego rekordowego pod względem wartości programu, wartego ponad dwa biliony dolarów, Amerykanie zarabiający poniżej 75 tys. dolarów rocznie dostali чеки pomocowe w wysokości 1200 dolarów. Zastrzyk pieniężny odczuli najbardziej słabo zarabiający. Amerykańskie media rozpisują się o historiach osób, które dzięki tymczasowej pomocy od rządu federalnego dostają teraz więcej niż przed utratą zatrudnienia.

To akurat nie jest przypadek Tima, który chce jak najszybciej wrócić do zawodu i dotychczasowych zarobków.



BING GUAN / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Kolejka samochodów po odbiór darmowej żywności rozdawanej przez kościelną organizację charytatywną w Chula Vista, Kalifornia, 1 maja 2020 r.

– Teraz sobie radzimy, ale co będzie, jeśli szybko nie znajdę pracy? – zastanawia się, cały czas szukając nowych ofert i wysyłając codziennie po dwie-trzy aplikacje. Nie ogranicza się do branży hotelarskiej, bo ta jeszcze długo będzie dotknięta kryzysem.

– Wysłałem już kilkadziesiąt CV, ale mój telefon ciągle milczy – opowiada. – Czasem budzę się w nocy z lękiem, że nie będziemy mieli za co żyć. Boję się, że żona też straci etat. Aby ograniczyć wydatki, oszczędzamy na jedzeniu. Kupujemy najtańsze produkty: makaron, ryż, pomidory w puszcze i kurczaka. Raz pojechałem do banku żywności, ale ostatecznie nie stanąłem w kolejce po pomoc. Nasza sytuacja nie jest jeszcze dramatyczna i czułem się tak, jakbym chciał wykorzystać system.

Ucieczka do rodziców

Przed wybuchem epidemii Rosie Alumbaugh pracowała w kawiarni, a wieczorami dorabiała jako inspicjentka w teatrze. Harowała po kilkanaście godzin dziennie, bo jako absolwentka studiów licencjackich z zarządzania teatrem ma do spłacenia 50 tys. dolarów studenckiej pożyczki. Do tego trzeba doliczyć 900 dolarów za wynajem pokoju w Bostonie

i 400 dolarów za ubezpieczenie samochodu.

Gdy wybuchła epidemia, 22-latka straciła oba źródła dochodu. Wyjechała do rodziców, do Connecticut. – Na początku miałam nadzieję, że uda mi się zostać w Bostonie – tłumaczy. – Zadzwońiłam do właścicielki mieszkania i poprosiłam o tymczasowe obniżenie czynszu. Odpowiedziała, że nie ma mowy. Sytuacji nie ułatwił fakt, że nie tylko ja mam problemy z czynszem. Przez koronawirusa pracę straciła moja współlokatorka i kilku naszych sąsiadów.

Odkąd Rosie mieszka z rodzicami, nie musi przynajmniej wydawać na jedzenie. Ale wciąż płaci za wynajem pokoju w Bostonie: – Mam podpisaną umowę do końca sierpnia i właścicielka nie chce się zgodzić na jej rozwiązanie. Ta sytuacja bardzo mnie frustruje.

Jednocześnie dziewczyna boi się zbyt szybkiego odmrażania gospodarki w stanie Massachusetts, gdzie leży Boston: – Formalnie jestem na urlopie bezpłatnym i po zniesieniu restrykcji pracodawca może w każdej chwili wezwać mnie do pracy. Jeśli odmówię i szef zgłosi to władzom stanowym, mogę stracić za-

silek. A ja boję się zarażenia! I nie chcę jeszcze wracać do pracy w kawiarni, bo nie stać mnie na życie z jednej pensji, a ze względu na epidemię przedstawienia teatralne jeszcze długo nie będą możliwe. Ostatnio zaczęłam aplikować na stanowiska w administracji biurowej. Nie jest to praca marzeń, ale zaciskam zęby i próbuję się dostosować.

Rosie denerwuje to, że niektórzy Amerykanie chcą jak najszybciej wrócić do normalności, jakby epidemia już się skończyła. Krytykuje falę protestów przeciw restrykcjom, które przetaczają się przez kolejne stany. Wiele z nich organizują konserwatywni aktywiści, którzy popierają ideę szybkiego otwierania gospodarki, forsowaną przez prezydenta Trumpa.

– To dla mnie paradoks, że ludzie stojący na czele ruchu obrony życia tłoczą się na demonstracjach i nie noszą nawet maseczek ochronnych! – Rosie podnosi głos. – Zresztą ten problem dotyczy nie tylko protestów. U nas w Connecticut wielu ludzi dojeżdża do stanu Nowy Jork [epicentrum epidemii w USA – red.], ale nikt nie bierze na serio środków bezpieczeństwa. Ludzie tłoczą się w parkach, chodzą po ulicy bez maseczek, spotykają się ze znajomymi w domu. Przez takie podejście jeszcze długo nie wyjdziemy z tej epidemii!

Psycholożka bez wsparcia

Alexis Rosen mieszka na przeciwległym końcu Stanów co Rosie Alumbaugh – na Zachodnim Wybrzeżu. Jest psychologiem, prowadzi jednoosobową firmę. Przez epidemię straciła większość klientów.

– Gdy gubernator Kalifornii wprowadził w połowie marca nakaz pozostania w domu, ludzie z dnia na dzień zaczęli odwoływać sesje – wspomina 31-letnia Alexis. – Jednych nie stać teraz na sesję, bo znaleźli się na bezrobociu. Inni zrezygnowali, bo sesje można prowadzić tylko przez internet lub telefon, a oni nie mają prywatności w domu. Mam teraz tylko dziesięciu klientów w tygodniu. Formalnie wciąż jednak pracuję i nie mam prawa do zasiłku. Nie zakwalifikowałam się też do programu pomocy dla małych firm, który uruchomił rząd federalny. Moja sytuacja jest już tak zła, że nie stać mnie na opłacenie czynszu.

Alexis tłumaczy, że za wynajem domku w La Crescenta, niewielkiej miejscowości oddalonej o 25 km od Los Angeles, płaci 1600 dolarów miesięcznie: ➔

→ Gdy poprosiłam właścicielkę o tymczasową obniżkę, powiedziała, żebym pożyczła od rodziców albo znajomych. Ale większość z nich też straciła pracę! Nie wezmę pożyczki z banku, bo mam jeszcze do spłacenia 100 tys. dolarów kredytu studenckiego. Gdy powiedziałam to właścicielce, zaproponowała, żebym zapłaciła jej czekiem od rządu federalnego! A ja muszę mieć przecież pieniądze na jedzenie i leki.

Alexis ma chorobę autoimmunologiczną, która atakuje nerki. Cierpi też na chroniczne migreny i zespół wymiotów cyklicznych (pod wpływem stresu może wymiotować nawet przez całą dobę). W przeszłości bywało, że musiała jechać na ostry dyżur.

Opowiada: – Przez tę epidemię coraz częściej zdarza się, że wstaję rano, jem śniadanie i zaraz potem wymiotuję. Trudno mi wtedy powstrzymać myśl, że zmarnowałam właśnie pięć dolarów. Oszczędzam, jak mogę. Ostatnio pomaga mi koleżanka, kilka razy w tygodniu daje mi to, co zostało jej z obiadu. Ta cała sytuacja powoli mnie przerasta. Moją pracą jest wysłuchiwanie problemów innych ludzi, a sama potrzebuję wsparcia.

Alexis dziękuje losowi, że ma chociaż polisę zdrowotną: – Wstyd mi przyznać, ale obejmuje mnie jeszcze ubezpieczenie męża, z którym się rozwodzę. Przez rozwód zawiesiłam spłatę pożyczki studenckiej. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym musiała teraz płacić po 300 dolarów miesięcznej raty. Ale martwię się, co będzie dalej, bo od sierpnia muszę ją ponownie spłacać. A już teraz mówi się, że jesienią przyjdzie druga fala epidemii! Nie wiem, co mnie czeka, bo moje zarobki zależą od tego, czy innych ludzi stać na psychoterapię. Jeśli to długo potrwa, chyba się z tego nie podniosę.

Coraz bliżej Wielkiej Depresji

Odkąd koronawirus rozszalał się w USA, nie ma tygodnia, aby po zasiłek nie zgłaszało się kolejnych kilka milionów bezrobotnych. Łącznie w kwietniu gospodarka straciła 20,5 mln miejsc pracy, a stopa bezrobocia poszybowała do 14,7 proc. W połowie maja bez pracy był już co piąty czynny zawodowo Amerykanin. Tak źle nie było nawet podczas recesji sprzed dekady: wtedy pracę straciło 8,6 mln Amerykanów, a bezrobocie sięgnęło 10 proc. Obecne statystyki coraz bardziej zbliżają się do tych z czasów Wielkiej Depresji, czyli kryzysu z lat 1929-33. Wówczas stopa bezrobocia sięgnęła 25 proc.

Federalny Departament Pracy podaje w raporcie za kwiecień, że restrykcje najsilniej uderzyły w branżę hotelarsko-gastrono-



NATALIE RHAЕ

Jako akrobatka jeździła z trupą cyrkową po Stanach. Dziś mieszka z rodzicami i szuka chętnych do zajęć online z fitnessu.

ARCHIWUM PRYWATNE x3



ROSIE ALUMBAUGH

Przed epidemią pracowała w kawiarni i jako inspicjentka w teatrze, by spłacić studencki kredyt. Teraz straciła oboje zajęcia.



TIM YABOR

O tym, że to jego ostatni dzień w pracy, dowiedział się przez wideokomunikator. Od tego czasu rozsyła swoje CV, bez skutku.

CBS NEWS / KADR Z FILMU



ALEXIS ROSEN

Straciła większość klientów. Jednych nie stać, inni nie mają w domu dość prywatności, by rozmawiać z psychologiem przez telefon.

miczną (utrata 7,6 mln miejsc pracy), handel (2,1 mln), sektor opieki zdrowotnej (2,1 mln) i produkcję przemysłową (1,3 mln). Niektórzy ekonomiści pocieszają, że 78 proc. z tych, którzy w kwietniu poprosili o zasiłek, straciło zatrudnienie „tymczasowo”, i że wraz z łagodzeniem restrykcji mają teoretycznie szansę na powrót do pracy.

Jednak to tylko przypuszczenia – nikt nie wie, na ile trwale będą skutki epidemii. Eksperci z banku Goldman Sachs prognozują, że bezrobocie może osiągnąć poziom 25 proc. oraz że powrót do wskaźników sprzed epidemii – gdy bezrobocie było na rekordowo niskim poziomie 3,5 proc. – może zająć wiele lat. Takie branże jak rozrywkowa, gastronomiczna i hotelarska jeszcze długo mogą podnosić się z kryzysu. W Los Angeles, gdzie nakaz pozostania w domu potrwa nawet do lipca, władze wykluczają organizację koncertów i wydarzeń sportowych aż do 2021 r.

Optymizmu nie dodają słowa Jerome'a Powella, szefa Rezerwy Federalnej [odpowiednik banku centralnego – red.], który w połowie maja ostrzegł, że jeśli Kongres nie uchwali kolejnego pakietu stymulującego gospodarkę, Amerykanom grozi długotrwałe bezrobocie i fala bankructw wśród małych firm. A to prosta droga do pogłębienia recesji, która już jest poważna. W pierwszym kwartale tego roku amerykański PKB zmniejszył się o 4,8 proc. – to największy kwartalny spadek od 2008 r., gdy zaczął się kryzys finansowy.

Akrobatka online

Takiego czarnego scenariusza obawia się Natalie Rhae, 27-latką z Santa Rosa z Kalifornii. Przed epidemią jej życie było kolorowe. Jako akrobatka jeździła z trupą cyrkową po całych Stanach. Zdarzały się jej także wyjątkowo dobrze płatne zlecenia podczas imprez dla technologicznych gigantów, jak Apple czy Google.

Ostatnio Natalie rzadko bywała w rodzinnym domu. Dziś mieszka na stałe z rodzicami i szuka chętnych do zajęć online z fitnessu. Musi kombinować, bo o występach w cyrku może zapomnieć – zapewne aż do chwili, gdy pojawi się szczepionka na koronawirusa. Na bezrobociu jest też jej matka, która przed epidemią pracowała w hotelu spa. Ojciec na szczęście jest już na emeryturze.

– Na jedzenie jakoś nam starcza, ale jak spłacimy hipotekę? – zastanawia się Natalie. – Na razie płacimy raty na czas, bo mamy zasiłek i wsparcie od rządu federalnego. Ale nikt nie wie, co będzie dalej.

© MARTA ZDZIEBORSKA



RICHARD KALVAR / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Nie całkiem legalne, ale bardzo francuskie: spotkanie sąsiedzkie w czasach pandemii, Paryż, 2 maja 2020 r.

Pierwszy łyk wolności

SZYMON ŁUCYK Z BEAUVAIS (DEPARTAMENT OISE, STREFA CZERWONA)

Koronawirus uderzył we Francję osłabioną konfliktem Żółtych Kamizelek. Walka z pandemią łączy ludzi, ale też wskazuje, jak krucha to solidarność.

SŁONECZNE MAJOWE POPOŁUDNIE. NAD brzegiem paryskiego kanału Saint Martin dziesiątki rozbawionych mieszkańców chłoną swobodę i piękną pogodę z winem w ręku, siedząc ciasno obok siebie. Śmieją się i zawzięcie dyskutują. Zbliża się wieczór, ale podniebny aperitif trwa w najlepsze.

Cóż w tym niezwykłego? Nadbrzeże kanału w X dzielnicy Paryża od lat jest jednym z ulubionych miejsc na piknikowanie. Tyle że tego dnia w końcu zjawia się policja i wzywa przez megafon zebranych, aby się rozeszli: „Zgromadzenia powyżej dziesięciu osób są zakazane! Łamiącym przepisy grożą grzywny”. Gdy to nie skutkuje, policjanci przystępują do rozpraszania piknikujących. Obywa się bez użycia siły, ale uczestnicy aperitif są

niepocieszeni. „Przyszlśmy tu świętować wyzwolenie Paryża i nici z tego” – rzuca jeden z nich reporterowi dziennika „Le Parisien”.

Wydarzyło się to 11 maja, a więc pierwszego dnia złagodzenia obowiązującej we Francji od blisko dwóch miesięcy narodowej kwarantanny. Złagodzenie nie oznacza jednak zniesienia: nadal obowiązuje zakaz zgromadzeń publicznych i szereg innych ograniczeń. O czym, jak widać, przekonali się na własnej skórze biwakujący pod chmurką paryżanie.

Wyjść z tunelu, krok po kroku

Od 17 marca, czyli początku wprowadzenia kwarantanny w całym kraju, Francuzom nie wolno było wychodzić z domów poza kilkoma wyjątkowymi sytu-

acjami – przemieszczaniem się do pracy, robieniem zakupów, najpilniejszymi wizytami medycznymi czy uprawianiem sportu (ale w tym ostatnim przypadku – nie więcej niż godzinę dziennie).

Za złamanie tych zasad przewidziana była grzywna w wysokości 135 euro, za powtórkę – 200 euro. Upartym recydywistom groziło nawet do pół roku więzienia. Kary stosowano bez pobłażania: według francuskiego MSW tylko przez pierwszy miesiąc powszechnej kwarantanny policja wlepiła ponad 760 tys. mandatów za omijanie restrykcji.

Ogłoszeniu kwarantanny towarzyszyła militarna retoryka. W telewizyjnym przemówieniu, wygłoszonym 16 marca, prezydent Emmanuel Macron powtórzył sześć razy frazę: „Jesteśmy na wojnie”. Dodając, że w tym przypadku chodzi o niewidzialnego wroga, i wzywając wszystkich obywateli do mobilizacji w walce z wirusem.

Dziś, po dwóch miesiącach *confinement* (to francuski odpowiednik angielskiego słowa *lockdown*), epidemia wydaje się we Francji hamować, ale daleko jeszcze do jej zatrzymania. Pod względem liczby zakazanych Francja jest w pierwszej trójce Europy, za Wielką Brytanią i Włochami. Według oficjalnych statystyk do 20 maja COVID-19 zabił we Francji →

→ ponad 28 tys. osób – to również trzecie miejsce w Europie pod względem liczby ofiar śmiertelnych. W ostatnich dniach stale spadają dwa wskaźniki: liczba hospitalizowanych oraz liczba pacjentów przyjętych na reanimację. Lecz mimo że zasięg zakażenia zwolnił, codziennie przybywa kilkaset nowych przypadków. Wobec tego władze przedłużyły nadzwyczajny stan sanitarny w całym kraju do 10 lipca.

Jednocześnie prezydent Macron zdecydował, aby wracać do normalności – tyle że w kilku etapach. Rygory dotyczące Francuzom są zatem uchylane stopniowo.

Pierwszy etap rozluźniania kwarantanny obowiązuje właśnie od 11 maja. Ponownie każdy może się przemieszczać – choć nie całkiem swobodnie, bo tylko w promieniu 100 km od miejsca zamieszkania. Ci, którzy chcą pojechać dalej, muszą mieć specjalne zezwolenie. W pociągach, autobusach i metrze nosić trzeba maseczki. Na ulicy nie są obowiązkowe, choć zalecane.

Otwarto ponownie wiele żłobków, przedszkoli, szkół podstawowych, gimnazjów, sklepów. Nadal zamknięte są jednak – do odwołania – restauracje, bary i hotele.

Czerwień i zieleń

Sytuacja różni się przy tym znacznie w zależności od regionu Francji. Cały kraj podzielono na dwie strefy epidemiologiczne: zieloną i czerwoną. W pierwszej, obejmującej większość państwa, liczba chorych na COVID-19 jest mniejsza niż w drugiej, w związku z czym uchylono tam więcej restrykcji.

Inaczej w strefie czerwonej, która obejmuje centralną, północną i północno-wschodnią część kraju – inaczej mówiąc, cztery regiony: Hauts-de-France, Burgundia-Franche-Comté, Grand Est oraz region paryski. Tutaj wciąż utrzymano niektóre ograniczenia, w tym zakaz wstępu do parków publicznych, mimo postulatów mer Paryża, Anne Hidalgo, aby zwrócić mieszkańcom zieloną przestrzeń. Sprzeciwiają się temu jednak władze centralne z Macronem na czele, argumentując to ryzykiem ponownego wybuchu pandemii.

Co więcej, w strefie czerwonej – np. w departamencie Oise, ok. 100 km na północ od Paryża – wiele szkół podstawowych jest nadal zamkniętych właśnie ze względu na wysokie zagrożenie



Dom opieki w Aulnay-sous-Bois na przedmieściach Paryża, 6 maja 2020 r.

COVID-19. To duże obciążenie dla pracujących rodziców, którzy muszą zostawiać dzieci w domu, bo nie są w stanie wykonywać swojej pracy przez internet.

Premier Édouard Philippe ogłosił, że w czerwcu, jeśli sytuacja się uspokoi, przyjdzie pora na otwarcie barów i restauracji – ale też nie wszędzie, tylko na razie w strefie zielonej. W tym samym czasie wierni w całym kraju będą mogli powrócić do uczestnictwa w mszach i ceremoniach religijnych, które, decyzją władz państwa, zawieszono w połowie marca.

Ze szczególną ulgą Francuzi przyjęli kolejną zapowiedź premiera: że będą mogli wyjechać na krajowe wakacje w lipcu i sierpniu, bo do tego czasu znikną ograniczenia dotyczące przemieszczania się po Francji. Jednocześnie Philippe ogłosił bezprecedensowy program pomocy rządowej dla rodzimego sektora turystyki, przewidujący 18 mld euro wsparcia (w tym pokrycie części płac pracowników tej branży w okresie pandemii, zwolnienia z podatków itp.). To ważne w kraju, gdzie w turystyce pracują 2 mln ludzi i gdzie stanowiła ona 7 proc. rocznego PKB.

Gospodarcza depresja

Mówi się, że kraj Galów i Franków stoi gastronomią. Tak przynajmniej było do tej pory, bo w następstwie pandemii restauracje i małe lokalne bistra – prawdziwe instytucje francuskiej kultury kulinarnej – znalazły się na skraju bankructwa.

Hervé Becam, wiceprzewodniczący organizacji zrzeszającej sektor hotelarstwa i restauracji UMIH uważa, że obecny kryzys nie ma precedensu. „Możliwe, że [po

kwarantannie] nawet 40 proc. restauracji już nigdy nie wznowi działalności” – szacował w połowie kwietnia na antenie radia RTL.

Apel Becama i wielu innych restauratorów nie pozostał najwyraźniej bez echa. Rząd, który od momentu ogłoszenia stanu klęski sanitarnej przeznaczył 8 mld euro na ratowanie restauracji, ogłosił już kolejny nadzwyczajny program pomocy dla tej gałęzi gospodarki.

Nikt nie ma wątpliwości, że po pokonaniu epidemii Francję, jak i całą Europę, czeka jeszcze większa bitwa. „To, co na pewno, nie będzie recesją, to będzie głęboka depresja gospodarcza” – prognozuje znany francuski publicysta gospodarczy François Lenglet. Jej następstwem może być większe rozwarstwienie i dalsza deklasaacja grup społecznych. A może także powrót na ulice ludzi, którzy wywołali we Francji jesienią 2018 r. antyrządowe bunt Żółtych Kamizelek.

Błędy, braki, zaniechania

Choć nadal trwa walka z wirusem, w prasie i w prywatnych rozmowach coraz częściej pojawiają się pytania: czy można było uniknąć aż tylu ofiar COVID-19? Czy w zarządzaniu kryzysem władze i instytucje medyczne stanęły na wysokości zadania? Pogłębiona odpowiedź wymaga czasu i analiz. Jednak już dzisiaj wiele wskazuje na to, że reakcja na koronawirusa władz centralnych i służby zdrowia była spóźniona.

Jedno z pierwszych ognisk choroby na terytorium francuskim pojawiło się w Miluzie, w Alzacji, już na przeło-

mie lutego i marca. Jeszcze wcześniej jeden z tamtejszych lekarzy, Patrick Vogt, ostrzegał władze medyczne przed epidemią. Bagatelizowano te sygnały – do tego stopnia, że jeszcze 15 marca zorganizowano w całym kraju pierwszą turę wyborów samorządowych, wbrew protestom wielu władz lokalnych. Dopuszczono do głosowania – tradycyjnego, w lokalach wyborczych – choć dzień wcześniej premier Philippe nakazał natychmiastowe zamknięcie aż do odwołania barów, restauracji, teatrów i kin.

U licznych członków komisji wyborczych stwierdzono potem infekcję; nie wiadomo, czy i ilu z nich w trakcie głosowania mogło zarazić innych. Trudno jednak nie uznać decyzji o utrzymaniu wyborów w tej sytuacji za błąd Macrona (prezydent zdecydował o przełożeniu na czas nieokreślony drugiej tury, zaplanowanej tydzień po pierwszej).

Nie ulega też wątpliwości, że francuska służba zdrowia, mająca na ogół dobrą reputację, nie miała dostatecznych rezerw sprzętu medycznego, żeby odeprzeć epidemię. Liczne relacje lekarzy, pielęgniarek, pracowników socjalnych czy merów są zgodne: w momencie jej wybuchu brakowało maseczek dla personelu medycznego oraz respiratorów. Za to wszystko przyszło zapłacić szybkim wzrostem zachorowań i śmiertelności.

Od tego czasu wyposażenie w sprzęt ochronny w szpitalach się poprawiło. Od 11 maja we francuskich merostwach ruszyła akcja rozdawania mieszkańcom maseczek tekstylnych, przeznaczonych do wielokrotnego użytku.

Jak poświęciliśmy seniorów

Osobny problem to fakt, że epidemia, a w jej następstwie przymusowa kwarantanna uderzyły szczególnie mocno i z tragicznymi skutkami w ludzi kruchego zdrowia: osoby starsze, niepełnosprawne i bezdomne. Z oficjalnych statystyk wynika, że co najmniej jedna trzecia (a według innych wyliczeń aż połowa) wszystkich ofiar COVID-19 to mieszkańcy domów spokojnej starości i podobnych placówek opiekuńczych (po francusku nazywanych Ehpad).

Jak mogło dojść do tej „cichej hekatomba” starszych ludzi, jak to określa francuska prasa? W artykule o wymownym tytule „Jak poświęciliśmy naszych seniorów” tygodnik „Marianne” pisze, że w placówkach opiekuńczych, podob-

**„To, co nadejdzie,
nie będzie recesją,
to będzie głęboka depresja”**

– prognozuje znany publicysta
gospodarczy.

nie jak w szpitalach, brakowało sprzętu chroniącego personel, zwłaszcza masek i środków do dezynfekcji. To powodowało, że zakażeni opiekunowie nieświadomie zarażali rezydentów. W dodatku ludzie starsi umierali w samotności: odizolowani we własnym pokoju z powodu kwarantanny. Dramaty, do jakich dochodzi w Ehpadach, są trudne do wyobrażenia.

Dodajmy, że wiele tych instytucji cierpi chronicznie od lat na brak pielęgniarzy i opiekunów medycznych. Bywa, że nie są oni w stanie wezwać na czas pogotowia, aby ratować umierającą osobę.

Ta tragedia przypomina o innej, sprzed 17 lat, gdy w sierpniu 2003 r. z powodu rekordowych upałów we Francji zmarło 15 tys. ludzi, w większości starszych. Odchodzili najczęściej w samotności, bez kontaktu z rodzinami.

„Cicha hekatomba”, nagłośniona dziś przez media, wywołuje kolejną debatę: o podejściu do starości i ludzi starszych oraz o tym, jak stworzyć im godne miejsce do życia. Czy jesteśmy skazani na domy starości będące bezdusznymi molochemi? – pyta tygodnik „La Vie”. I do-

maga się, aby pandemia była wstrząsem, który doprowadzi do stworzenia innego, skrojonego na ludzką miarę, modelu domów spokojnej starości.

Czarujące i zgubne

Francuzi, podobnie jak Polacy, lubią narzekać na błędy swoich władz i szefów. Ale czy do szybkiego rozprzestrzenienia się epidemii nie przyczyniła się w jakimś stopniu także nonszalancka postawa francuskiego Kowalskiego, który tutaj nazywa się monsieur Dupont?

Można mniemać, że tempo epidemii we Francji przyspieszył w jej początkach francuski *bise*, czyli powszechna tradycja witania się pocałunkami w policzek nawet w gronie znajomych w pracy. Dziś, co oczywiste, Francuzi porzucili ten zwyczaj.

Andrzej Bobkowski, pisarz i znakomity znawca Francji, w „Szkicach piórkim” pisał: „Dziś zrozumiałem jedno: cechy, które są czarujące w czasie pokoju – te cechy francuskie są zgubne w czasie wojny”. Pisarz komentował w ten sposób radość zwykłych Francuzów z podpisania kapitulacji po przegranej z Niemcami w czerwcu 1940 r. w miasteczku na południu Francji, gdzie przebywał. Dodawał, że ma wrażenie, iż Francuzi nie mają ochoty ani się bić, ani nawet... uciekać.

Wśród owych francuskich cech Bobkowski wymieniał „boskie *je m'en fous* (mam to w nosie)”, umiłowanie życia i jego codziennych przyjemności, niechęć do narzucanej z zewnątrz dyscypliny. Cecha czarująca, ale czy nie zgubna w niespokojnych czasach? © SZYMON ŁUCYK

POŻEGNANIE

15 maja 2020 roku zmarła

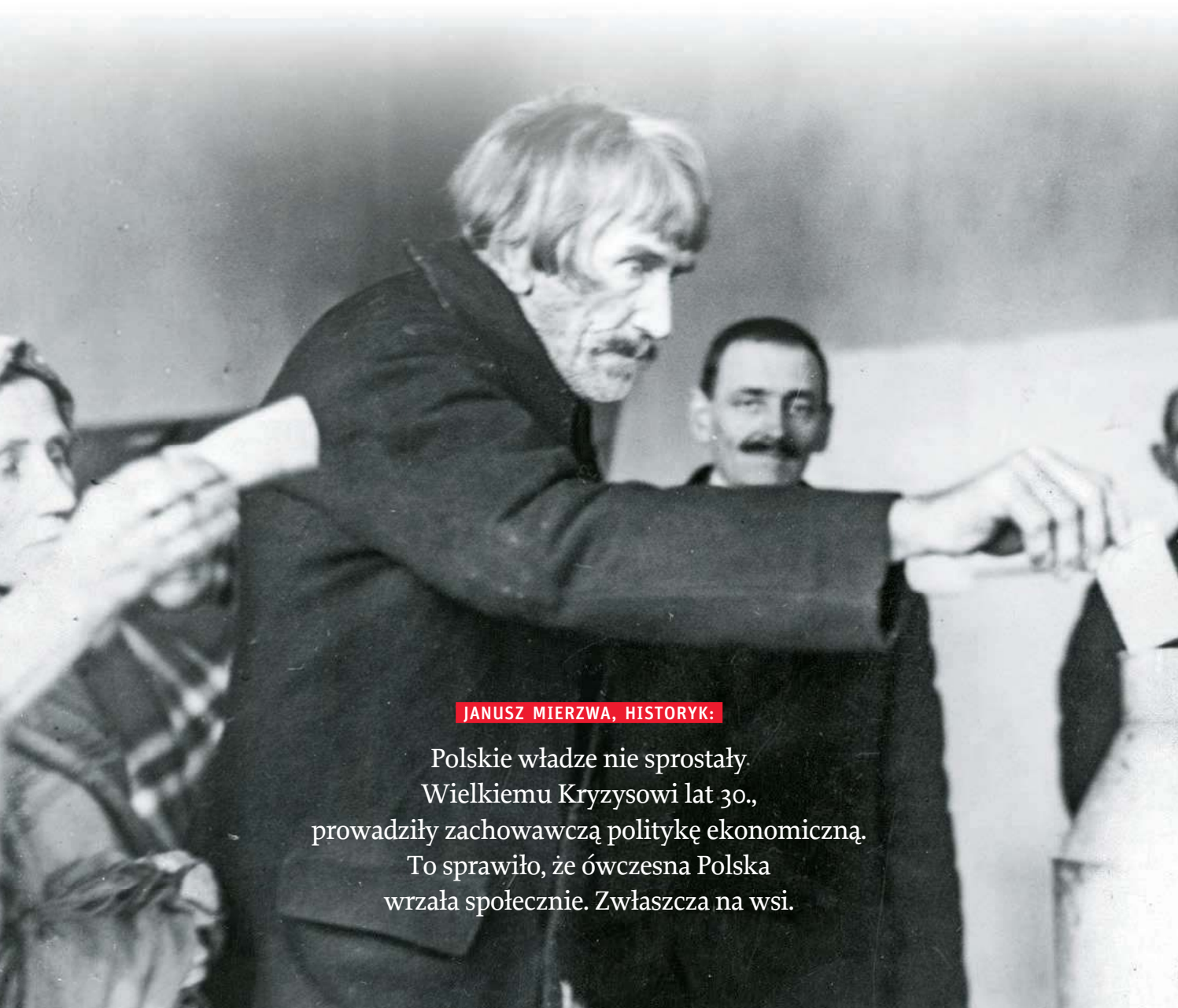
Maria Stangret-Kantor

Wybitna malarka, aktorka Teatru Cricot 2, członkini II Grupy Krakowskiej, autorka powieści „Pamiętnik dziadka”, żona Tadeusza Kantora. Założycielka Fundacji im. Tadeusza Kantora, związana z Galerią Krzysztofory w Krakowie i Galerią Foksal w Warszawie.

Rodzinie oraz bliskim artystki składamy najszczerze wyrazy współczucia.

DYREKCJA I ZESPÓŁ CRICOTEKI

DRUGA RZECZPOSPOLITA ZBUNTOWANA



JANUSZ MIERZWA, HISTORYK:

Polskie władze nie sprostały.
Wielkiemu Kryzysowi lat 30.,
prowadziły zachowawczą politykę ekonomiczną.
To sprawiło, że ówczesna Polska
wrzała społecznie. Zwłaszcza na wsi.

RAFAŁ WOŚ: Wszyscy teraz mówią o nadciągającym kryzysie. A jak radziła sobie z Wielkim Kryzysem sprzed 90 lat nasza poprzedniczka, II Rzeczpospolita?

JANUSZ MIERZWA: Nie radziła sobie. Zawiodła.

Skąd aż tak stanowczy pogląd?

Możemy to pokazać na dwa sposoby. Z jednej strony mamy postawę władz sanacyjnych wobec kryzysu, którą trzeba opisać jako mieszkankę bierności i niekompetencji. Z drugiej jest bezprecedensowa fala protestów społecznych z lat 1930-35. I jedno, i drugie było przejawem tego samego problemu.

Zacznijmy od władz. Dlaczego uważa Pan, że piłsudczycy zawiedli?

W 1930 r. sanacja była na etapie ugruntowywania swojej władzy. Właśnie nadchodziły wybory, które przejdą do historii jako „brzeskie”...

...czyli poprzedzone aresztowaniami przywódców legalnej opozycji:



ludowców i socjalistów, tworzących tzw. Centrolew, a także chadeków, endeków czy polityków mniejszości ukraińskiej.

Aresztowania były kolejnym etapem. Proces przejścia od demokracji parlamentarnej ku dyktaturze autorytarnej zaczyna się po przewrocie majowym z 1926 r., choć pierwsze zmiany, jak nowela sierpniowa [zmiana konstytucji, która wzmocniła pozycję prezydenta – red.], są traktowane pozytywnie jako racjonalizacja systemu politycznego. Ale już lata 1928-30 to wyraźna cezura. Sfałszowano wybory w 1928 r.: dopisywano głosy, unieważniano listy wyborcze, zaangażowano aparat państwa po stronie rządzących, którzy swoją kampanię prowadzili na koszt budżetu. To wszystko ograniczyło do minimum zaufanie w elicie politycznej. Później przyszła marginalizacja parlamentu i nowa jakość spod znaku „wy sobie możecie głosować, ale i tak na koniec wygramy my”. Taki sposób uprawiania polityki sprzyja ugruntowaniu władzy, ale sprawia, że władza staje się głucha i ślepa. Bo wie lepiej.

I wtedy na świecie wybucha kryzys roku 1929. W Polskę uderza bardzo mocno.

Tutaj dochodzimy do kluczowego momentu. Gdyby jeszcze sanacja miała pomysły na radzenie sobie z kryzysem gospodarczym, to mogłaby wykorzystać skupioną w jednym ręku władzę do przeprowadzenia polityki antykryzysowej.

Tak jak robili to faszyci we Włoszech i naziści w Niemczech, a z drugiej strony keynesiści w USA czy Wielkiej Brytanii?

Problem w tym, że polscy politycy okresu międzywojennego mieli bardzo tradycyjne poglądy na ekonomię. Oni funkcjonowali w ramach szkoły neoklasycznej. Większość była przekonana, że kryzys to zjawisko naturalne, a po nim szybko przyjdzie odbicie. Koszty społeczne spowodowane bezrobociem i biedą uważano za nieuniknione.

Mówi Pan o elitach sanacyjnych?

Przede wszystkim, choć nie tylko. W głównym nurcie polskiej opinii publicznej panowało przekonanie o braku

alternatywy. Jedynymi, którzy ją postulowali, byli socjaliści i komuniści. Komuniści to była jednak moskiewska jaczekka, w istocie niewiele znacząca. A socjaliści byli słabi: w II RP wpływy Polskiej Partii Socjalistycznej w społeczeństwie można szacować czasami na 10 proc., a czasami najwyżej na kilkanaście procent.

Jaki był więc plan władzy na kryzys?

Z początku była bierność i wyłącznie działania doraźne. Piłsudscy pierwotnie zakładali, że kryzys będzie krótki i podziała ozdrowieńczo na gospodarkę, bo oczyszczy ją z podmiotów, które są nieefektywne. Przyjęto strategię „kryzys musi się wyszumieć”. Kompleksowy pakiet antykryzysowy to dopiero rok 1932. Czyli reakcja nastąpiła już po tym, gdy polska gospodarka uderzyła o dno. Dla piłsudczyków dogmatem była stabilność złotówki. To sprawiało, że żadne poważne i skuteczne posunięcia antykryzysowe nie wchodziły w grę.

Dziś panuje przekonanie, że sanacja w końcu „przykeynesowała”, to znaczy zaczęła się interwencja państwa w gospodarkę. Nie taka jak w USA prezydenta Roosevelta czy we Włoszech Mussoliniego. Ale jednak.

To są działania, z którymi mamy do czynienia w późniejszych latach. Owszem, w czasie kryzysu roboty publiczne były prowadzone – wcześniej zresztą też – ale ich skala była skromna. Szerszy program realizuje dopiero Eugeniusz Kwiatkowski [w latach 1926-30 minister przemysłu i handlu, w latach 1935-39 wicepremier i minister skarbu – red.], już po śmierci Piłsudskiego w 1935 r. A i to nie były działania, które dałoby się porównać z tym, co się działo w innych krajach. Na ich tle Polska przez całe lata 30. prowadziła bardzo zachowawczą politykę ekonomiczną.

A sam Piłsudski?

Piłsudski nie znał się na ekonomii, nie rozumiał jej mechanizmów, a przez to z jednej strony ją lekceważył, a z drugiej – stawiał na stare, sprawdzone rozwiązania.

Ale ktoś się w tamtych rządach znał na gospodarce?

W okres kryzysu Polska wchodziła z płk. Ignacym Matuszewskim jako kierownikiem ministerstwa skarbu, sternikiem gospodarki. Należał on do ścisłego grona współpracowników Marszałka. Był

Chłopi z Bronowic koło Krakowa głosują w wyborach do Sejmu, 16 listopada 1930 r.

NAC

→ to człowiek czarujący i inteligentny, ale jego wiedza ekonomiczna była pobieżna. Złośliwi powiadali, że przeczytał o ekonomii jedną książkę i dalej już w to nie brnął, żeby nie psuć sobie jasności widzenia sprawy. A że było to coś z klasyki liberalizmu, to liberałem pozostał. Potem przez chwilę na czele resortu skarbu stał Jan Piłsudski, młodszy brat Marszałka. Ponoć sympatyczny, ale z zawodu sędzieja. O ekonomii pojęcie miał blade. Za pierwszego „fachowca” można uznać dopiero Władysława Zawadzkiego, profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Ten faktycznie był ekonomistą. Ale ministrem skarbu został dopiero w 1932 r., a poza tym nie był to na pewno zwolennik progresywnych pomysłów. Politycznie wywodził się z kręgów konserwatywno-ziemiańskich. Aktywna walka z bezrobociem czy biedą nie była jego priorytetem.

No ale przecież Eugeniusz Kwiatkowski to także sanacja. To on uruchomił 4-letni plan inwestycyjny, stworzył Centralny Okręg Przemysłowy.

To wszystko później. Kwiatkowski ograniczył wpływ dewiz z kraju i wykorzystał środki z pożyczki francuskiej, ale to już po roku 1935. Na długo po tym, jak uderzyliśmy w dno. W najcięższym okresie, czyli do 1932 r., działania rządu były chaotyczne, doraźne, pozbawione szerszego planu. W niewielkim stopniu korzystano nawet ze starych pomysłów stosowanych w latach 20., np. ze wspomnianych robót publicznych. One początkowo leżały w gestii samorządów, a samorządy wchodziły w kryzys już z zadłużeniem. Z opóźnieniem rząd zaczął dokładać środki, ale jeżeli jak ognia bano się poluzowania polityki pieniężnej, to środki nie mogły być wystarczające.

Spójrzmy teraz na ten kryzys od strony szerokich mas polskiego społeczeństwa. Czyli od tej drugiej zapowiadanej przez Pana strony.

Pierwsza połowa lat 30. to czas, gdy Polska po prostu wrze społecznie. Razem z Piotrem Cichorackim i Joanną Dufurat naliczyliśmy i opisaliśmy ponad 800 zająć na tle niezadowolenia społecznego. W najgorętszym okresie, w latach 1931-33, było ich nawet 140-180 rocznie.

Czyli co trzy dni strajk, manifestacja?

Żeby tylko. Często były to regularne walki. Czasami w miastach, a na pogra-

niczu polesko-wołyńskim starcia o charakterze wręcz partyzanckim. Byli ranni i zabici.

Ilu?

Z naszych obliczeń wynika, że w czasie tych niepokojów społecznych zginęło blisko 200 osób.

Sporo. To więcej niż liczba ofiar stanu wojennego czy takich wydarzeń jak poznański Czerwiec 1956 czy Grudzień 1970. Niezbyt to pasuje do wyidealizowanego obrazu II RP, który mamy obecnie.

Nasz stosunek do II RP to osobna kwestia. Mówiąc w skrócie, jest on pochodną kilku czynników. Po pierwsze, dość sprawnie prowadzonej polityki historycznej sanacji, także kultu Piłsudskiego, realizowanej konsekwentnie od szkoły powszechnej w postaci tzw. wychowania państwowego. Po wtóre – i dla nas pewnie najważniejsze – doświadczenia PRL-u: to w opozycji do czarnej legendy sanacyjnej Polski z okresu powojennego budowała się ta współczesna wizja II RP. Zgadzałem się, że w powszechnym odbiorze mocno wyidealizowana, ale czas PRL-u nie służył rzetelnej analizie. Niemniej jeśli ktoś pragnie poznać prawdziwsze oblicze międzywojennej Polski, to je bez trudu znajdzie.

Choćby w takich publikacjach jak książka „Oblicza buntu społecznego w II RP”, której jest Pan współautorem. Proszę opowiedzieć o tych buntach. Jak one wyglądały? Gdzie było ich najwięcej?

To może niejednego zaskoczyć, ale najmocniej wrzały nie trapione bezrobociem miasta, lecz wieś. Lata 1932-33 to na wsi czas wrzenia, z okresowymi wybuchami.

Jaką część populacji stanowili wtedy chłopci?

Nieco więcej niż połowę mieszkańców II Rzeczypospolitej.

I co tam się dzieje?

Chłop nie zareagował na aresztowania brzeskie. Nie stanął w obronie przywódcy ruchu ludowego Wincentego Witosa i jego współpracowników. Niezadowolenie miało charakter ściśle ekonomiczny i pojawiło się około roku 1931, a jego apogeum to lata 1932-33. Wyczerpały się rezerwy z czasów dobrej koniunktury, pojawia się zjawisko podaży głodowej. Chłop

sprzedaje to, co mu było potrzebne do przetrwania, także żywność przeznaczoną na konsumpcję.

A mogli nie sprzedawać?

Mogli, ale to często rodziło konflikt z prawem, bo trzeba było płacić podatki. Chłop stanął wówczas wobec wyboru: albo płaci podatek i głoduje, albo nie płaci podatku i mam na głowie policję. Wielu wybierało to drugie. Zaczęły się przypadki pogonienia poborców podatkowych i próby blokowania licytacji. Poborca wracał z policją. Tylko że tu wychodził kolejny problem, czyli słabość państwa. Wie pan, ilu było w II RP policjantów?

Nie mam pojęcia.

Jakieś 30-35 tys., gdy dziś mamy ok. 100 tys. policjantów. A przypomnijmy, że populacja II RP w jej schyłkowym okresie była tylko nieznacznie mniejsza niż dziś, a obszar państwa większy. Efekt był taki, że gdy dochodziło do protestów czy zatargów z mieszkańcami wsi, administracja często uciekała się do pomocy wojska. Piechota, artyleria. Czasem nawet... lotnictwo. Po wojsko sięgano dość chętnie w obliczu niepokojów społecznych także przed przewrotem majowym.

Stąd tak krwawy bilans?

Także. Wojsko nie jest od tego, by tłumić rozruchy. Wojsko ma działać tak, by pokonać wroga. Maksymalnie, szybko i efektywnie, ale nie w sposób chirurgiczny.

Próbuję sobie to wszystko wyobrazić.

Pokażmy to na przykładzie zająć w powiecie leskim na Podkarpaciu w czerwcu i lipcu 1932 r. Tam wszystko zaczęło się od plotki, że „mają przywracać pańszczyznę”.

A mieli?

Władze były świadome, że na wsi brakuje pieniędzy, i że z drugiej strony występuje tu zjawisko bezrobocia agrarnego, czyli setek tysięcy tzw. ludzi zbędnych. Wrócono zatem do szarwarku...

Czyli?

Czyli podatku, tyle że regulowanego w postaci pracy, np. przy budowie drogi. W przypadku Leska brakowało uchwały rady gminy, więc nie mieliśmy podatku, tylko coś na kształt późniejszego czynu społecznego, przez miejscowego staro-

stę i ziemianina nazwanego „świętem pracy”. Miejscowi potraktowali to jako zapowiedź przywrócenia pańszczyzny, co zresztą dużo mówi o świadomości społeczeństwa i jego nieufności wobec władzy. Skończyło się regularnymi starciami z udziałem Straży Granicznej, wojska, w tym nawet lotnictwa. Szacujemy, że w tzw. powstaniu leskim brało udział ok. 4 tys. uczestników. Siedem osób zginęło, rany odniosło kilkadziesiąt. W ogóle bunt chłopów w II RP wyróżniała większa spontaniczność i chaotyczność. Były też bardziej brutalne.

Dlaczego?

Poziom biedy i frustracji na wsi był większy niż w mieście. Młodzież wiejska miała wówczas zdecydowanie gorsze perspektywy niż poprzednie pokolenie. Okres przed wybuchem I wojny światowej to czas, gdy można się było dorobić własnego gospodarstwa. A tym, którzy nie mieli na to szans, pozostawała migracja. Bliższa, czyli do miasta, albo dalsza, czasem na inny kontynent. W II RP to się kończy. Gdy wybucha Wielki Kryzys, eksploduje bezrobocie i miasta przestają chłonać pracowników. Z kolei inne państwa zamykają swoje rynki pracy. Narasta zjawisko reemigracji. Tyle że ludzie, którzy wracali z emigracji jeszcze w latach 20., przyjeżdżali do domu z pieniędzmi. A dekadę później już jako przegrani, z pustymi rękami. Wszystko to działo się w warunkach wysokiego przyrostu naturalnego. Przypomnę, że w 1921 r. II RP liczyła ok. 27 mln ludzi, a w 1939 r. już 35-36 mln, czyli 9 milionów więcej! To pogłębiało dramat na wsi.

No i nie było reformy rolnej.

Reforma rolna to wyrzut sumienia II RP. Ziemi było za mało, chłopów za dużo. Model reformy przyjęty w 1925 r. miał charakter kompromisu.

To chyba dobrze?

Zależy dla kogo. Rocznie miało być parcelowanych do 200 tys. hektarów, ale wprowadzono ograniczenia dla majątków kresowych czy uprzemysłowionych. Dotychczasowemu właścicielowi przysługiwało odszkodowanie. Płacone przez chłopów.

Z czego?

Państwo tworzyło dla nich mechanizmy kredytowania, ale uzależniały one



PIOTR NOWAK / PAP

DR HAB. JANUSZ MIERZWA (ur. 1978) jest historykiem, pracuje na UJ. W latach 2013-15 był dyrektorem Muzeum AK w Krakowie. Autor książek o historii Polski w XX w., m.in.: „Starostowie Polski międzywojennej. Portret zbiorowy”, „Pułkownik Adam Koc. Biografia polityczna”. Współautor (razem z Piotrem Cichorackim i Joanną Dufurat) książki „Oblicza buntu społecznego w II RP doby Wielkiego Kryzysu 1930–1935” (Towarzystwo Wydawnicze Historia Iagiellonica, Kraków 2019).

postępy w reformie rolnej od kondycji gospodarki. Bo przecież jak jest kryzys, to chęć do zaciągania nowych kredytów jest mniejsza, a i ze spłatą starych jest problem. Wielki Kryzys zmniejszył zatem ilość parcelowanej ziemi o połowę. Ale, niezależnie od tego, gdyby reforma z roku 1925 była realizowana tak, jak ją wymyślono, to skończyłaby się w połowie lat 80. Nierozwiązany problem ziemi będzie oczywiście mocno wykorzystywany przez komunistów w latach 1944-45. Inna rzecz, że parcelacja nie była alternatywą dla industrializacji jako sposobu na rozładowanie bezrobocia.

No to teraz lepiej rozumiem kontekst tych chłopskich protestów i pułapkę, w jakiej znalazła się polska wieś w momencie nastania Wielkiego Kryzysu. A miasta? Co się działo w miastach?

W przypadku miasta problemy były dwa. Po pierwsze, strajki w przemyśle. Tu zaskakuje cierpliwość ówczesnych robotników. Strajki wybuchały zazwyczaj dopiero w momencie, gdy robotnicy zostali doprowadzeni do ostateczności. Np. w fabryce, która nie płaciła od... sześciu miesięcy. Innym powodem bywały serie kilku obniżek wynagrodzenia w krótkim okresie.

Obniżki płac w czasie kryzysu to najprostszy mechanizm, by ten kryzys pogłębić.

No i dlatego mieliśmy w niektórych gałęziach bezrobocie sięgające 50 proc. Drugi problem to protesty bezrobotnych, żądających przede wszystkim pracy.

Jak długo to trwało?

Sytuacja gospodarcza poprawia się w sposób zauważalny dopiero w latach 1934-35. To przede wszystkim kwestia lepszej koniunktury na świecie. Do 1935 r. sanacja raczej dostosowywała się do warunków kryzysowych, a podejmowane działania były dyktowane obawą przed wielką rewoltą. Stąd np. programy pomocy rzeczowej: przydziały węgla albo mąki. Ruszyło też parę inwestycji, jak wspomniany Centralny Okręg Przemysłowy. Ale po pięciu niszczących latach bezrobocie wcale nie zaczęło spadać. Wielu z tych, co stracili pracę w pierwszej połowie lat 30., na rynek już nie wróciło. Dlatego aż do wybuchu II wojny światowej w kraju spokojnie nie było. Na tym podglebiu swojej szansy szukały ruchy radykalne. Z jednej strony komuniści: choć nie udało im się wyjść poza kilka procent poparcia, podgrzewali nastroje – jak w Krakowie w marcu 1936 r. Z drugiej strony ludowcy, którzy doprowadzili do strajku w 1937 r., w którym zginęło blisko 50 chłopów. Wreszcie narodowcy, spod znaku Obozu Narodowo-Radykalnego, ale też Stronnictwa Narodowego, co prowadziło do gwałtownej eskalacji zajęć antyżydowskich w drugiej połowie lat 30.

Słuchając Pana, ciśnie się pytanie: jak II RP w ogóle dotrwała w jednym kawałku do roku 1939?

II RP upadła nie pod wpływem napięć wewnętrznych, lecz agresji dwóch wielkich sąsiadów. Konflikty społeczne, ekonomiczne czy polityczne, o których rozmawiamy – a nie mówiliśmy nic o mniejszościach narodowych! – nie miały wpływu na integralność państwa. Zaraz u jego początku, w roku 1920, robotnicy, a zwłaszcza chłopci, otwarcie powiedzieli „tak” niepodległości. Można powiedzieć, że przeszli szkołę uobywatelnienia. Kolejny etap przyszedł od września 1939 r. i też został zdany. Na przekór doświadczeniom z czasów Wielkiego Kryzysu, o których mówiłem.

©P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

DZIECIOBÓJSTWO

U szympanсів звичайних зaskakująco często dochodzi do najgorszej ze zbrodni.

ŁUKASZ KWIATEK

CZYTELNICZY KSIĄŻEK JANE GOODALL Ciepłonie pamiętają historię Passion i Gilki – jej właściwie nie da się zapomnieć. Te dwie samice – i dwie matki – należały do tej samej społeczności szympansov (nazwanej Kasakela) zamieszkującej Park Narodowy Gombe w Tanzanii. Passion nie była zbyt towarzyska ani opiekuńcza, co często nie wróży szympansom udanej kariery, jednak z czasem ona sama oraz jej dzieci stały się dość wpływowymi postaciami w całej grupie. Gilka potrafiła zaprzyjaźnić się nawet z samicą pawiana – choć członkowie obu gatunków raczej za sobą nie przepadają – ale polio uczyniło z niej kalekę i odludka. Gdy wreszcie Gilka doczekała się synka, Passion razem ze swoją córką Pom napadły na nią. Porwały niemowlę, uśmierciły jednym ugryzieniem w głowę, a potem pożarły na oczach zrozpaczonej matki, dzieląc się mięsem z innymi członkami rodziny.

Rok później Gilka znowu została matką. Nie minęło kilka tygodni, a tragedia rozegrała się na nowo. Zanim Goodall i jej współpracownicy zaobserwowali obie te sceny na własne oczy, wcześniej jeszcze jedno niemowlę Gilki przepadło bez śladu – być może także padło ofiarą podobnej zbrodni.

Gdyby to był odosobniony przypadek, można by go było złożyć na karb jakichś zaburzeń psychicznych występujących wyłącznie u Passion czy w jej rodzinie. Jednak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zaobserwowano w różnych grupach szympansov zwyczajnych dziesiątki przypadków dzieciobójstwa. Może się wydawać zaskakujące, że dochodzi do niego w gatunku, u którego wyewoluowały silne mechanizmy opieki rodzicielskiej. Szympan-

sie niemowlęta pierwsze miesiące spędzają dosłownie wczepione w futra matek, od których jeszcze przez kilka lat pozostaną całkowicie zależne. Narodziny dziecka wywołują ekscytację w stadzie. Dorastające samice potrafią godzinami wkupywać się w łaski matek, byle tylko te pozwoliły im dotknąć swoje młode. Bywa, że osierocone dziecko jest „adoptowane” przez niespokrewnioną z nim małpę – przybrany rodzic zaczyna się opiekować młodym tak, jakby było jego własnym potomstwem. To wszystko wyraźne ślady działania doboru naturalnego, który głęboko musiał wyryc w szympansej naturze sentyment do dzieci. A jednak dobór sprawił również, że dzieci mogą paść ofiarą najgorszej ze wszystkich zbrodni.

Szympansy nie są oczywiście żadnymi aniołami w małpich skórach – zdarzają się u nich brutalne walki i morderstwa dorosłych osobników, zwłaszcza należących do obcego stada. Niektóre społeczności wyspecjalizowały się w polowaniach na mniejsze małpy – a nie ma przecież łatwiejszej zdobyczy od niemowlęcia. Dawna przyjaciółka Gilki – pawianica o imieniu Goblina – sama straciła swoje pierwsze dziecko w ataku szympansov. Przemoc, także w stosunku do bezbronnych, jest więc stałym elementem życia tych małp. A jednak zabijanie niemowląt własnego gatunku wydaje się przekraczaniem jakiejś granicy. A już na pewno domaga się odpowiedzi, dlaczego takie zachowanie mogło się utrzymać w toku ewolucji.

Rywalizacja samic

Dawniej biolodzy próbowali wyjaśnić wszystkie zachowania zwierząt – zarówno te uprzejme, jak i agresywne – od-



BIOS PHOTO / EAST NEWS



wołaniem do zasady „działania dla dobra gatunku”. Zderzeni z obserwacjami dzieciobójstwa musieli się nieźle nagimnastykować. Jak takie zachowanie miałoby niby służyć gatunkowi? Czyżby chodziło o eliminację najsłabszych osobników – czyli poprawienie genetycznej kondycji populacji? A może o regulację liczebności stada – tak, by w przyszłości nie zabrakło dla wszystkich pożywienia? Odpowiedzi te rodziły jednak mnóstwo dalszych pytań i wątpliwości. Dziś wiemy, że tamte wyjaśnienia opierały się na niezrozumieniu istoty działania doboru naturalnego. W ewolucji bowiem każdy osobnik gra wyłącznie na swój własny sukces reprodukcyjny – oraz swoich krewnych – a nie zabiega o „dobro gatunku”. Eliminacja obcego niemowlęcia nie będzie służyć pomyślnej przyszłości gatunku, ale z punktu widzenia pojedynczego osobnika czasem może się opłacać.

Gdy już ten sposób myślenia na dobre zdomowił się w biologii, różni badacze zaproponowali cztery oddzielne hipotezy wyjaśniające, dlaczego dzieciobójstwo mogło wyewoluować u szympanów. Każda z tych hipotez ma bardzo konkretne przewidywania. Wszystkie odnoszą się do sytuacji najbardziej skrajnych, gdy agresor i jego ofiara należą do tego samego stada, czyli grupy osobników połączonych pewnymi wspólnymi interesami. Tak jak Passion i Gilka.

Pierwsza hipoteza dotyczy konkurencji o zasoby. Każde młode to kolejny żołędź do wykarmienia na tym samym terytorium. Jeśli dziecko zostanie wyeliminowane, napastnik ułatwi sobie znalezienie pożywienia. Przełoży się to na zwiększenie jego dostosowania – czyli szansy na to, że on sam dłużej przeżyje i doczeka się większej liczby potomstwa.

Dostosowanie jest podstawową „walutą”, jaką bierze pod uwagę dobór naturalny – ewolucyjny „bezwzględny księgowy”. O doborze najlepiej jest myśleć jako o procesie odsiewającym w toku ewolucji z populacji te cechy fizyczne i zachowania, które są zbyt kosztowne dla jednostek (czyli obniżają ich dostosowanie), i promującym te, które są opłacalne (zwiększają dostosowanie). Aby dzieciobójstwo – czy jakiegokolwiek inne zachowanie – mogło wyewoluować, napastnikom musi się ono w tym sensie opłacać.

Można się zastanawiać, czy pozbycie się jednego dziecka przekłada się na aż tak wiel-

*Nowo narodzony szympan,
Demokratyczna Republika Konga, 2011 r.*

→ kie zyski dzieciobójcy, żeby „bezwzględny księgowy” zaprzętał sobie takim zachowaniem głowę, ale rzeczywista korzyść może się kryć gdzie indziej. Z obserwacji wynika, że matka, której dziecko zostało zamordowane, jest bardziej skłonna opuścić stado i przenieść się na inny teren. To znacznie zwiększa potencjalne zyski agresora. Co ciekawe, ta hipoteza przewiduje, że sprawcami ataków częściej będą samice niż samce – ponieważ, jak wskazują badania, współczynnik dostosowania jest u szympanсів powiązany znacznie silniej niż u samców szympanсов z jakością danego środowiska (im więcej pożywienia czy bezpiecznych miejsc ma do dyspozycji samica, tym więcej potomstwa uda się jej zrodzić i odchowić). Samicom zbrodnia będzie się więc bardziej opłacać. Jej ofiarami powinny w równym stopniu padać dzieci obu płci.

W świetle tej hipotezy zachowanie Passion można ostatecznie sprowadzić do próby pozbycia się Gilki – i jej ewentualnego potomstwa – z okolicy. Niewykluczone jednak, że wyjaśnienie jest znacznie prostsze.

Łakomy kęsek

Druga hipoteza głosi, że mordowanie dzieci służy po prostu zdobywaniu mięsa. Co ciekawe, również i w takim przypadku to samice powinny być częściej agresorkami – ponieważ rzadziej niż samce uczestniczą w polowaniach. Zwyczajna dieta samic składa się w zdecydowanej większości z roślin, czyli jest niższej jakości. Każda ilość białka zwierzęcego będzie w ich oczach cenniejsza niż w oczach samców. Podobnie jak poprzednia, i ta hipoteza przewiduje, że ofiarami ataków będą dzieci obojga płci (prawdopodobnie smakują tak samo), znajdujące się w różnym wieku. Oczywiście zwłoki zostaną pożarte przez sprawcę (sprawczynię) ataku – i to w całości. Jeśli w dzieciobójstwie naprawdę chodzi głównie o mięso, to nic nie powinno się przecież zmarnować. Z opisu Goodall można wnioskować, że Passion całkowicie po dzielała to przekonanie.

Dwie pierwsze hipotezy dotyczyły przede wszystkim pożywienia i bezpieczeństwa – czyli zasobów, na których najbardziej „zależy” doborowi naturalnemu. Dostosowanie można jednak zwiększać gromadząc nie tylko więcej żywności, ale także więcej partnerów seksualnych, z którymi można spłodzić więcej dzieci.

Narodziny szympansiątka wywołują ekscytację w całym stadzie, a samice uwielbiają dotykać i nosić cudze dzieci.

To domena drugiego mechanizmu selekcyjnego, czyli doboru płciowego. Ze względu na odmienne strategie reprodukcyjne obu płci dobór płciowy musi silniej oddziaływać na samców szympanсов niż na samice (podobnie jest u większości gatunków). Dla samicy – dla jej dostosowania – nie ma większego znaczenia to, z iloma partnerami się skojarzy, ponieważ i tak może urodzić w życiu określoną liczbę dzieci. Samce mogą jednak zapłodnić wiele samic w krótkim czasie. Nie ponoszą kosztów związanych z ciążą (to ogromny wydatek energetyczny i zwiększone ryzyko śmierci), ale płacą inną cenę – muszą, dosłownie, wywalczyć sobie dostęp do samic.

Dlatego trzecia hipoteza odwołuje się do konkurencji występującej pomiędzy samcami. I ta hipoteza ma swoje przewidywania. Jeśli dzieciobójstwo wyewoluowało u szympanсов zgodnie z tym schematem, to zarówno sprawcami ataków, jak i ich ofiarami powinny być samce. Zabijanie niemowląt płci żeńskiej nie będzie miało sensu. Nie będzie też miało znaczenia to, co stanie się z ciałem ofiary, skoro problemem do rozwiązania jest konkurencja o samice, a nie niedobór mięsa.

Czwarta hipoteza jeszcze w inny sposób wiąże się z doбором płciowym. U karmiących samic występują mechanizmy fizjologiczne, które powstrzymują matkę przez wejściem w okres płodny. Dlatego przerwa między kolejnymi ciążami trwa u szympanсов nawet 5-7 lat – tyle potrzeba na odchowanie jednego dziecka. Ponadto tylko w okresie płodnym – co sygnalizują widoczne obrzmienia okolic genitalnych – samica jest dla samców atrakcyjna seksualnie.

Jeśli więc samiec wyeliminuje dziecko karmiącej matki, szybciej będzie mogła ona ponownie zająć w ciążę – a przynajmniej szybciej znowu stanie się atrakcyjna seksualnie. Hipoteza ta przewiduje, że ofiarami dzieciobójstwa będą padać niemowlęta (nie ma większego sensu zabijanie kilkuletniego dziecka, skoro jego

matka i tak wkrótce będzie mogła zająć w ciążę) obojga płci. Sprawcami będą oczywiście samce. Przy czym kluczowe dla zabójcy będzie to, by nie atakować własnego potomstwa – inaczej obniży on swoje dostosowanie, zamiast jej podwyższyć. W dodatku matki nie powinny odnieść w ataku poważnych obrażeń. Okaleczona samica może nie dożyć kolejnej ciąży, na której przecież najbardziej zależy napastnikowi.

Szympansy, o ile wiemy, nie wynalazły testów na ojcostwo ani nie czytają podręczników na temat małpiej płodności. Nie tworzą też stałych par, dlatego odróżnienie potomstwa swojego od cudzego nie jest dla samców łatwym zadaniem. Dobór płciowy nie musi jednak wynaleźć nowoczesnej technologii, żeby zadbać, by zachowania samców były zgodne z optymalnym modelem. Dobór działa subtelniej – wpływając np. na emocje. Być może widok samicy z dzieckiem, z którą nigdy wcześniej dany samiec nie kopulował – np. dlatego, że dopiero co dołączyła do stada – wywołuje u niego gniew albo złość.

Swoje ramy na całe zjawisko narzuca także system hierarchiczny, jaki panuje w stadach szympanсов. Samiec najwyższego szczebla stara się stale ograniczać dostęp innych samców do płodnych partnerek, przynajmniej tych najbardziej atrakcyjnych. Jeśli dojdzie do przewrotu na szczycie władzy, to nowy samiec alfa może mieć wysoką motywację, by pozbyć się najmłodszych dzieci najbardziej atrakcyjnych samic – czyli tych, które najprawdopodobniej spłodził jego poprzednik.

Jedno szympansiątko rocznie

Tyle, jeśli chodzi o suchą teorię. Żeby rozstrzygnąć, która z tych hipotez jest poprawna, musimy odwołać się do dokładnych obserwacji – sprawdzić, kto jest najczęściej sprawcą ataków, a kto ofiarą, w jakich okolicznościach społecznych dochodzi do dzieciobójstwa, co dzieje się z ciałem i jak reaguje na sytuację matka. Oczywiście cztery przytoczone hipotezy nie wykluczają się całkowicie. Może być tak, że inny zestaw presji selekcyjnych doprowadził do ewolucji dzieciobójstwa u samców, a inny u samic. Być może znaczenie miało kilka czynników. Jednak to wszystko powinny nam wyjaśnić zebrane dane statystyczne. Nie mamy ich zbyt wiele, ale w kilku szympanсіх społecznościach udało się je zgromadzić.



REMCO DE WAAL / EAST NEWS

U bonobo nie dochodzi do dzieciobójstwa. Szympansy te są mniej agresywne niż ich kuzyni, szympansy zwyczajne, napięcia grupowe rozładowują częstymi kontaktami seksualnymi, rzadko sprawują zaś koalicje samic, które potrafią zadbać o bezpieczeństwo dzieci.

W połowie 2019 r. Adriana Lowe i współpracownicy opublikowali w „Primates” raport z aż 24-letnich obserwacji poczynionych w jednej tylko szympansej społeczności – nazwanej Sonso – zamieszkującej las Budongo w Ugandzie. Przeciętnie żyło w niej około 60 osobników, z czego 10 to były dorosłe samce, a 23 – dorosłe samice. W tym czasie odnotowano w tej grupie 33 przypadki ataków na dzieci. Nie wszystkie zakończyły się śmiercią ofiary ataku, ale i tak z powodu dzieciobójstwa ginęło przeciętnie jedno szympansiątko na rok. To ponad jedna piąta wszystkich, które w tym czasie urodziły się w Sonso. Tylko jedna trzecia osobników, które nie dożyły okresu rozrodczego, zmarła z innych przyczyn niż dzieciobójstwo.

W większości przypadków napastnikami były samce. Kanibalizm był rzadki i tylko częściowy. Ofiarami padały niemowlęta obu płci, a do ataków najczęściej dochodziło w pierwszym tygodniu ich życia. Matki nie odnosiły poważnych obrażeń.

Dane ze społeczności Sonso wskazują więc najsilniej na czwartą hipotezę. Nakręceniu się spirali przemocy mógł pomóc fakt, że matki zamordowanych dzieci najczęściej pozostawały w społeczności i ponownie zachodziły w ciążę – agresor szybko mógł więc zostać ojcem. Niewykluczone, że w całym zjawisku chodzi również o zastraszanie. Dzieciobójstwo to najlepszy sposób na sterro-

ryzowanie matki. Choć brzmi to makabrycznie, samica, która doświadczyła takiej traumy, będzie bardziej skłonna trzymać się zabójcy jej dziecka i w przyszłości parzyć się wyłącznie z nim. To zapewni większe bezpieczeństwo jej przyszłemu potomstwu.

U szympanсів zwyczajnych wysokie rangą samce preferują starsze, bardziej doświadczone samice. Te młodsze raczej kojarzą się z samcami o niskim statusie społecznym. Ich pierwsze dzieci powinny być więc bardziej narażone na ataki samców wyższych rang – co także pokazały zgromadzone dane.

Kontekst ekologiczny

Skala dzieciobójstwa w społeczności Sonso była znacząca. Można ją też dość precyzyjnie przeliczać na dostosowanie. Utrata dziecka w pierwszym tygodniu po porodzie oznacza dla samicy zmarnowanie ponad 450 dni „kariery reprodukcyjnej” – jeśli brać pod uwagę ciążę, laktację i czas do ponownego wejścia w okres płodny. Samice powinny więc być bardzo zmotywowane, by bronić swoich „inwestycji rodzicielskich”. Niektóre próby dzieciobójstwa faktycznie zostały odparte, ale większość matek nie miała na to szans.

U szympanсів zwyczajnych dorastające samice opuszczają rodzime stado i przyłączają się do sąsiedniego – ten mechanizm wyewoluował oczywiście, by ograniczyć ryzyko chowu wsobnego. Jego konsekwencją jest jednak to, że młode sa-

mice nie mają zazwyczaj w nowej grupie bliskich krewnych – a więc pozbawione są potencjalnie najbardziej wiernych sojuszników. Są pozostawione samym sobie – i zdane na łaskę znacznie silniejszych od nich samców.

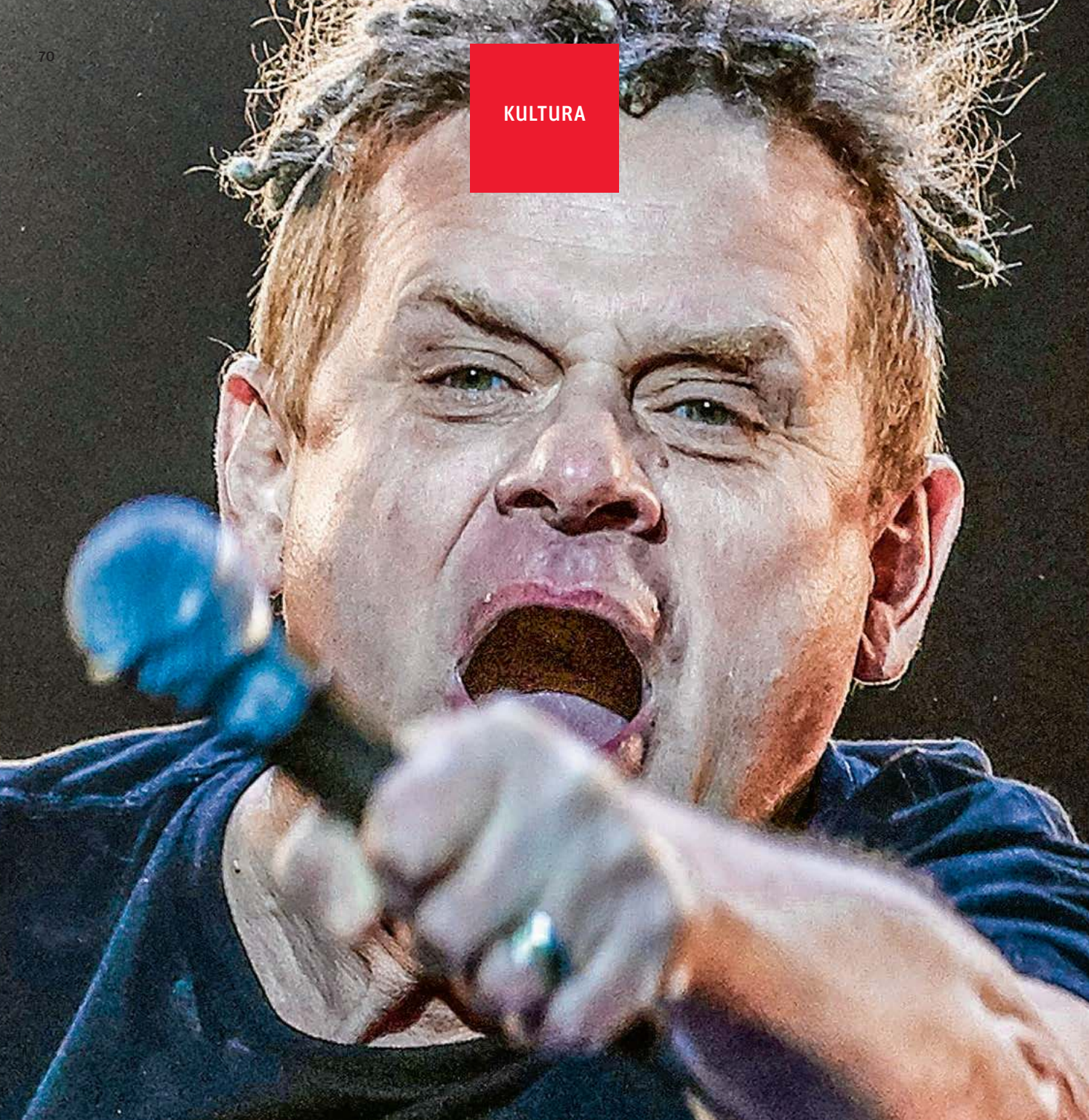
W Sonso zaskakiwać może niski odsetek kanibalizmu. U szympanсів Kasakela – tych, do których należała Gilka i Passion – wszystkie zabite dzieci zostały zjedzone przez napastników. Jak wytłumaczyć te różnice? Być może biorą się one z odmiennych tradycji kulturowych, które narosły w obu grupach. Szympansy Kasakela są sprawnymi łowcami, zauważalną część ich diety stanowi białko zwierzęce. Szympansy Sonso odbywają polowania znacznie rzadziej i radzą sobie w nich o wiele gorzej. Może więc nie wyrobiły sobie jeszcze zamiłowania do mięsa – i przynajmniej u nich nie pojawiły się presje selekcyjne, które ukierunkowałyby ewolucję dzieciobójstwa zgodnie z drugą wspomnianą hipotezą.

Inna różnica dotyczy ogólnej dostępności pożywienia w obu grupach. Wprawdzie samice Sonso mają przeciętnie do dyspozycji znacznie mniejszy obszar niż samice Kasakela – a większe zagęszczenie samic powinno oznaczać zwiększoną konkurencję – jednak ta pierwsza grupa żyje na zasobniejszym terytorium. Jest ono w stanie wyżywić wszystkich, dlatego konkurencja wśród samic Sonso ostatecznie może być niższa niż u samic Kasakela. Nie muszą one tak często uciekać się do dzieciobójstwa, choć zebrane dane pokazują, że się to zdarza.

Trzeba pamiętać, że dobór (naturalny i płciowy) nie działa w próżni, lecz zawsze w kontekście aktualnego środowiska. Gdyby struktura społeczna i przestrzenność społeczności Sonso była inna – gdyby na jej terenie występowało mniej zasobów, w stadzie rozwinęła się „kultura łowiecka”, gdyby osobniki średnio żyły nieco dłużej, struktura płciowa populacji była całkowicie inna, a hierarchia społeczna bardziej niestabilna, to „bezwzględny księgowy” musiałby kalkulować inaczej. Mogłoby się okazać, że najbardziej adaptatywną (opłacalną) strategią byłoby atakowanie dzieci przez samice – albo zabijanie przez samców tylko noworodków płci męskiej.

Krótko mówiąc, natura małpy zależy od otaczającego ją środowiska. Pewnie nie tylko małpy, gdyby się nad tym poważnie zastanowić.

© © ŁUKASZ KWIATEK



Kazik Staszewski na festiwalu TOPtrendy w Sopocie, 2014 r.

GRAJEK, CHOĆ NIE PAPIEŻ

Kazik nadąża za rzeczywistością skuteczniej,
niż rzeczywistość nadąża za Kazikiem.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

LISTA PRZEBÓJÓW TRÓJKI ZAKOŃCZYŁA żywot. Ocenzurowana przez władze rozgłośni, straciła bezpowrotnie swój status. Poszło o piosenkę „Twój ból jest większy niż mój” Kazika Staszewskiego. Dla mnie całe to zamieszanie wokół Listy stało się przede wszystkim pretekstem, żeby wreszcie zrobić coś, na co od dawna miałem ochotę. Raz jeszcze prześłuchać całą dyskografię Kazika. Potraktować go poważnie. Tak, jak na to zasługuje.

Są dwa gatunki pisarzy. Ci, którzy starają się w pełni zapanować nad językiem, oraz ci, którzy pozwalają, by język panował nad nimi. Są wirtuozi, poeci czelujący każdy rym, doskonali rzemieślnicy, prawdziwie apollińscy, a naprzeciw nich twórcy mediumiczni, przez których przepływa duch epoki, opętując ich i przemawiając ich ustami. Kazik jest wzorcem z Sèvres artysty-medium.

Każde takie medium ma częstotliwość właściwą, na której rezonuje najlepiej. Słuch Kazika (rocznik 1963) najbardziej wyostrojony był w latach 90., gdy artysta bezbłędnie wyczuwał i wyrażał dynamikę społecznych zmian. Puls transformacji ustrojowej tętni w każdej z niezwykle różnych piosenek tamtej dekady. A była to dla Kazika dekada pracowita: sześć płyt Kultu, cztery albumy solowe jako Kazik i kolejne cztery z grupą Kazik na Żywo, do tego przedziwna yassowa kolaboracja „Rozmowy s catem”. Łącznie piętnaście krążków, obejmujących kilka bardzo różnych gatunków muzycznych.

W nowym stuleciu Kazik utrzymał podobną produktywność, jego dorobkiem płytowym można by wypełnić niemałą półkę. Żeby nie zgubić się w gąszczu tekstów, piosenek i splecionych przez Kazika figli, mam propozycję, żebyśmy wspólnie posłuchali jednej płyty (można to zrobić w jednym z popularnych serwisów streamingowych, można też na oficjalnym koncie S.P. Records na YouTube). Album „Muj wydafca” ukazał się w roku 1994, wcisnięty pomiędzy słynniejsze „Tatę Kazika” i „Tatę 2”. Na tym krążku znaleźć można wszystko, co potrzebne, by zrozumieć wokalistę i to, co się wokół niego dzieje w ostatnich dniach.

„Ręce do góry”

Minęły długie lata i nie ma już gościńca / W tym samym teraz miejscu przebiega wzdłuż ulica / I tylko zbójce dalej, ubrani doskonale / Czyhają na ofiarę by złupić

ją bezczelniej / Jak praca to i płaca, gdy idziesz po należne / A zbójce eleganccy pokazują cię palcem / Słyszysz – to nie przesada, tu z nami nie ma żartów / Nasz wódz po ciebie przysłał wyczyścić cię z zarobków

„Ręce do góry” zaczynają się od podporządkowanej galopującemu rytmowi przygrywki. Znakiem rozpoznawczym Kultu są zwykle przedłużane w nieskończoność, transowe wręcz instrumentalne wstępy, lecz tym razem dostajemy tylko osiem taktów i Kazik przechodzi do rzeczy. Jego oczyma oglądamy gościniec, powóz i kolejne rabowane postaci. Między zwrotki wpleciono grany na klawiszach, oparty na kwarcie sygnałowy motyw intrygująco podobny do tych, jakimi kompozytorzy różnych epok ubarwiali pieśni myśliwskie czy rozgrywane się w podróży.

Już pierwsza piosenka na płycie zdradza charakterystyczne *modus operandi* Kazika, który w swoich tekstach działa jak mądrość ludowa – za pomocą przysłów. Wychodzi zawsze od konkretnego, anegdoty, którą dopiero wtórnice przenosi na poziom ogólny. Nie mówi „państwo nas okrada”, lecz opisuje dokonujący się na gościńcu rabunek. Poprzez narrację doświadcza emocji – beznadziei i wściekłości zaprawionej sporą dawką humoru. To znany koktajl. W antropologii nazywa się go ludowym gniewem.

Uczucie to świetnie opisuje James C. Scott, autor klasycznych prac o kolonializmie i powstaniach chłopskich. Scott specjalizuje się w badaniach „ukrytych scenariuszy” – pełnych przemocy i obsceniczności fantazji o zemście i redystrybucji. W sfeudalizowanym społeczeństwie cały system kultury jest stworzony po to, żeby ukrywać i normalizować wyzysk. Oficjalny język stoi na straży porządku. Za jego pomocą silni wprzęgają słabych w kierat, ograbiając ich z owoców pracy. Dlatego szyderstwo, obrazoburstwo czy „psucie” języka są tak ważnymi narzędziami partyzanckiego oporu słabych przeciw silnym.

Praca – kradzież – nierównowaga – szyderstwo. Opisany przez Scotta przepis na ukryte scenariusze o zemście odnajdziemy u Kazika wielokrotnie. Obok piosenki „Ręce do góry” doskonałym tego wyrazem jest „Jeszcze Polska” – wydana trzy lata wcześniej melorecytacja, której tekst bardzo kontrastuje z ascetycznym, pogodnym bitem.

Dziennikarze i politycy (z Donaldem Tuskiem włącznie) chętnie ostatnio cytowali jej najśłynniejszy wers („Goście, skurwysyny, uczynili z tą krainą?”), ale nie jest to wcale fragment najlepszy ani najmocniejszy. Bo zgodnie z przedstawioną wyżej zasadą ta piosenka składa się nie z pustych oskarżeń, ale z ciągu obserwacji. „Przedsiębiorcy się bogacą, ale coraz brudniej w kiblach”, „Te kobiety umęczone, kiedy noc na niebie świeci / Stoją jeszcze na swych nogach, piorą rzeczy swoich dzieci” i najlepsza z nich: „Starszy człowiek w barze mlecznym je kartofle z ogórkami / Całe życie tyrał w hucie, a do huty dokładali / Cała jego ciężka praca, wszystko było chuja warte / Gdyby leżał całe życie, mniejszą czyniłby on stratę”.

Słyszałem tę historię setki razy w wywiadach z byłymi górnikami i pracownikami zlikwidowanych fabryk. W tych opowieściach zawsze najważniejsze były dla mnie kartofle z ogórkami – to, że transformacja ma swój codzienny, nieideologiczny wymiar. Kazik tym kartoflom oddaje sprawiedliwość. Opisuje to, co widzą wszyscy, ale nie każdy chce zauważyć.

Wymowy utworu dopełnia genialny teledysk – niezwykle dokument epoki nagrany przez Yacha Paszkiewicza na targowisku na gdańskiej Zaspie. Kazik w burej kurtce i czerwonej czapce przedziera się przez tłum kupujących i sprzedających. „O czym chciał powiedzieć pisarz? – pyta pani od polskiego / Chciał pokazać nierówności kapitalizmu wczesnego”.

Kazik opowiada o tym, jak wiele się zmienia. I o tym, że zwykle zmienia się po to, by wszystko zostało po staremu. Wracając na płytę „Muj wydafca” – zbójce grasują jak dawniej, tyle że ubrani doskonale.

„Keszitsen kepet onmagarol” oraz „Onyx”

Głosuj na mnie, wtedy dostaniesz / Prawie za darmo każde śniadanie / Człowiek na odpowiednim miejscu / Powiedzie ciębie ku szczęściu / Tak dalej być nie musi / Zamknąć granice przed braćmi z Rusi / A niech bogacze oddadzą pałace / Milion nowych miejsc pracy / Czy wierzysz w słowa te? / Ja nie wierzę w nie! / Czyż one prawdziwe są? / Nie wierzę im kurwom jak psom!

Przeskakuję drugą piosenkę, „Lewe, lewe, loff”, choć pięknie pokazuje, że Kazik tę samą technikę, którą pisze o gniewie, →

→ potrafi zastosować też do śpiewania o miłości. Tytuł kolejnej piosenki z płyty „Muj wydafca” znaczący po węgiersku „zrób sobie zdjęcie”. To napis, który członkowie zespołu wypatrzili gdzieś podczas zagranicznego *tournee*. Jaki to ma sens? Nie ma sensu. I o to chodzi.

Kazik stosował ten chwyt wielokrotnie. W „Pierdolę pera” jest fragment brazylijskiej reklamy, w „Poligono industrial” – teksty z hiszpańskich tablic informacyjnych. To znaki wyobcowania z tła, które stało się bełkotem. Cała piosenka poświęcona jest właśnie bełkotowi, którym okazuje się przy bliższej analizie język propagandy. To język silnych, który jest narzędziem okradania słabych na gościńcu, ale też zwodzenia ich, uwodzenia i nastawiania przeciw sobie...

„Onyx” przypomina z kolei, jak łatwo religia staje się narzędziem propagandy i to tej najgorszej, prowadzącej do nienawiści i przemocy. Język panujących (znowu James C. Scott) powstrzymując rewolucję, staje się zarazem katalizatorem rozproszonej agresji skierowanej przeciw kozłom ofiarnym.

Mając w pamięci te piosenki, łatwiej zrozumieć, co stało się dwa lata przed premierą „Mojego wydafcy” podczas festiwalu w Sopocie. W amfiteatrze jest ciepły wieczór. Przed telewizorami miliony widzów. Kazik w kąpielówkach i koszulce Kultu wychodzi na scenę, by zaśpiewać wspomniane już „Coście, skurwysyny, uczynili z tą krainą”, na deser dodając jeszcze „Wałęsa, dawaj moje 100 000 000”. „Gdzie mieszkałem w tej ulicy / sto lat świetlnych od stolicy” – wrzeszczy do mikrofonu. Trudno o lepszy portret Polski oszukanej na transformacji, o której do dziś wolelibyśmy zapomnieć, kierując uwagę raczej na miejsca, gdzie się udało.

W kontekście bieżących wydarzeń niezwykle pouczające jest to, co wydarzyło się następnego dnia. Oto bowiem w wieczornych „Wiadomościach” sam prezydent wyjaśniał Kazikowi, jak powinien śpiewać: „Śpiewa piosenkarz »Wałęsa, dawaj moje sto milionów«. Ja chciałem dać, chcę, tylko że oni mi nie pozwalają. Ja nie mogę, bo ja nie mam mocy wykonawczej. Ale to niech ten piosenkarz, który uważa, że on jest inteligentniejszy, to niech pomyśli, że to nie ja, tylko niech on ostatnią zwrotkę zaśpiewa: »pomóżmy Wałęsie zrealizować to, pomóżmy Wałęsie lepiej to zrobić, mądrzej«. To jest

wprost niezbyt mądre, ale w samym założeniu mądre”.

Odpowiedź Kazika? Na kolejnej płycie znalazło się „300 000 000”, gdzie refren o Wałęsie okraszono kilkoma nowymi mocnymi wersami. Ale to jeszcze nie koniec pouczającej historii. Kilka lat później Andrzej Lepper, wyraziciel innych form ludowego gniewu, pożyczył sobie bezprawnie „100 000 000” na potrzeby kampanii. Szybko dowiedział się, że Kazik nie lubi, gdy ktoś bez pytania rusza jego rzeczy. „Zabrałeś, nie pytałeś, jak nazwać, co zrobiłeś? / Czuję się pokrzywdzony tym, co mi uczyniłeś / Gdybyś się zapytał, to i tak bym się nie zgodził / Moja bajka zupełnie innymi drogami chodzi”, a w refrenie... Tego już trzeba posłuchać. Piosenka „Pierdolę pera” z płyty „Las Maquinas de la Muerte”.

Minęły kolejne dwie dekady. Kiedy dziś słyszę Joachima Brudzińskiego, Piotra Glińskiego, a nawet samego Mateusza Morawieckiego na wyścigi tłumaczących Kazikowi, jak powstają jego teksty, kiedy Jacek Karnowski zarzuca piosenkarzowi, że „Smoleńska nie ośpiewał”, natychmiast przychodzą mi na myśl Wałęsa i Lepper. Politycy chyba nie potrafią uczyć się na błędach. Oj, bo jeszcze się, Panowie, doczekacie, że Kazik i Smoleńsk, i was ośpiewa!

„Pasażer” i „Historia pewnej miłości”

Opowiem wam jeszcze jedną z życia historię / Na tym brudnym podwórku w bramie kiedyś stał człowiek / Był starszy ode mnie o jakieś cztery lata / Umarł, zanim pomoc nadszła / Miał córkę. Zostawił ją samą / W mieszkaniu na parterze ale z kiblem na zewnątrz

Tymczasem na „Moim wydafcy” przeskakujemy nieco, by wysłuchać dwóch utworów pokazujących, jak dobrym interpretatorem jest Kazik. Droga, która na tej płycie rozpoczęła się „Pasażerem” Iggy’ego Popa i coverem węgierskiej „Dziewczyny o perłowych włosach”, w kolejnej dekadzie zaowocowała płytami z piosenkami Bertolta Brechta i Kurta Weilla, Toma Waitsa, a także mniej popularnym albumem z piosenkami Silnej Grupy pod Wezwaniem. Zresztą Staszewski już wcześniej, jako wykonawca piosenek swojego ojca, pokazał, że doskonale czuje się, wcielając w rolę i interpretując cudzy materiał tekstowy.

„Historia pewnej miłości” łączy wszystkie poruszane dotychczas wątki. Tu także Kazik, choć jest autorem tekstu, wciela się wyraźnie w rolę. Śpiewa nie on, lecz starannie stworzona persona barda-menela, do której będzie powracał jeszcze wielokrotnie, w tym w utworze, który przysporzył ostatnio tyle zmartwień dyrekcji Programu Trzeciego Polskiego Radia.

Kazik nowoczesnymi środkami odtworza gatunek ballady dziadowskiej – dawny ludowy odpowiednik kronik kryminalnych, niestroniący od przemocy i brzydoty. Znowu mamy ucho trzymane nisko przy ziemi, znowu o emocjach opowiada się w sposób narracyjny, zahaczający wręcz o behawioryzm. Bohaterowie działają, a nie przeżywają. Jak przypominają antropologowie wykluczenia i buntu: gdzie odebrany zostaje język, pozostaje naga, biologiczna prawda egzystencji.

Poprzez balladę dziadowską Kazik sięga aż do Mickiewicza. Literacko i kompozycyjnie to intrygująca piosenka. Tym piękniejsza, im brzydszy jest przedstawiony w niej świat i opisujący go, rozkładający się język. Turpizm Kazika zafascynowanego obszczanymi i zarzyganymi podwórkami jest w jakiś sposób wyrozumiały. Wokalista Kultu nie przyjmuje pozycji wyższościowej. Mówi o brzydocie, lokując się po stronie brzydoty, a nie przeciw niej. Potwierdza to konwencja okładki i teledysków eksponujących chętnie niepochlebne zbliżenia twarzy uwyrażniające wszelkie biologiczne detale.

„Muj wydafca”, „Kulcikiru”

Lat parę już minęło, jak się wszystko zaczęło / Jedni przyszli i poszli, ale paru zostało / Tak widać na tym świecie jeszcze ciągle dojrzewasz / I w miarę jak dojrzewasz, przyjaciół dobierasz / To, co myśłę o świecie, nie musi być typowe / Lecz ważne by rozumieć się, gdy padną pierwsze słowa / Gdy źle napiszesz słowo, to szybko potem wróć / Ale ważne jest, by między sobą dobrze się czuć

Ledwie wybrzmiały ostatnie takty zamykające przerażającą klamrą balladę o samotnej dziewczynie w zrujnowanej kamienicy, z głośników płynie ostry gitarowy riff. Dwa kolejne utwory to insajderskie żarty o branży muzycznej. Tego rodzaju piosenki co kilka lat powracają w repertuarze Kazika. Lider Kultu swobodnie mówi o tym, że granie sprawia mu przyjemność, ale też o tym, że to jego

praca, a on nie lubi, gdy się go okrada. Kazik nieustannie przetwarza własną historię, aktywnie tworząc swoją legendę. Śpiewa i mówi o nagrodach, festiwalach i kontraktach z wytwórniami. A jest o czym opowiadać. Jak wiedzą wszyscy fani (i jak pouczają ostatnie wydawnictwa), gdzie zjawia się Kazik, tam będzie się działo. „Gdy źle napiszesz słowo, to szybko potem wróć”. Mało który wers tak bardzo kojarzy mi się z Kazikiem, znanym nie tylko z zadym, ale też z autorefleksji.

W latach 90. pasją Kazika była walka z piractwem. Na wkładce do „Las Maquinas de la Muerte” można było przeczytać: „Bez tej płyty z głodu nie umrzesz. Jeśli tak bardzo kochasz naszą muzykę, że musisz ją kupić od tego, który nam ją ukradł – to wybacz, ale nie chcemy, byś jej słuchał. Kto kupuje płyty od złodzieja, jest kutasem i niech spierdala – po dwakroć!”. Powtarzał to wielokrotnie, zawsze dbając o nowe soczyste parafrazy.

Tyle że gdy wielka dekada Kazika dobiegła końca, piratów sprzedających nielegalne kopie kaset i płyt z koców lub wielkich ceratowych toreb pokonała nie kruczata wzburzonych artystów, lecz internet. Dla dużej części jego użytkowników pobieranie plików mp3 było czymś normalnym. Ale Kazik zdania nie zmienił. Skrupulatnie wyliczał swoją stratę z tytułu nielegalnego kopiowania i rzucił mięsem, gdy album „Hurra” wyciekł do sieci jeszcze przed premierą. Wielu młodych odbiorców to ubawiło. W internecie zawsze bardziej ceniło się wolność niż prawa autorskie. Powstała strona „Strata Kazika”, gdzie dowcipnie dzielili się informacjami o skopiowanych albumach, pompując licznik strat wokalisty do astronomicznych, wielomiliardowych kwot. Długo wydawało się, że Kazik nie odnajdzie się w nowych realiach, gdzie internet stopniowo stawał się najważniejszą sceną.

Ale Kazik jest nie tylko uparty. Kiedy potrzeba, potrafi też korygować kurs. Na przykład jego znajomość z Kwartetem ProForma zaczęła się od tego, że – jak to Kazik – usłyszawszy, jak grają utwory jego ojca, postanowił zrobić awanturę. Sam Kazik wspomina, że groził kolegom po fachu pozwem. Muzycy Kwartetu ProForma prostują, że napisał po prostu maila, że wypadłoby najpierw spytać. I sprawa zamiast w sądzie skończyła się w studiu i na scenie. Nagrali wspólnie dwa albumy, w tym „Tata Kazika kon-

Kazik odtwarza gatunek ballady dziadowskiej.

Ludowy odpowiednik kronik kryminalnych niestroniący od przemocy i brzydoty.

tra Hedora” (którego tytuł jest kolejnym wielopiętrowym, autotematycznym żartem – świetną ilustracją tego, o czym tu mowa).

Uczy się więc – rzecz rzadka w branży – na błędach. Na błędach nie uczą się natomiast ci, którzy Kazika chcieliby zaprząć do swojego kołowrotu. Wspomniana wcześniej historia o stu milionach Wałęsy to świetny kazus. Dlaczego tak nieobliczalnemu artyście pozwolono wystąpić na żywo i zaskoczyć wszystkich tak kontrowersyjnymi tekstami? Otóż było to następstwo numeru, jaki Kazik wykreślił dokładnie rok wcześniej. Przyjąwszy zaproszenie na festiwal w Sopocie w roku 1991, dowiedział się, że teraz jest już nowocześnie i profesjonalnie, więc wszyscy muszą grać z playbacku. Ten pomysł, delikatnie rzecz ujmując, nie przypadł Kazikowi do gustu, więc w dniu występu miliony widzów zobaczyły, jak muzyk, zamiast do mikrofonu, śpiewa do wielkiej, żółtej suszarki do włosów.

Historia Kazika to opowieść o losach polskiej sceny przez ostatnie trzy dekady. Towarzyszył rozpadowi PRL-owskiej maszyny muzycznej (komentuje to m.in. w „Z archiwum polskiego jazzu”). Potem obserwował profesjonalizację i komercjalizację rocka, walkę artystów o niezależność i udział w zyskach. Towarzyszył też muzyce wkraczającej do internetu, który tworzył nie tylko nowe formy okradania artystów i zarabiania na muzyce, lecz także nowe reguły bezpośredniej komunikacji z fanami („Forum internetowe” z płyty „Salon Recreativo”).

Kiedy dziś widzę, jak kręci się licznik wyświetleń na YouTube przy „Twój ból jest lepszy niż mój”, myślę sobie: ależ się zmieniło! Teraz liczba darmowych odsłuchań w internecie jest ostateczną miarą sukcesu artysty. Właśnie wypuścił nowy teledysk naśladujący facebookową relację *live* (a może patostreaming?), z widocz-

nymi na ekranie nienawistnymi komentarzami. Kazik nadąża za rzeczywistością skuteczniej, niż rzeczywistość nadąża za Kazikiem.

„Bliskie spotkanie 3. stopnia”

Mam dwie ręce i nogi dwie / Jedną głowę posiadam też / Wychyliłem się na trzy ćwierci / Aby zobaczyć, czy coś z daleka leci / Leciał z góry świetlisty wóz / Pomyślałem, że to koniec mój już / Chciałem uciekać, lecz w miejscu stałem / A to ty wyłądownaleś

To moja ulubiona piosenka Kultu. Podmiot liryczny, czy raczej narrator, bo to jednak forma mocno epicka, stoi sobie na rozstajnych drogach, gdy nagle w pobliżu ląduje kosmita. Ten, który ma „dwie ręce i nogi dwie / jedną głowę posiada też”, staje teraz naprzeciw tego, który ma „trzy ręce i nogi cztery / jedną głowę, ale par oczu wiele”. Przyjrzeni się sobie uważnie, przybysz pokazał ręką na niebo w uniwersalnym geście. Okazało się, że dzieli ich mniej, niżby się mogło wydawać. Kazik zaczyna opowiadać kosmicie o świecie, w którym żyje. Zaczyna oczywiście od detali.

„Jeśli jeszcze nie wiesz, o co tu chodzi / Spróbuję ci pomóc poszukać odpowiedzi” – śpiewa Kazik w towarzystwie zapętlonego jazzowego pianina i charakterystycznych dęciaków, akcentujących początek każdego taktu niczym w big bandzie z lat 30. „Nie złość się, bo to nie powód do złości / Obejrzymy dziś razem wieczorne wiadomości / Pytasz, czemu jeden do drugiego strzela / To właśnie się bogaci producent miecza”.

To, co przyjmujemy za oczywiste, czemu codziennie przyglądamy się w wieczornych wiadomościach, jest produktem systemu władzy. Państwa, granice, religie, nienawiść, odwieczni wrogowie i nowe konflikty, wszystko to służy tylko ukrywaniu wyzysku. Koniec. Streszczenie książki Scotta i twórczości Kazika.

„Krutkie kazanie na temat jazdy na maxa”

W przeciwieństwie do wielu moich rówieśników nigdy nie wyparłem się Kazika. Nie po drodze mi z wieloma jego wyborami – fryzjerskimi, lekturowymi i ideologicznymi. Wizja państwa jako zbrojcy jest mi kompletnie obca, ale dzięki jego twórczości lepiej rozumiem →

→ emocje, które odczuwa znaczna część rodaków. Dlatego właśnie rozliczam go nie z tego, co mówi w wywiadach, ale z tego, jak śpiewa. „Ja coś mówię, ale w swoje tłumaczenia nie wierzę / Jestem tylko grajkim, a nie papieżem” – ostatnie słowa mojej ulubionej piosenki to najlepsze podsumowanie statusu, który Kazik sam sobie nadaje.

Dlatego robienie z Kazika barda odrodzonego KOD-u to oczywiste nieporozumienie. Zresztą jego wypowiedzi i działania jednoznacznie pokazują, że nie jest zainteresowany taką ścieżką kariery. Równie nieuzasadnione jest przypisywanie Kazikowi gęby poplecznika PiS. Wypomina mu się często w tym kontekście rozmowę z Robertem Mazurkiem sprzed kilku lat, gdzie Kazik m.in. chwalił 500 plus czy namawiał, by dać PiS szansę zrobienia porządku z sądownictwem. Uważa lektura tego wywiadu pokazuje, że Kazik nie tyle zapisał się do klubu sympatyków PiS, ile w ogóle odmawia zaangażowania w międzypartyjny spór.

„Nie należę do mafii, nie należę do sekty” – jak śpiewał w piosence „Prosto”. „Chciałbym być normalnym obywatelem Polski bez konieczności opowiadania się po którejś ze stron. A rząd jako taki zawsze będzie dla mnie złem” – wyjaśniał w niedawnym wywiadzie dla TVN24.

Wydaje się więc, że ambicją Kazika nigdy nie będzie radio bez PiS. Jeżeli już, to raczej radio bez polityków w ogóle. Z punktu widzenia filozofii świata Kazika (a także tej opisywanej przez Jamesa C. Scotta) próba wykorzystania artysty do walki z cenzurą może bardzo łatwo stać się odbiciem tej cenzury. Działając z pozycji władzy, choćby w dobrej wierze, łatwo stać się rabującym na gościńcu. A władza to nie tylko rząd oficjalny. Z perspektywy słabego walki między silnymi prowadzi tylko do skuteczniejszego grabienia słabych.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Zbójceki język

GRZEGORZ JANKOWICZ

Robert Walser uważał, że schlebienie gustom odbiorców jest najgorszym grzechem, jaki może popełnić artysta.

W JEDNYM Z OPOWIADĄŃ WALSERA bohater zasypywany jest pytaniami o nową powieść. Wszyscy spodziewają się, że wreszcie ją opublikuje, sam to zapowiedział. Bez wielkiej powieści z pokrzepiającym przesłaniem nigdy nie zasłuży przecież na miano wybitnego twórcy. Bohater najpierw obficie się tłumaczy, ostatecznie jednak postanawia dać drapaka: „położyłem kres tej męczącej, nieznośnej sytuacji, pewnego dnia mianowicie poniekąd ulatniając się i wyjeżdżając” (przeł. Małgorzata Łukasiewicz).

Sam Robert Walser nie zawsze się ulatniał. W 1917 r. wydał niewielki zbiór opowiadań zatytułowany „Życie poety”. Niektóre z pomieszczonych w nim utworów nawiązywały do losów samego autora. Była w nich mowa o relacjach z najbliższymi (pisarz urodził się w szwajcarskim Biel w 1878 r.; miał pięciu braci i dwie siostry), o szkole (uważał ją za instytucję tłamszącą naszą energię życiową), o łazikowaniu (uwielał przechadzek i literaturę pikarejską), o pierwszych próbach literackich (początki jego twórczości obfitowały w skromne sukcesy, ale z czasem relacje z wydawcami i redaktorami pism bardzo się popsuły), o wojsku (był pacyfistą i podczas wojny robił wszystko, by uniknąć walki), wreszcie o kolejnych posadach (zmieniał je w niewiarygodnym tempie, imając się najprzeróżniejszych zajęć: od kopisty, przez urzędnika bankowego, aż po lokaja).

Książka przynosi obraz artysty, dla którego materiałem jest nie tylko język, ale też życie. Świadomie kształtuje swój wizerunek, ustawiając się w kontrze do społeczeństwa. Jest w ciągłym ruchu, by nikt nie mógł go przyszpilić, by nikomu nie udało się przypisać mu na stałe określonej roli. Tworzyć może tylko wtedy, gdy pozostaje wolny od wszelkich zobowiązań. Jedyną instancją, przed którą opowiada, jest literatura.

Prócz zbiorów opowiadań i felietonów, a także tomików wierszy, Walser napisał dziewięć powieści, z których za jego życia wydano trzy. Resztę rzekomo zniszczył. Piszę „rzekomo”, gdyż pytany o to później, odpowiadał bez przekonania, zasłaniając się niepamięcią. Po jego śmierci (zmarł w Boże Narodzenie 1956 r. podczas spaceru) w pozostawionych przezeń papierach odkryto manuskrypt jednej z tych pięciu spisanych na straty powieści. Ukazała się dopiero w 1972 r. pod tytułem „Zbój”.

Najszybszy pisarz świata ma kłopoty

Trzeba było na nią tak długo czekać z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że na długie dziesięciolecia Walser popadł w zapomnienie.

W jego biografii można wyróżnić cztery ważne okresy. Pierwszy obejmuje lata 1905-13, które spędził w Berlinie. Był to czas najintensywniejszej aktywności literackiej i zarazem największych sukcesów wydawniczych. Współpraca z oficyną Bruno Cassirera nigdy nie układała się harmonijnie, jednak zaowocowała publikacją kilku książek. Drugi okres to lata 1913-21. Pisarz spędził je w rodzinnym Biel, do którego powrócił z poczuciem porażki. Nadal pisał bardzo dużo, ale były to przede wszystkim krótkie teksty – opowiadania i felietony – które ukazywały się najpierw w prasie, a następnie w książkach. Trzeci okres przypada na lata 1921-29. Walser przeniósł się wtedy do Berna i właśnie tam w 1925 r. napisał „Zbója”.

Jego sytuacja materialna stawała się coraz gorsza. Nie mając stałej posady, publikując coraz mniej, walczył z nasilającą się depresją. W 1929 r. za namową siostry zgłosił się do kliniki psychiatrycznej w Waldau. Był to początek ostatniego – najdłuższego – etapu jego życia. Po trzech latach, wbrew swej woli, został przeniesiony do ośrodka opie-



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia
Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

kuńczego w miejscowości Herisau, gdzie przebywał do śmierci.

Jeśli w Walldau wciąż jeszcze tworzył, to w Herisau najprawdopodobniej porzucił wszelkie zajęcia literackie. Od 1936 r. dwa, trzy razy w roku odwiedzał go Carl Seelig, szwajcarski pisarz i wydawca. Wielokrotnie pytał Walsera o jego pisarstwo, ten jednak konsekwentnie powtarzał, że w Herisau jest po to, by chorować, a nie po to, by zajmować się literaturą. Co prawda pensjonariusze przytułku twierdzili, że widywali go notującego coś na skrawkach papieru, ale nikt nie odnalazł tych zapisków. Przez długi czas Seelig był jedynym – na dodatek chimerycznym – promotorem Walsera. Przejął jego spuściznę i zabezpieczył ją, jednak niechętnie dopuszczał do niej badaczy.

To nie wszystko. „Zbój” ukazał się tak późno również dlatego, że zawierający go manuskrypt był trudny do odcyfrowania. Seelig znalazł w prywatnym archiwum pisarza 526 kartek, zazwyczaj niewielkich rozmiarów, powstałych jeszcze przed przenosinami do Herisau. Były to bilety wizytowe, kawałki gazet, koperty i opakowań. Wszystkie pokryte drobnym maczkiem. Wydawca uznał, że to wynaleziony przez Walsera szyfr, dowód jego choroby psychicznej. Na szczęście postanowił kilka karteczek zaprezentować na łamach czasopisma „Du” w postaci powiększonych faksymiliów. Jochen Greven, podówczas doktorant, później redaktor pism Walsera, zdołał odcyfrować zreprodukowany tekst. Okazało się, że został zapisany za pomocą uproszczonego alfabetu, którym na obszarze niemieckojęzycznym posługiwano się od średniowiecza do XX w.

Litery, nanoszone przez Walsera za pomocą ołówka, miały od jednego do dwóch milimetrów wysokości. Odcyfrowanie wszystkich materiałów zajęło przeszło dekadę. Dokonali tego Bernhard Echte i nieżyjący już Werner Morlang, który przed laty gościł na Festiwalu Conrada. „Zbój” zajmował 24 strony większego formatu.

Dlaczego Walser pozostawił niektóre ze swych tekstów w takiej postaci? W liście do szwajcarskiego pisarza i tłumacza Maksa Rychnera z 1927 r. wyjaśniał, że w pewnym momencie pisanie piórem zaczęło go męczyć. Wcześniej słynął z niegananej kaligrafii, dzięki czemu różne urzędy zatrudniały go w roli kopisty. Jednak doświadczył blokady pisarskiej,

*Nastoletni Robert Walser
w Zurychu,
ostatnia dekada
XIX w.*

którą nazwał „skurczem ręki”.

Tekst zanotowany piórem jawił mu się jako skończony, a skończoność ta wywoływała w nim popłoch. Obawiał się, że ktoś zapozna się z jego dziełem w postaci, której on sam nie uznał za doskonałą.

Od blokady wywołanej przez to poczucie zdołał się uwolnić dopiero wtedy, gdy zaczął pisać ołówkiem. Tłumaczył Rychnerowi, że wydłużyło to proces twórczy. W okresie berlińskim uchodził za najszybszego pisarza świata. Zdania wylewały się z niego strumieniami, dzięki czemu sporych rozmiarów powieść mógł stworzyć w ciągu kilku tygodni. Od 1917 r. wszystko najpierw notował ołówkiem, a dopiero później wybrane kawałki przepisywał na czysto i wysyłał do druku.

Paradoksalnie, im dłużej trwał proces twórczy, tym większą swobodę ➔



→ czuł Walser, co miało wpływ na formę jego tekstów. Eksperymentował w najlepsze. Zaczynał od pojedynczego słowa lub zdania, za pomocą którego próbował uchwycić pewne wrażenie, na przykład sposób, w jaki promienie słońca padają na liście drzewa, a następnie, gnając za skojarzeniami, zmierzał w nieprzewidywalną stronę.

Wydawcy i redaktorzy pism, przerażeni tą absolutną swobodą, zaczęli odmownie odpowiadać na jego propozycje. Jeden z nich przesłał pisarzowi listy od czytelników, którzy grozili rezygnacją z prenumeraty, jeśli redakcja nie przestanie drukować tych „nonsensownych wypocin”. Walter Benjamin napisał, że każde ze zdań Walsera ma tylko jeden cel: sprawić, abyśmy zapomnieli o poprzednim. Tego ani redaktorzy, ani czytelnicy nie byli w stanie znieść.

Pisarz nie poddawał się jednak i nie schodził z obranej drogi. W liście do Maksa Broda, który pod koniec lat 20. wciąż był gotów publikować jego teksty, wyznał, że lepiej się „chełpić niż płaszczyć”. Czy kiedykolwiek na poważnie myślał o wydaniu „Zbójca”? Nie wiem. Niektórzy krytycy twierdzą, że w miesiącach poprzedzających pisanie mógł fantazjować o wielkim powrocie, który umożliwiłaby mu powieść psychologiczna poruszająca ważne kwestie związane z nowoczesnym życiem, ale po napisaniu kilku pierwszych stron musiał dojść do wniosku, że znów go poniosło.

Zbój o smętnym obliczu

„Edith go kocha. Więcej o tym potem”. Tak zaczyna się ta osobliwa opowiadka, której nie można nawet z czystym sumieniem nazwać powieścią, gdyż jest całkowicie rozwichrzona formalnie. Jednak czytelnik nic jeszcze o tym nie wie, myśli więc sobie tak: w porządku, mam zatem do czynienia z historią miłosną, a szczególności związane z uczuciem żywionym przez Edith narrator przedstawi mi za chwilę. Ten ostatni rzeczywiście podejmuje temat miłości, ale robi to dopiero wtedy, gdy zapomnimy, na co czekaliśmy. Będzie obiecywał, zwodził, kluczył i wykonywał spektakularne językowe pikuety, przekonując od czasu do czasu, że naprawdę musi tak postępować.

Gdyby snuł opowieść w inny – bardziej uporządkowany – sposób, nikt nie zechciałby za nim podążać. Jest to perfidna zmyłka. Czy jeśli po kilku stronach mam

Walter Benjamin napisał,
że każde ze zdań Walsera
ma tylko jeden cel:
sprawić, abyśmy zapomnieli
o poprzednim.

**Tego ani redaktorzy,
ani czytelnicy nie byli
w stanie znieść.**

dość, to znaczy, że lubię nudną literaturę? Czy powinienem brnąć w ten tekstowy labirynt, którego twórca pozostawił tak wiele znaków, że zaczynają mi się mienić w oczach? No cóż, każdy odpowiada za siebie. Ja nie dałem tak łatwo za wygraną.

Z lektury całości można wyciągnąć następujące wnioski. Historię opowiada bezimienny narrator, który przedstawia się nam jako pisarz. Bohaterem jest tytułowy zbój, również bezimienny, nazywany poetą. Łączy ich dziwna relacja. W niektórych fragmentach narrator prezentuje bohatera jako swojego podopiecznego i zapewnia, że ma nad nim kontrolę, co jest ważne, gdyż zbój źle się prowadzi i przez lokalną społeczność uznawany jest za łotrzyka. Jednak gdzie indziej daje nam do zrozumienia, że to on jest zbrojcem, a przynajmniej że postępuje równie nieciekawie jak tamten.

Na czym ta niecnota polega? Otóż główny bohater spędza czas na włóczędztwie i psotach. Nikt nie może go rozgryźć. „Lokalna społeczność” to mieszkańcy Berna, do którego zbój przybył przed kilkoma laty. Był wtedy w złym stanie psychicznym: dręczył go niepokój, słyszał jakieś głosy i wydawało mu się, że jego życie dobiegło końca. Ale podreperował zdrowie, odzyskał siły i zaczął się panoszyć po okolicy. Raz prowokuje i dokucza, innym razem nie reaguje na zaczepki i udaje, że nie słyszy kierowanych pod jego adresem uwag czy prośb. Jest kochliwy, wciąż uganiania się za kobietami, ale kochliwość ta przejawia się niemal wyłącznie pod postacią efektownych wyznań.

Z rzucanych przez narratora przy tej czy innej okazji półślówek możemy się domyślić, że ma fantazje homoerotyczne, nie sposób jednak dociec, czy je realizuje. Odczuwa radość, usługując innym, choć

robi to tylko pod warunkiem, że nie jest traktowany z góry. Gdy bowiem ktoś próbuje do czegoś go przymusić, natychmiast się buntuje. Jeśli chodzi o twórczość literacką, to postępuje jak rabus (w ten sposób można alternatywnie przełożyć oryginalny tytuł książki: „Der Räuber”), gdyż podkrađa zdania wypowiedziane przez innych i wydarzenia, w których nie brał udziału, zawłaszcza też wrażenia, a potem włącza je do swych utworów.

Jego bardziej urojona niż realna relacja z Edith kończy się tragicomicznie: dziewczyna rani go z pistoletu podczas publicznego wystąpienia, które zostało przezeń zamierzone jako wielkie wyznanie miłości. Na końcu nie ma zatem uwznioślającej śmierci. Edith zabija zbrojca „tylko trochę”, by rozładować napięcie, które wzbudziło w przedstawicielach lokalnej społeczności.

Doprawdy można się pogubić w tym gąszczu wątków, w tej labiryntowej formie narracji, w tym skrzącym się znaczeniami języku, ale Walser doskonale wiedział, co robi. Niektórzy krytycy uznali w 1972 r. jego utwór za objaw rozwijającej się schizofrenii (z taką diagnozą pisarz został przyjęty do zakładu w Waldau). Uważam, że to nietrafna opinia. Jak napisała Susan Bernofsky, amerykańska tłumaczka Walsera, szaleństwo jest jednym z tematów tej opowiadki, ale nie jest odpowiedzialne za jej formę.

Zbój to groteskowa wersja Karola Moora, postaci z młodzieńczego dramatu Schillera „Zbojcy” (1781). Sztuka opowiada o człowieku, który traci wszystko w wyniku rodzinnego spisku (zdrada go brat). Zdesperowany Karol wiedzie żywot banity z grupą tytułowych zbrojców. Próbuje zmienić obowiązujący porządek rzeczy, ale jego starania kończą się fiaskiem. Brat popełnia samobójstwo, ojciec umiera, dowiedziawszy się, jakie przewiny ma na swym koncie syn, narzeczona na własną prośbę ginie z jego ręki, gdy okazuje się, że Karol nie może porzucić bandy, ponieważ złożył przysięgę, a na końcu bohater oddaje się w ręce władz. U Schillera walka toczy się o wolność, którą odbiera nam niesprawiedliwa maszyna społeczna.

Walser uwielbiał dramat weimarskiego poety. Uważał, że jest utkany z „doskonałych kłamstw”, które leżą u podstaw najlepszej literatury. Jako piętnastolatek został sportretowany przez swojego brata, Karla Walsera, w stroju Moora. Po latach młodzieńcza fascynacja musiała

się pisarzowi wydać naiwna. Z żalem, bo z żalem, ale jednak uznał, że w nowoczesnym świecie nie ma miejsca ani dla takich postaci, ani dla takich opowieści. Walczącego o wolność rewolucjonistę zastąpił hultajem, wywrotowca zmienił w chuligana. Dlaczego jednak obsadził w tej roli pisarza? Bo czuł, że jego literacki temperament, jego postawa wobec świata są dla nowoczesnego społeczeństwa nazbyt ekscentryczne.

Ludzie, wśród których się poruszał, aż nadto wyraźnie dawali mu do zrozumienia, że ekstrawagancje są do przyjęcia tylko wtedy, gdy występują w niewielkich dawkach i w przeznaczonych do tego rewirach rzeczywistości. Ekscentryczność totalna odsyłana była do kliniki psychiatrycznej.

Bernhard Echte nazwał Walserowskiego bohatera „zbójem o smętnym obliczu”. Jak Don Kichot, który pod wpływem lektury romansów postanawia zostać rycerzem w nierycerskich czasach, stając się dla innych pośmiewiskiem, tak zbój próbuje żyć przeterminowaną formą życia, za co zostaje potępiony i wyszydzony, a nawet trochę zabity. W jednym z listów Franz Kafka porównuje Walsera do konia, który zamiast biec w wyścigu, zaczyna podskakiwać, zrzuca swojego jeźdźcę, a potem biega beżładnie. Ktoś taki, pisze Kafka, nie nadaje się za regularnymi skokami czasu, nigdy nie dogoni peletonu, włoży się tu i tam, oddając się aktywnościom uznawanym przez innych za bezwartościowe.

Walser marzył o dniu, w którym dzięki roztańczonej mowie wszyscy będą mogli swobodnie zmieniać tożsamość, spełniając się bez reszty w nieustannej metamorfozie. W 1925 r. postanowił się z tym marzeniem pożegnać. „Zbój” jest elegią napisaną na cześć zadumanej bezmyślności. Zadumanej, bo boleśnie przeświadczanej o tym, że nie ma już dla niej miejsca.

©© GRZEGORZ JANKOWICZ



Robert Walser
ZBÓJ
przeł. Małgorzata
Łukasiewicz, PIW,
Warszawa 2020



MACIEJ PLEWIŃSKI

W mieszkaniu w Krakowie, jesień 2019 r.

Uśmiech Jerzego Skąpskiego (1933–2020)

Jego witraże oglądać można od Zakopanego przez Warszawę i Białystok po Gdynię. Także w Krakowie: w bieńczyckiej Arce, w kaplicy Hospicjum św. Łazarza, w krowoderskim kościele św. Jadwigi Królowej.

JEDNE MONUMENTALNE, JAK W KOLEGIACIE w Jaworznie, inne niewielkie. Figuratywne i abstrakcyjne, zawsze jednak wprowadzające do wnętrza nową jakość, uwznioślające niekoniecznie ciekawą architekturę, światłem i barwą budujące klimat Tajemnicy. Wiele zrealizował wspólnie z pierwszą żoną, Marią Roga-Skąpską (1932–1984).

W „Tygodniku” na poczesnym miejscu wisi jego obraz z lat 60.: redaktorzy wokół okrągłego stolika w gabinecie Jerzego Turowicza. Jerzy Skąpski był wtedy jednym z nich – od 1962 r. pracował jako redaktor graficzny naszego pisma, a i później, gdy pochłonięły go kolejne kościelne zamówienia, odwiedzał Wiślną, choćby po to, by porozmawiać o tym, co dzieje się w kraju, czy narysować życzenia świąteczne dla Jana Pawła II. No i uśmiechał się – ten ciepły uśmiech tak świetnie uchwycony na zdjęciu Maćka Plewińskiego był jego cechą nieodłączną.

Urodził się w 1933 r. w Hebdowie, gdzie jego ojciec zarządzał majątkiem Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego, należącym wcześniej do skasowanego przez władze carskie opactwa norbertanów. Mieszkali w budynku poklasztornym, „kościół wrośnięty był

w dom dzieciństwa” – wspominał. Potem w 1945 r. przymusowa przeprowadzka do Krakowa, nauka w liceum Nowodworskiego, studia na Akademii Sztuk Pięknych, dyplom w pracowni drzeworytu u prof. Ludwika Gardowskiego i poznanie podstaw sztuki witrażu u prof. Adama Stalony-Dobrzańskiego. Przez kolejne lata Skąpski uprawiał zarówno grafikę (także książkową), jak i malarstwo oraz witraż, a Tadeusz Chrzanowski podkreślał jego „jednorodność twórczą, niezależną jakby od materii technicznej”. Plakat Skąpskiego „Każdy dzień Oświęcimia” (1974) trafił do zbiorów Muzeum Instytutu Yad Vashem.

„Artysta stawia nas wobec okna, poprzez które możemy spojrzeć na drugą stronę świata – pisał o witrażach Skąpskiego o. Jan Andrzej Kłoczowski. – Ukazuje świetlistość, cudowną barwność zaświatów (...) wskazuje drogę, zapraszając nas, abyśmy na nią weszli i odkryli to, co dla niego jest tak oczywiste i namacalne”. Może więc Jerzy Skąpski spotka w zaświatach swoich Tygodnikowych przyjaciół, którzy wcześniej spočeli na tynieckim cmentarzu, gdzie teraz i jego pożegnaliśmy. A nam zostanie jego uśmiech. ©© TOMASZ FIAŁKOWSKI

Przez białe plamy

BARBARA SADURSKA, PISARKA:

Teraźniejszość rzadko jest przypadkowa, ale jej przyczyn należy szukać głęboko. Wtedy rzeczy, które działy się sto lat temu, okazują się namacalne, wręcz kształtują nasze życie.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Podobno czas izolacji służy pisarzom.

BARBARA SADURSKA: Jeśli ktoś nosił się z zamiarem napisania powieści, to kiedy, jak nie teraz? Cieszy mnie to jako czytelniczkę, będzie co czytać. Ale pomijając całą potworność tej sytuacji – zagrożenie, chorobę, niepokojące doniesienia prasowe – podoba mi się obecne zwolnienie tempa, puste miasto, cały ten „online”.

Twoja książka ciągnie jednak w inną stronę, aż wyrwa się ku światu. Spotkałem się ze skrajnie różnymi opiniami, więc podsumuj – o czym właściwie są opowiadania z „Mapy”?

Powiem ci, co w niej zobaczyłam podczas ostatniej lektury, już po kolekcji, chcesz? Otóż gdy siedmioletni Adrian wchodzi do biblioteki ojca, nie ma w niej ani jednej książki. Są tylko mapy. Zresztą już wtedy przyszły kardynał nosi w sobie niechęć do literatury, niechęć, która będzie mu towarzyszyła przez całe życie. Z kolei bręcząca mucha w „Bezsensowności” sprawia, że cały uniwersytet, cały świat trzeszczy w posadach, a student w „Rzeźnickim synu” w momencie aresztowania zadaje ojcu pytanie: „Wiesz, o cośmy walczyli? O słowa. O wolność słowa. Uwierzyłyś?”. Jego słowa brzmią ironicznie. A może nie?

Inny bohater, mając do dyspozycji ostatnie dwanaście godzin, zaczyna opowiadać swoje życie, ale sam sobie nie wierzy. Podobnie jak funkcjonariusz SB u psychiatry. I antykwariusz, który pali w piecu książkami. Antykwariusz!

„Mapa” wyraża mój brak wiary w słowa, w sens pisanie, w znaczenie literatury. Ale nie musisz mi wierzyć na słowo.

Przez to wielotygodniowe zamknięcie samo słowo „mapa” budzi we mnie nostalgię za światem poza domem.

Mam tak samo, ale chyba nie jesteśmy pod tym względem wyjątkowi. Mapy od zawsze budziły silne emocje – od pożądania, przez zawiść, aż po trudno uchwytną tęsknotę.

Za czym?

Chyba za wolnością albo chociaż za jej obietnicą. To taki artefakt niezależności. Dawno temu pracowałam jako przewodnik w Bieszczadach. Nie lubiłam chodzić wytoczonym szlakiem, wołałam włóczyć się po bezdrożach.

Włóczęga i mapa nie wykluczają się?

Zależy jaka mapa. Istnieją takie, z którymi cudownie się włóczyć. Jest coś ekscytującego, niemalże metafizycznego w odszukiwaniu starych ścieżek, którymi nie tylko już nikt nie chodzi, ale które właściwie nie istnieją. Trzeba mocno wyteżać zmysły. Genialnie też chodzi się ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta, to zupełnie inna wędrówka. Wtedy właściwie nie potrzebowałam map – miałam je głęboko odcisnięte w pamięci, więc zawsze wiedziałam, gdzie jestem. Teraz chyba już bym tak nie potrafiła, stałam się mieszczuchem.

W epoce Google Maps papierowe mapy to właściwie fetysz.

Zgoda, chociaż ja nie mam duszy kolekcjonerki i starych map już się pozbyłam. Zresztą podobnie jak wielu innych przedmiotów – nie zbieram książek, nie archiwizuję notatek. Trudno jednak dziwić się tym, którzy mapy kolekcjonują, szczególnie te stare. To artefakty zaprojektowane, aby maksymalnie podniecać naszą wyobraźnię.

Przejdźmy na chwilę do mapy z Twojej książki – przynajmniej jednej z nich, tej fizycznie istniejącej.

Fra Mauro, niezrównany kartograf, ukończył ją pod koniec lat 50. XV wieku, około 1458 lub 1459 roku. Pomagał mu Andreas Bianco, żeglarz i nawigator, zesłany za karę przez możnego wuja do klasztoru kamedułów w Wenecji. Mapa została wykonana na najcieńszym pergaminie, jej fragmenty są malowane złotem. Ja jednak piszę nie o tej mapie, która została naprawdę wykonana i do dziś można ją podziwiać, ale o tej wyobrażonej, kopii potencjalnie możliwej. Przedmiotem pożądania nie jest prawdziwa mapa, lecz przekonanie, że ci dwaj musieli stworzyć coś jeszcze, że narysowali więcej niż jeden egzemplarz. Mapy w tamtym czasie były przecież bezcenne!

No właśnie. Mapy powstające u zarania nowożytności – choć piękne – miały przede wszystkim służyć podbojowi nowego świata.

Mapa to w ogóle dziwny przedmiot o podwójnej, metafizycznej naturze. Jako fizyczny obiekt jest przepiękna i budzi zachwyt, ale jednocześnie kształtuje nasz świat, narzuca nam ramy myślenia o nim. Podbijanie kolejnych lądów zaczynało się od naszkicowania linii brzegowej – to jednocześnie gest symboliczny, pokazanie „to moje”, ale też bardzo praktyczny, bo ułatwiający kolejnym statkom cumowanie, a więc dalszą kolonizację. Bez map Europejczycy na pewno nie porządkowaliby sobie tak łatwo Afryki i obu Ameryk. Większość krwawych historii w naszych dziejach zaczyna się od narysowania kilku kresek na mapie.

Mapa w Twojej książce przez stulecia wędruje z rąk do rąk, znacząc swoją obecność krwią. A zaczęło się od jagnięcych płodów, ze skór których jest wykonana.

Gdy czytałam historię powstania tej mapy, zwróciłam uwagę, że klasztor, w którym pracował Fra Mauro, zamówił o wiele więcej materiału, niż wymagałoby stworzenie nawet dwóch map o wymiarach 2 na 2 metry. Pergamin wykonany ze skóry jagnięt był bardzo drogim materiałem, wykorzystywano go wyłącznie w specjalnych celach – robiono z niego właśnie mapy, ale też święte księgi. Nic nie poradzę, że układa



BARBARA SADURSKA (ur. 1974) jest pisarką. Z wykształcenia prawniczka, specjalistka od prawa autorskiego, autorka książek i materiałów edukacyjnych dla dzieci. W 2019 r. nakładem wydawnictwa Nisza ukazał się jej literacki debiut „Mapa”, za który została nagrodzona w plebiscycie O!Łnieniu 2020. Mieszka w Krakowie.

się z tego pewna metafora naszej cywilizacji...

...zbudowanej na okrucieństwie wobec innych istot?

Te praktyki faktycznie były bardzo brutalne, ale znowu nie różniły się aż tak bardzo od tego, jak dziś funkcjonują ubojnie. Cierpienie, o którym tu mówimy, nie zmieniło się od wieków. A jeśli już, to raczej go przybyło, niż ubyło. Ale nie o tym chciałam. Ten nadmiar „materiału” daje do myślenia. Być może powstała więcej niż jedna kopia mapy? Czy różniła się czymś od innych egzemplarzy?

I czy w przypadku mapy można w ogóle mówić o relacji oryginał – kopia?

To interesujące zagadnienie prawne i filozoficzne. W tym kontekście ciekawie rysuje się etymologia pojęcia „kopia”, które pierwotnie wiązało się z nadmiarem, obfitością – było czymś pozytywnym. Dopiero kopia nowoczesna zaczęła się kojarzyć pejoratywnie, z deficytem. Kopia mapy, o której piszę w książce, nie jest umniejszeniem oryginału, ale jego zwielokrotnieniem, pomnożeniem, intensyfikacją.

Kartografia to też wtłaczanie świata w sztywne ramy sensu i porządku.

Dziś na pewno, ale w czasach Fra Mauro niekoniecznie – mapy przecież pełne były białych pól, które obnażały ogrom niewiedzy, kusiły tajemnicą, rozpały wyobraźnię. Czasem w niezbadanych miejscach malowano smoki albo

wrota raju, co sugerowałoby, że na antypodach znajduje się wejście do piekła. Postanowiłam to wykorzystać. Tak więc sam fakt istnienia mapy nie oznacza, że światem rządzi ład, a już na pewno nie światem moich bohaterów. Ci są pogrążeni w chaosie.

To po co im ta mapa?

Andreas Bianco tworzy ją, aby ponownie wkupić się w łaski swojego wuja i protektora, króla Portugalii. Dzięki niej chce odzyskać wolność. Kolejni właściciele mapy odkrywają natomiast inne jej właściwości – pozwala ona bowiem nawigować nie tylko w przestrzeni, ale również w czasie.

Lubię myśleć o przeszłości w kategoriach długiego trwania, doszukiwać się nie tylko korelacji między poszczególnymi jej elementami, ale też zwracać uwagę na ich kauzalność. Tętnem rzadko jest przypadkowość, tyle że jej przyczyn należy szukać głęboko. Rzeczy, które działy się sto lat temu, wcale nie są odległe – wręcz przeciwnie, wciąż pozostają namacalne, wciąż kształtują nasze życie. Ślady I wojny światowej nadal kształtują naszą przestrzeń. Widać to dobrze na przykład w Beskidzie Niskim.

Gdy opisujesz rzeczywistość minionych epok, nie ma u Ciebie typowej dla naszej kultury perspektywy narodowej.

Nie interesowało mnie nigdy myślenie w tych kategoriach, ta perspektywa sztucznie zawęża nasze spojrzenie. Gdy

tylko pojawił się w mojej wyobraźni Rembrandt, stało się dla mnie jasne, że będzie to historia europejska. Nie lubię też myśleć o przeszłości przy pomocy zamkniętych całości zwanych epokami. W ten sposób oczywiście łatwiej mówić o rzeczach abstrakcyjnych – procesach historycznych czy ekspansji imperiów – ale równocześnie zafałszowujemy ludzką tożsamość.

Każdy nosi w sobie całą galaktykę kontekstów, znaczeń i odniesień. Jak można mówić choćby o polskości bez kontekstu europejskiego – zarówno tego zachodniego, jak i środkowo-wschodniego? Nasza tożsamość nie zatrzymuje się na granicach, nawet jeżeli znów wróciły na nie kontrole. I tu znowu pojawia się ciekawy paradoks mapy, która jednocześnie wskazuje istnienie granic, ale umożliwia też ich przekroczenie, bo daje wyobrażenie o bezkresności świata.

Zacząłś od opowiadania o Bydgoszczy, w której nigdy nie byłeś.

Zacząłam oczywiście od Google Maps, żeby zobaczyć współczesną wersję Bydgoszczy. Ale to mi nie wystarczyło, więc sięgnęłam po zdjęcia archiwalne. Krok po kroku dotarłam do planów Hermanna Stübgena, genialnego przedwojennego urbanisty i architekta, który zaprojektował i zbudował całe dzielnice w takich miastach jak Poznań i Wałbrzych czy Kolonia i Luksemburg.

Dotarłam do szkiców ołówkiem, na których wyrysował ulice Bydgoszczy. Wyobraź sobie – idziesz nimi, dookoła trzypiętrowe kamienice, świecą się latarnie i lampy w oknach. Możesz do nich zajrzeć i zobaczyć ludzi zajętych swoimi codziennymi sprawami. Ktoś pije herbatę, czyta gazetę, trzyma dziecko na rękach – ale to wszystko nie istnieje naprawdę, więcej, ta ulica nigdy nawet nie powstała. W jego wyobraźni zmieściła się cała alternatywna rzeczywistość.

→ Kiedy Cię słucham, to się zastanawiam, czy właściwie potrzebujemy jeszcze podróżować. Może wystarczy nam mapy?

Gdyby więcej było takich planów i projektów, jak ten Stübbena, to kto wie?

Jedna rzecz w Twojej książce nie dawała mi spokoju – dlaczego kobiety nie mają imion?

To oczywiście celowe. Chciałam pokazać brak. To trudne. Nawet na poziomie didaskaliów. Łatwiej napisać „powiedziała Anna”, niż ciągle odwoływać się do atrybutów lub funkcji tych kobiet.

A na poziomie etycznym?

Oczywiście to był główny cel tego eksperymentu. Człowiek bez imienia odarty jest prawie ze wszystkiego. Chciałam nie tyle o tym powiedzieć, ile to pokazać. Pokazać brak w świecie odkrywców i kolonizatorów. Kolejną białą plamę.

Skąd pomysł?

Dawno temu interesowałam się cmentarzami z XVIII i XIX wieku, głównie łemkowskimi i żydowskimi. Wyobraź sobie, że znaczna większość imion wyrytych na nagrobkach to imiona mężczyzn. Kucharki, sprzątaczk, pokojówki – cała rzesza kobiet pracujących w dużych domach nie miała własnych grobów. Po śmierci traciły nawet tę ostatnią własną rzecz – imię. Często były to ubogie krewnie, piastunki i mamki – kobiety, które z powodów społecznych i ekonomicznych nie mogły założyć własnej rodziny. Historia kobiet ma wciąż mnóstwo białych plam, większość zapewne pozostanie niewypełniona.

U Ciebie ten brak widać od razu.

Czasami to jedyny sposób, żeby zwrócić na coś uwagę. Bez imion niewygodnie się o nich mówi, prawda? Trzeba dookoła, opisowo, a przecież to postaci wyraziste, zapadające w pamięć. Chciałam wyzyskać ten kontrast. A przy okazji wolę operować niedopowiedzeniem, zmusić czytelnika do samodzielnej konfrontacji z odartymi z imienia kobietami. Może podpowiedzą mu jeszcze inną interpretację?

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Grzebanie w ranach

ANITA PIOTROWSKA

Grecka tragedia i historia biblijnego Hioba czy emocjonalna pornografia? W miniseriale „To wiem na pewno” sprzeczne wrażenia towarzyszą nam do końca.

CHWILAMI AŻ TRUDNO UWIERZYĆ, że to ten sam aktor – zwłaszcza kiedy obie odtwarzane przez niego postaci są razem w kadrze. Mark Ruffalo jest przystojniakiem z bujnym zarostem i włoskim temperamentem, a równocześnie wygolonym, otyłym zombie, którego męczy każde wypowiedzane słowo. W każdym wcieleniu inaczej się porusza, inaczej oddycha. Za sprawą tej podwójnej roli, wymagającej fizycznej transformacji, miniserial „To wiem na pewno” w reżyserii Dereka Cianfrance’a na podstawie głośnej powieści Wally’ego Lamba zyskuje dodatkowy wymiar. Bliźniactwo Dominicka i Thomasa Birdseyów, z których drugi cierpi na schizofrenię paranoidalną, a pierwszy jest jego zdeterminowanym opiekunem, staje się ciemnym zwierciadłem nie tylko dla ich rodzinnej przeszłości.

Choć to zaledwie sześć odcinków, trudno znaleźć właściwy tryb odbioru, bo praktyka oglądania serialu jednym ciągiem może być w tym przypadku zabójcza. Kiedy Thomas na znak protestu przeciwko wojnie w Zatoce Perskiej odcina sobie dłoń w bibliotece publicznej i zostaje umieszczony w zakładzie psychiatrycznym o zaostrożnym rygorze, okazuje się, że wszystko, co najgorsze, dopiero przed nami. Walka Dominicka, by umieścić brata w bardziej „ludzkiej” placówce, uruchamia ciąg zdarzeń minionych, sięgających do głębokiej historii rodziny.

Od niedawnej śmierci matki obu braci cofamy się do czasów ich dzieciństwa i młodości, naznaczonych obec-



nością surowego ojczyma i pogłębiającą się chorobą Thomasa. Następnie, za sprawą odziedziczonych po dziadku zapisków, akcja przenosi się do lat 20., w środowisko sycylijskich imigrantów, w świat brutalnych obyczajów i rozmaitych założycielskich traum. A wszystko to w myśl przysłowia, że „stare grzechy mają długie cienie”. Albo, jeśli ktoś woli myślenie magiczne, w ramach klątwy rzuconej ońgiś na rodzinę przez skrzywdzoną krewną.

Stężenie nieszczęść, jakie dopadają bohaterów w kolejnych odcinkach, za każdym razem sięga masy krytycznej. Z drugiej strony, dawkanie „To wiem na pewno” zgodnie z cotygodniowym rytmem emisji rozrywa tę opowieść. Czasem zbyt długo trzeba czekać na logiczne rozwinięcie wątków i psychologiczne dopełnienie niektórych relacji. Zanim jeszcze do akcji wkroczy postać terapeutki, serial Cianfrance’a ma być czymś w rodzaju długotrwałej sesji na kozetce. Nie zmierza jednak konsekwentnie w głąb, lecz zdaje się grzebać w ranach powolnymi, okrężnymi ruchami i zapętla nas nie tylko w czasie, ale i w emocjach.

Daje im wybrzmieć czy bezwstydnie celebrować ból? – to kluczowe pytanie. Czy więcej w tym serialu greckiej tragedii i biblijnego Hioba, czy po prostu emocjonalnej pornografii? Więcej zgęszczonej in-



Mark Ruffalo jako Dominick i Thomas Birdsey w serialu „To wiem na pewno”

HBO / MATERIAŁY PRASOWE

tymności „Blue Valentine” czy melodramatycznego „Światła między oceanami” – by przywołać twórczość samego Cianfrance’a? Sprzeczne wrażenia towarzyszą nam do samego końca, niczym odwrócone bliźniacze połówki.

Czytana za kadrem powieściowa narracja (istna plaga wśród seriali będących adaptacjami literackimi) jest historią z punktu widzenia Dominicka, czyli tego, który wydaje się zdrowy, który wziął odpowiedzialność za chorego brata i poświęcił dla niego życie. Ale, w dużej mierze dzięki rozdwojonej roli Ruffala, pierwsza i trzecia osoba liczby pojedynczej tworzą tu nierozłączną całość. Każdy z braci jest zakładnikiem drugiego i dopóki ten drugi żyje, niemożliwa jest prawdziwa separacja. Stąd w reakcjach Dominicka tak łatwo rozpoznać Thomasa, a w każdym z nich zdążyło się odłożyć mniej lub więcej bolesnych doświadczeń ich matki czy babki, jak i cała gwałtowność męskich przedstawicieli tej rodziny. Ktoś powie: za dużo kieszonkowego Freuda. Nawet jeśli tak jest, to serial zmierza do przezwyciężenia rodzinnego determinizmu, do brutalnego rozliczenia w imię przebaczenia.

Cianfrance chwilami chciałby kręcić epicki film, a nie serial, aczkolwiek zmieniając się na przestrzeni kilkadziesiąt lat Stany Zjednoczone pozostają na ekranie tylko tapetą. Przedwojenna zie-

mia obiecana wygląda jak klisza z filmu braci Tavianich, rok 1968 ma zwietrzały zapach napalmu o poranku, a kiedy trzydzieści lat później kraj szykuje się do nowej wojny, poprzemysłowe miasteczko w Connecticut musi wyglądać jak wyblakłe wspomnienie amerykańskiego snu. W sferze słów pozostaje wątek polityczno-medialny, który pojawia się wraz z samookaleczeniem Thomasa, czy problem rasowy, wpłątany w rodzinną tajemnicę.

Twórcom chodzi jednak przede wszystkim o wypełnienie ekranu indywidualną, choć w tym przypadku współdzieloną traumą, o zwielokrotnienie jej do granic wytrzymałości. Serial zbliża się pod tym względem do filmu „Manchester by the Sea” (2016) Kennetha Lonergana, jakkolwiek trudno mu osiągnąć podobnie czysty efekt. Ruffalo, który grywał zresztą u tego reżysera, czuje podobnego bluesa. Jego bohater, który może się poszczycić sporą biblioteczką, a żyje z malowania domów, to kolejny we współczesnym kinie mężczyzna, który nie wstydi się swego cierpienia, społecznej degradacji czy nadopiekuńczego instynktu. Tyle że przez większość czasu ekranowego musi jeszcze nauczyć się o tym mówić.

Subtelna przeciwwaga dla podwójnie wcielonego aktora przynosi drugi plan kobiecy: Melissa Leo w roli sponiewieranej matki bliźniaków, Kathryn Hahn jako była żona Domenicka, też mocno dotknięta przez los, a do tego Rosie O'Donnell grająca empatyczną pracownicę socjalną z ośrodka, w którym przebywa Thomas, czy rzadko oglądana u nas Juliette Lewis jako tłumaczka, która bierze na warsztat rękopis włoskiego dziadka Birdseyów. „To wiem na pewno” jest filmem o relacjach, bolesnych i czasem trudnych do udźwignięcia, w tym również dla widza – ale to, co dzieje się pomiędzy aktorkami i aktorami, nie tylko „sklonowanymi”, wydaje się jeszcze bardziej pasjonujące. ©

TO WIEM NA PEWNO (*I Know This Much Is True*) – reż. Derek Cianfrance. Prod. USA 2020. Odc. 1-3 dostępne na HBO GO, kolejne co poniedziałek, odc. 4 HBO, 1 VI, 20.10.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Wiosna Filmów



Festiwal, *MOJ EeKINO.pl*, 29 V – 7 VI
Coroczne święto filmu fabularnego tym razem odbędzie się na platformie internetowej skupiającej kilkadziesiąt polskich kin studyjnych. Zobaczymy filmy z całego świata, a wśród nich „O nieskończoności” Roya Anderssona, „Najgorsze wiersze świata” Gábora Reisza czy „Zło nie istnieje” Mohammada Rasoulofa, zwycięzcę tegorocznego Berlinale.

2. Zwyczajny kraj



Dokumentalny, reż. Tomasz Wolski, Polska 2020, *krakowfilm-festival.pl*, 2 VI, 16.00, 4 VI, 20.00, 6 VI, 16.00
To jeden z filmów, które

reprezentują polski dokument w konkursie międzynarodowym Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Jego twórca zmontował ze sobą filmy instruktażowe i materiały operacyjne PRL-owskiego aparatu bezpieczeństwa, czego efektem jest mroczny i zarazem absurdalny obraz państwa totalitarnego. Ku przypomnieniu i przestrodze.

3. Colectiv



Dokumentalny, reż. Alexander Nanau, Rumunia 2019, HBO, 4 VI, 21.45, HBO GO W 2015 r. w jednym z bukareszteńskich

klubów nocnych wybuchł pożar. Prócz ofiar śmiertelnych było wielu rannych, którzy zmarli na skutek szpitalnych zaniedbań. Nagradzany na wielu festiwalach dokument śledczy obnaża ogromne nadużycia w funkcjonowaniu rumuńskiej służby zdrowia, ale pokazuje także, jak wielką rolę odegrało w tej sprawie docieklawe dziennikarstwo.

4. Hollywood



Serial, tw. Ian Brennan, Ryan Murphy, USA 2020, Netflix

Co by było, gdyby w złotej erze „fabryki snów”, na przekór Kodeksowi Haysa czy uprzedzeniom na tle rasowym doszło do radykalnej zmiany myślenia? Jak zmieniłoby się ówczesne kino i jak wpłynęłoby na panującą obyczajowość? Serial jest fantazją wokół tych tematów – mało prawdopodobną i niezbyt wybredną w środkach, ale chwila-mi zabawną.

JAN

Klata:

Do dna



NIC NADZWYCZAJNEGO SIĘ NIE DZIEJE, JEST zwyczajnie, jak to miłośnicy nam panujący mają w zwyczaju, na który to zwyczaj otrzymali mandat. Na mocy owego mandatu czynią sobie Polskę poddaną: sądy, stądniny, muzea, teatry, radio, respiratory, rapsy. Ze skutkiem wiadomym, ale jeszcze nie do końca – i to jeszcze nie do końca napawa władzę bezczelnością, bo uchodzi płazem. Miarka się jeszcze nie przebrała, póki słupki rosną.

Zdemolowanie Trójki odbywało się standardowo, po troszeczkę, żabka była gotowana po malutku, granice kompromisu badane systematycznie, ludzie odchodzili pojedynczo albo w małych grupach, reszta radiowców nie chciała jeszcze gasić światła, nie mieli sumienia i trudno im się dziwić, usiłowali robić swoje, między serwisami, między wywiadami z wiadomymi gośćmi, między Cejrowskim a Cejrowskim. Aż tu nagle awanturka, sprawa się ryła na antenie.

Ostatni raz w Trójce byłem dwa lata temu, poszedłem z wahaniami, ale ciągle serce ścisnęło mi się na widok mijanych na korytarzu redaktorów – moich domowników: Kaczkowski, Manna, Niedźwieckiego, Rosiaka, Stelmacha. Głupie, infantylne, ale tkwi w człowieku dwunastoletnie chłopię słuchające trójkowej Listy Przebojów i wszystkiego innego, co tak pięknie leciało o różnych porach, nie ma sensu wymieniać, każdy wie. Nie tylko moje pokoleniowe przeżycie, formacyjne, wspólnotowe doświadczenie. Brzmi górnolotnie, ale trudno się powstrzymać. Nieinwazyjna natura radia jest wszechogarniająca, Trójka była zawsze, wszędzie, wielogłosowo, z klasą i sensem. Wcielenie ciągłości instytucjonalnej kultury, radio, *excusez le mot*, inteligenckie.

Szef Rady Mediów Narodowych nazywa się Czabański i warto zapamiętać to nazwisko, bo nikczemność ma twarz i nazwisko – w przypadku zniszczenia Trójki – akurat to. Inni jeszcze szatani są tam czynni, ale jako posługacze. Wiadomo, oni tylko wykonują rozkazy, jak zwykle, nic nadzwyczajnego się nie dzieje, wszak otrzymali mandat. Czy można się wczuć w sposób myślenia okupantów zbiorowej wyobraźni? Skosztujmy prawicowej refleksji: „Problemy w Polskim Radiu to złożona sprawa. Czaban oparł się na starych ludziach, Kura wymienił wielu od samego dna. I dlatego takich afer w TVP nie ma” – to cytat z jednego z polityków rządowych, prosimy nie regulować odbiorników. „Kura” *versus* „Czaban”. Kura rulez!

©

Lektor:

Pokój laktacyjny



■ Małgorzata Nocuń
WCZESNE ŻYCIE
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2020, ss. 222.

NIEŁATWO PISAĆ O TEJ KSIĄŻCE. Bo tak osobista, bo traktuje o doświadczeniu granicznym. Bo przecież znam autorkę i od początku wiedziałem, że w trzeciej osobie opisuje własne przeżycia, co przed czytelnikiem ujawnia dopiero w zakończeniu: „Być może ta książka jest moją terapią. M. to ja – Małgorzata Nocuń, z zawodu jestem dziennikarką. Spędziłam z synem pięćdziesiąt osiem dni na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodka A Szpitala Uniwer-

syteckiego w Krakowie”. Poznałem już także Julka, dzisiaj ślicznego i radosnego chłopczyka. Przyszedł na świat w dwudziestym dziewiątym tygodniu ciąży, walka o jego życie została wygrana. Używam terminu militarnego, bo sama Małgorzata – reporterka z ukraińskiego Majdanu i z Zakaukazia – zatytułowała kolejne rozdziały „Wojna”, „Zawieszenie broni”, „Po wyzwoleniu”. No i rzeczywiście zdaje sprawozdanie z placu boju,

jakim jest każdy oddział neonatologii.

„Wczesne życie” to na pewno autoterapia, nazwanie własnych skrajnych emocji, opowieść o kryzysie psychicznym i sposobach radzenia sobie z syndromem – znów ta terminologia! – stresu bojowego. I jeszcze pożegnanie z własną matką, która kiedyś w ciąży przeszła podobnie trudne chwile, a teraz umiera, nie doczekawszy pierwszych urodzin wnuka. To jednak równocześnie czuły i wrażliwy reportaż, który oprócz M. ma wiele innych bohaterów, spotykających się w pokoju laktacyjnym i przy inkubatorach. Historia Julka spleta się z historiami Ignasia, Aleksandra, Milenki, Marysi, Filipa... „Oddział Intensywnej Terapii Noworodka odpowiednio ustawia priorytety – notuje Małgorzata Nocuń. – Kobiety, które tam spotkałam, pomogły

mi przeżyć te pięćdziesiąt osiem dni... zabierały wiele z mojego cierpienia. Nie wiem, czy kiedykolwiek z kimkolwiek tak mocno współodczuwałam i byłam tak blisko”. A lekarki i położne „były zawsze ciepłe i oddane, oddział był dla mnie domem i one w tym domu ze mną żyły”. „Mówią, że trzeba wioski, żeby wychować dziecko – pisze w nocy na okładce Justyna Bargielska. – »Wczesne życie« pokazuje, że matka wcześniaka, aby przetrwać, również takiej wioski potrzebuje”. I przywołuje scenę, w której położna napomina M., żeby nie chodziła przez zwykły oddział noworodkowy. „Tamte dzieci są prawdziwe, duże” – płacze M. „Pani dziecko też jest prawdziwe” – odpowiada mądra położna. „Prawdziwe, tak jak prawdziwa jest ta książka – komentuje Bargielska. – I piękna”. ©

PAWEŁ

Bravo:

Pełne żywoty



STO TYSIĘCY. TAKĄ LICZBĘ WYBIJA „NEW YORK TIMES” na pierwszej stronie sobotniego wydania, które musicie obejrzeć sobie w sieci nawet jak nie znacie angielskiego – wystarczy popatrzeć. Sto tysięcy ludzi już zmarło w USA na koronę i ga-

zeta zapełniła całą pierwszą stronę wydrukowaną maczkiem listą. Tysiąc krótkich opisów z nekrologów albo Facebooka. Małe zajawki jednej setnej z tych stu tysięcy żywotów. Prosty pomysł, który uderza w emocje i pobudza sumienie. Dopiero przejście przez taki czyściec, zatrzymanie się na dwie sekundy przy każdym z ludzi, pozwala swobodnie dyskutować o danych. Bez moralnego kaca, że ludzie zamienia się w liczby.

Roztrząsanie suchych statystyk i wiążących je zależności nie jest niczym nagannym. Niesie niekiedy pociechę – np. kiedy się okazuje, że z przyczyn, jakie dopiero przyjdzie nam poznać, nasz kraj pozostał dotąd w relatywnie dobrej kondycji. Zarówno pod najważniejszym względem liczby ofiar pandemii, jak i skutków pośrednich, czyli sponiewierania życia, obyczajów i więzi społecznych. Pozostając w zdrowiu, czekamy na swoją kolej i nie jest bez znaczenia, czy przez ten czas pędzimy żywot w sposób mniej więcej taki, jaki lubimy i jaki wydaje się nam godny. Co w Polsce było przez te miesiące znacznie łatwiejsze niż w prawie wszystkich krajach, z którymi lubimy się porównywać. Nawet kilkunastodniowy zakaz wyjścia do parku – pamiętacie jeszcze tę traumę? – był śmieszny w porównaniu z drakońskim uwięzieniem w domach paru dumnych narodów, którym nie wolno było pójść do sklepu po kredki dla dzieci (bo nie są pierwszej potrzeby). My w tym czasie kręciliśmy się po marketach budowlanych, bo wreszcie znalazł się czas na zaległe remonty.

Kilka restrykcji było jednak tak samo bolesnych jak wszędzie – co dotyczyło np. faktycznego zakazu pogrzebów. Jak pisał nowojorska gazeta w komentarzu do swojej listy, to dobry symbol czasów epidemii, którą cechuje brak jasnego końca: nawet zmarli muszą poczekać. Za nie wiadomo ile rodziny zwołają bliskich, żeby powspominać. Na razie piszą: „Nikt nie robił purée ziemniaczanego i smażonej kukurydzy tak jak ona”. „Emerytowany sędzia Sądu Najwyższego stanu Nowy Jork”. „Chirurg, który rozdzielił bliźnięta syjamskie”. „Znany w rodzinie z tego, jak gotował meksykańską potrawę *birria*”. „Zawsze chciała być blisko oceanu”. „Odnalazł swoje powołanie, gdy zaczął kierować szkolnym autobusem”. „Ostatni z polskich pilotów z II wojny światowej”. „Jedna z pierwszych kobiet swego pokolenia, która prowadziła samochód”. „Był obecny na każdej

inauguracji prezydenckiej od 1965 do 2002”. „Świetnie gotowała, choć nienawidziła tego zajęcia”. „Lubił swoją ciężarówkę, Disneyworld, model kolejki, a zwłaszcza kalifornijskie cheeseburgery”. „Ludzie byli jej hobby”.

Ludzie byli jej hobby... czy to znaczy, że uwielbiała plotkować i wtykać nos w cudze sprawy? Pełna, trójwymiarowa egzystencja prawie zawsze wzrusza i śmieszy w podobnych proporcjach. I obfituje we wspaniałości, choć przeważnie widać je tylko z bliska. Nie każdemu wszak przypada w udziale rozdzielanie bliźniąt syjamskich czy bycie sędzią. Ale prawie każdy może wyznaczyć paru swoim bliskim platoński ideał purée z ziemniaków. Albo kotletów mielonych. Albo ruskich. Niedawno jedna z latorośli doniosła mi z radością, że na półki sklepowe wrócił serek Ostrowia. A co w nim szczególnego? – zapytałem. No jak to?! Babcia zawsze dawała go do naleśników z musem jabłkowym – brzmiała odpowiedź. I tak w głowie tej młodej dorosłej osoby, którą czeka jeszcze parędziesiąt lat życia, serek Ostrowia pozostanie najtrwalszą fotografią babci.

Co będzie na mojej fotografii? Próżno zgadywać, choć lista potencjalnych pamiątek jest krótka. Kiedyś usłyszałem, że łatwo poznać, iż przyjechałem, bo na schodach pachnie rosołem. To prawda, chwila beczynności i już mnie świerzbzi, żeby nastawić bulion. Za wcześniej na takie myśli, choć w tych czasach żyję i poruszam się dość ryzykownie. W granicach prawa, ale ryzykownie, bo nie umiem wyrzec się ludzi. Są także i moim hobby. ©P

Na koncertach przed głównym zespołem występują czasami tzw. supporty. Taką rolę pełni dla mnie rabarbar – lubię go, ale kiedy już się zjawią truskawki, to wiadomo, kto jest gwiazdą czerwca. Z racji chłodu sezon się rozkręca pomalutku. Zatem jeszcze w tym tygodniu rabarbar – w formie tarty odwracanej, czyli Tatin. Kroimy 600 g **rabarbaru**

w 2-centymetrową kostkę, kładziemy do miski, zasypujemy 60 g **cukru pudru**, odstawiamy na kilka godzin. Zagniatamy 200 g białej **mąki** ze 100 g miękkiego **masła**, 60 g **cukru**

i 2 **żółtkami**. Formujemy kulę z ciasta, owijamy folią i schładzamy je. Potem rozwałkujemy je na koło nieco większe niż średnica formy, którą dysponujemy (musi być metalowa, aby dało się ją postawić na palniku; może to być też metalowa patelnia). Odcedzamy rabarbar.

Na formie/patelni podgrzewamy 50 g **masła** i 100 g **cukru**, mieszamy ok. 5 min.,

aż zacznie powstawać lekko zrumieniony karmel. Dodajemy **rabarbar**, podsmażamy mieszając

jeszcze 5 min. Wylączamy ogień, szybko układamy na formie z owocami okrąg z ciasta, zawijając jego brzegi do środka. Pieczemy ok. 20 min. w 180 st., aż ciasto się ładnie zrumieni. Po upieczeniu kładziemy na wierzch duży talerz i szybkim ruchem odwracamy. Bardzo dobrze smakuje z domowymi pseudolodami waniliowymi: ubijamy mikserem **śmietankę** i pod koniec ubijania dodajemy odrobinę **esencji waniliowej** oraz cienką strużkę **słodzone mleko skondensowane** (w proporcji 1 część mleka na 3 części śmietanki), po czym mrozimy przez godzinę.



PORY ROKU NA JĘZYKU

MARTA DYMEK, JADŁONOMIA:

Czasem gotowanie jest wymyślaniem
dla osób sytych, zamożnych
i znudzonych wygodnym życiem.
Teraz bliżej mi do kuchni rodzimej
i osób gotujących tradycyjnie.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Jak się Pani czuje?

MARTA DYMEK: Na miarę okoliczności, czyli różnie. Ostatnio pomaga mi oglądanie memów, które ludzie tworzą odregagowując koronawirusa. Widział pan ten, na którym grupa czarnoskórych mężczyzn tańczy z trumną do żywiowej muzyki techno? Ma on teraz tysiące przetworzeń – jakby próbowały oddać radość tych, którym się udaje przetrwać.

A ja oglądam powtórki programów kulinarnych z miejsc, które lubimy nazywać „egzotycznymi”. I gdy się ogląda te powtórki ze świata, który nagle przestał być bezproblemowo dostępny, nagle jak na dłoni widać, w jak nieopohamowany sposób go dotąd konsumowaliśmy.

Ja też realizowałam program kulinarny z takiego właśnie świata – z Tajlandii, i to wspomnienie też wydaje mi się dziś nieadekwatne. Kiedy przypominam sobie swoje podróże, trudno mi nie myśleć o tym, w jak komfortowej sytuacji byłam i jak nie do końca sobie to uświadamiałam. Programy sprzed pandemii przypominają o czasach, gdy mogliśmy udawać, że nie wiemy, iż nie żyjemy w próżni. Są ciekawym problemem: bo wprawdzie utraty i zmiany naszego świata doświadczamy we wszystkich obszarach, ale programy, w których można sobie było podróżować, gdzie się chciało i po co się chciało, wydają się dziś szczególnie nieostojne.

A pozrywane łańcuchy dostaw uświadamiają, że dotąd bez kłopotu i za względnie niewielkie pieniądze można

sobie było z drugiego końca świata ściągać „egzotyczne” składniki.

Myśl o tym, że poszukiwanie przyjemności w kuchni może nas w konsekwencji stawiać w trudnych, czy wręcz dramatycznych okolicznościach, jest mi bliska. Ale jest to też złożony problem. Mnie pandemia przypominała przede wszystkim o kosztach naszego wielkiego apetytu na mięso i nabiał – chciałoby się powiedzieć: „rozpasania”. Bo jest powodem powstawania dużych hodowli przemysłowych.

Nie spotkałam się jeszcze z wypowiedzią eksperta w temacie pandemii, który nie wspominałby o roli takich hodowli i związanego z nimi systemu dostaw w rozprzestrzenianiu się wirusów. To istotne, a chyba nie bardzo chcemy o tym słyszeć, że problem z nowymi, groźnymi dla nas drobnoustrojami nie

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „JP”





Warszawa, maj 2020 r.

bierze się stąd, że to Chińczycy mają swoje barbarzyńskie mokre targi i robią na nich niewyobrażalne dla Europejczyków rzeczy. Otóż wystarczyłoby zajrzeć do którejś hodowli przemysłowej w sercu Europy, w tym i w Polsce, i zobaczyć, jakie panują tam warunki. Kolejni eksperci i wirusolodzy podkreślają, że hodowle przemysłowe są wymarzoną środowiskiem do rozwoju kolejnych wirusów i kolejnych pandemii.

Czy problem na pewno koncentruje się wokół jedzenia bądź niejedzenia mięsa? Czy import argentyńskiej wołowiny nie jest takim samym absurdem, jak importowanie wegańskich beyond burgerów czy impossible burgerów z USA do barów w Europie samolotami, za którymi ciągnie się potężny ślad węglowy?

Ale czy takie analogie mięsa są adresowane do wegetarian i wegan? Czy weganin, chcąc sobie sprawić przyjemność, idzie na beyond burgera czy na sałatkę z pieczonymi burakami albo dobre pierogi z kaszą gryczaną? Ja, gdybym chciała zaszałać, poszłabym na dobrą pizzę marinara. Według amerykańskich statystyk – bo europejskich jeszcze nie ma – te roślinne burgery w 95 procentach kupują osoby mięsożerne. Wegetarianie i weganie to 5 procent.

I Pani to mówi? Gdy zrobiłem mapo tofu z Pani przepisu, pełne umami z grzybów shiitake i sosu sojowego, sam byłem zachwycony, ale mojej żonie – wegetariance od szesnastego roku życia – nie smakowało, stwierdziła, że jest zbyt mięsne.



→ Wymyślam te wszystkie przepisy i piszę książki nie tyle dla przyjemności własnej. Są one przede wszystkim układane dla osób, które mięsa jedzą dużo i często trudno im z niego zrezygnować. Bo czy w przeciwnym razie te przepisy mogłyby się stać narzędziem zmiany społecznej? A im dłużej się kuchnią zajmuję, tym bliższy staję mi się ten właśnie jej aspekt.

Żyjemy w takiej rzeczywistości społeczno-kulturowej, w której gratyfikacja jest ciągła i musi następować szybko. Więc gdybym promowała kuchnię roślinną przez rezygnację i brak, to projekt nie miałby szans na zbytni sukces. A tworząc przepisy pełne smaku umami, który osoby mięsożerne lubią najbardziej, mam nadzieję, że potrafię właśnie takie osoby do kuchni roślinnej ośmielić.

Może właśnie w tym łaknieniu gratyfikacji, bardziej niż w mięsie, tkwi nasz problem? Umami, koncepcyjne restauracje czy programy kulinarne to przecież wszystko opowieść o przyjemności. Od tego także amator kuchni roślinnej nie jest wolny: chętnie sięgnie po tofu wytwarzane z soi, której przemysłowa produkcja pociąga olbrzymie zużycie wody, wylesianie i niszczenie bezcennych ekosystemów. A mleko kokosowe? Tłuszcz palmowy?

Z soją sprawa jest prosta: rzeczywiście, uprawy soi są gigantycznym problemem, ale około 96 procent soi uprawia się na paszę dla zwierząt. Tofu jest naprawdę małym odsetkiem problemu. Można wręcz powiedzieć, że gdyby ludzie robili z soi tofu dla siebie, zamiast karmić nią zwierzęta, wiele zmieniłoby się na lepsze.

Ale jestem sceptyczna wobec stwierdzenia, że źródłem wszystkich naszych problemów z konsumpcją jest wyłącznie mięso. Jest nią przyjemność i nadmierne do własnej przyjemności przywiązanie. Bo chociaż weganie nie ponoszą winy za problem z soją, to istnieje mnóstwo produktów całkowicie wegańskich, ale wciąż kłopotliwych. Które, choć nie krzywdzą bezpośrednio zwierząt, obciążają planetę chociażby poprzez konieczność transportowania ich na wielkie dystanse. A przecież wszyscy – nie tylko weganie – sięgamy po marakuję, ananasy, mango...

...awokado...

...czy inne smakołyki. Gdybyśmy przestali podczas wybierania produktów i gotowania tak bardzo koncentrować się na sobie i swojej przyjemności, a zaczęli uwzględnić też drugą stronę – czyli „ten świat”, planetę, środowisko i przede wszystkim zwierzęta w hodowlach przemysłowych – przyniosłoby to dużo bardziej kompleksowe rozwiązania niż to, na co stać nas teraz.

Wierzy Pani, że doświadczenie ograniczeń związanych z pandemią trochę nam pomoże sobie to poukładać? Dla wielu ludzi gotowanie stało się opcjonalnym sposobem spędzania czasu, stylem życia. A nagle znów wróciło jako codzienny obowiązek – bo trzeba nakarmić dzieci.

W międzywojniu polskie książki kucharskie dzielono na miesiące.

Wiadomo było, co pojawia się w marcu, a co w maju.

Teraz wszystko staje się nieprzewidywalne.

Mam mieszane uczucia i intuicje. Bywają dni, kiedy snuję utopijne wizje, a innym razem przyszłość widzę jako kompletną dystopię. Natomiast na pewno z dużą nadzieją wypatruję tego, co sytuacja ograniczenia do własnego domu i konieczności, zamiast nieograniczonych możliwości, przyniesie całemu dyskursowi kulinarnemu. Tak sobie marzę, że może to do niego wnieść więcej wrażliwości na kwestię klasowości w gotowaniu.

Klasowości w gotowaniu?

Tak. Jako obserwator, ale też twórczyni dyskursu kulinarnego, często mam wątpliwości, również wobec siebie, na ile dostrzega się w nim problem klasy ekonomicznej. Czasem całe to gotowanie jest wymyślaniem dla osób sytych, zaможnych i znudzonych wygodnym życiem. Możemy sobie pozwolić na wszystkie te komosy ryżowe, trawy cytrynowe i kokosowe mleko do curry, zapominając o tym, ile te rzeczy kosztują, nie tylko pieniędzy, ale też czasu. Trzeba je nie tylko zdobyć, ale też wyposażyć się w wiedzę, znanstwo: nauczyć się, czym to przykładowe curry jest, jak smakuje, czego się spodziewać. Dysponować kapitałem przypraw, ale też kapitałem ekonomicznym i symbolicznym.

Być może więc w czasie pandemii przypomnimy sobie wszyscy, jak to jest, gdy czasy niepewne i trzeba się liczyć z budżetem – wiele osób doświadcza teraz lęku o swoją pracę, zlecenia, przelewy. A to właśnie kuchnia roślinna może być bardzo oszczędna i – jeżeli tylko nie dajemy się ponosić egzotycznym fantazjom – być kuchnią realną. Racjonalną i inkluzywną.

Da się w ogóle mówić o dyskursie kulinarnym, czy raczej o dyskursach? W obrębie jednej ramówki kanału kulinarnego mamy z jednej strony cykl o zero waste czy racjonalnym gotowaniu, a z drugiej rozkoszowanie się stertami mięsa i turnieje szefów kuchni.

Ale to właśnie pomijanie klasowości łączy te dyskursy: czy osoba, która gotuje, bo musi, ma skromny budżet na wyżywienie siebie i rodziny, a gotowanie łączy z prowadzeniem domu, pracą i opieką nad dziećmi, ma w ogóle przestrzeń na wybieranie, w którym z tych dyskursów się odnajdzie? Czy będzie wierniejsza kuchni pięciu przemian, kuchni *zero waste* czy wegańskiej? Jej kuchnia jest sprowadzona do bardziej podstawowych sensów, takich jak zaspokajanie głodu, przekazywanie tradycji albo religii.

Kuchnia roślinna jest inkluzywna? Z gochugaru, pastą miso, aquafabą, olejem sezamowym...

Sama się od dłuższego czasu zastanawiam, czy wystarczająco. Czy dania, które proponuję, nie są wielkomiejską fanaberią do uprzyjemniania czasu tym, którzy przyjemności mają już sporo.

I jaka odpowiedź się Pani rysuje?

Czasem się obawiam, że kuchnia roślinna staje się z jednej strony zbyt wielkomiejska, a z drugiej, przepraszam za taki

skrót myślowy, „lewacka”. Dlatego bliskie jest mi ostatnio popularyzowanie jej w oderwaniu od trendów i tradycyjnych podziałów, które stawiają niejedzenie mięsa wyłącznie po lewej stronie. Nie zgadzam się na taki podział, wrażliwość na zwierzęta albo ekologię jest doświadczana przez różne osoby. Stąd pomysły np. na warsztaty z Kookami Gospodyń Wiejskich zrealizowane wraz z kampanią RoślinnieJemy – bo także osoby z bardzo małych ośrodków, wyznające mocno konserwatywne wartości, mogą być taką kuchnią zainteresowane.

Czy to w tę stronę wiedzie Pani droga od książek o roślinnych przepisach z całego świata, przez program o kuchni tajskiej, po nową książkę pt. „Jadłonomia po polsku”, która się niebawem ukaże? To brzmi trochę jak twórcze dojrzewanie.

Szczerze mówiąc, tak właśnie jest. To, że teraz takie tematy są mi bliskie, wynika z moich pytań i oczekiwań względem siebie, ale i z coraz lepszego rozumienia kuchni. Wcześniej chciałam pokazywać, jak ekscytująca jest kuchnia roślinna, że niczego się w niej nie traci, możliwy jest ciągły karnawał i feeria smaków. Teraz bliżej mi do tego, żeby z uwagą i troską przyjrzeć się kuchni rodzimej, czując, że to bliższy mi i może bardziej potrzebny kierunek. Żeby kuchnia roślinna była zrozumiała – w sensie smaków, kształtów i funkcji potraw – dla osób od lat gotujących tradycyjnie, ale też adekwatna do rzeczywistości i jej wyzwań, chociażby takich właśnie, jak łańcuchy dostaw, ocieplenie klimatu czy hodowla przemysłowa.

Ale co to jest lokalność? Bo gdy staje się trendem, natychmiast wchodzi weń wielu wytwórcy i sprzedawcy żywności, przekonując, że u nich marchewka jest od pana Władka zza miedzy.

Ale czego się nie chwytają firmy i korporacje? Przyglądam się, jak firmy reagują na pandemię. Ich przekaz jest niesamowity i wszędzie taki sam: opisują, jak „od wielu lat nam towarzyszą” i jak dalek „są z nami w tym trudnym czasie”. Nie chcę już tego słuchać, bo nie czuję, żeby którakolwiek firma była ze mną w tym trudnym czasie.

Moja pierwsza książka była kompromisem między lokalnością dostępnych w sezonie składników oraz przypraw pochodzących wprawdzie z daleka, ale które można długo trzymać na półce. To był kompromis dla osób z dużych miast i z mojego pokolenia, ale dla wielu osób fikcyjny, bo niedostępny. Dlatego ideą nowej książki jest „kuchnia bez wydzielania”.



LUKA LUKASIAK / WYDAWNICTWO MARGINESY

MARTA DYMEK jest kulturoznawczynią, promotorką kuchni roślinnej, autorką książek, programów kulinarnych oraz najpopularniejszego polskiego bloga poświęconego kuchni wegańskiej *Jadłonomia.com*. Opublikowała trzy książki kucharskie: „Jadłonomia. Kuchnia roślinna – 100 przepisów nie tylko dla wegan” (2014), „Nowa Jadłonomia. Roślinne przepisy z całego świata” (2018) oraz „Jadłonomia po polsku” (2020). Od 2015 r. prowadziła na kanale Kuchnia+ pierwszy w pełni wegański program kulinarny w Polsce zatytułowany „Zielona Rewolucja Marty Dymek”. Aktywistka, ambasadorka kampanii RoślinnieJemy Stowarzyszenia Otwarte Klatki.

Pomyślałam o lokalności jeszcze dosadniejszej – nie tylko o składnikach i smakach naszej kuchni, ale też o jej rytmie i logice. Podzieliłam więc książkę na sześć rozdziałów – według pór roku, ale z uwzględnieniem przedwiośnia i przedzimnia. A to dlatego, że w Polsce pór roku jest więcej, rok nie dzieli się na cztery, a w dodatku lato jest niezwykle efemeryczne: moment, gdy wszystkiego jest pełno, trwa bardzo krótko. Przez większość roku, zwłaszcza zimą i na przednówku, towarzyszy nam tu w Polsce pytanie: co w ogóle jeść, gdy nic nie ma.

A tymczasem rzeczywistość wycięła Pani numer. Bo przednówek i przedzimie brzmią już jak z Kolberga, a pory roku zaczynamy mieć dwie. W dodatku wszystkim naszym tradycyjnym składnikom grozi największa susza od stu lat.

Przeciwnie, również ze względu na zmiany klimatyczne podział na sześć pór roku uznałam za niezwykle dziś adekwatny. Otóż kiedyś, jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym, książki kucharskie dzielono nie na pory roku, lecz na miesiące: wiadomo było, co pojawia się w marcu, a co w maju. Tymczasem teraz wszystko się zmienia i staje nieprzewidywalne. Miesiąc kalendarzowy już nic nie oznacza. Truskawki mogą się pojawić dwa miesiące wcześniej albo wcale, bo wykończy je susza. Sześć pór roku określa nie

miejsce w kalendarzu, lecz temperatura i pogoda. Ale to podział dziś właściwy również dlatego, że sześć pór roku może nas zadziwić i przypomnieć, iż niedługo rzeczywistość mogą być dwie. I skłonić do zastanowienia, co to dla nas znaczy, że w przeciągu 150 lat od dwunastu miesięcy przeszliśmy do dwóch pór roku.

Jaka jest kuchnia polska na dziś?

Unikam pojęcia „kuchnia polska”, bo jest strasznie zobowiązujące i kłopotliwe. Po pierwsze dlatego, że wszyscy chcielibyśmy za „kuchnię polską” uznawać kuchnię ziemiańską, a to przecież mit. Z drugiej strony zastanawiałam się, czy nie pokazywać tej kuchni jako wiejskiej, prostej, zwłaszcza że wszystkie tradycyjne wiejskie dania były wegańskie, bo biedne. Ale uznałam, że stylizowanie kuchni, która ma być czymś praktycznym, na przeszłość, jest niemądre. I wyrzuciłam skompletowany już zbiór przepisów. Uznałam, że się do niczego nie nadaje, bo niektóre z tych przepisów były bardzo – modne słowo – autentyczne, ale kompletnie nieużyteczne, ponieważ wymagały np., żeby przez siedem godzin obrabiać ziemniaki. Inne z kolei były proste i tanie, ale bardzo kaloryczne. Zalane cebulą z tłuszczem, przeznaczone dla kogoś,

→ kto cały dzień pracuje w polu, a nie za biurkiem. Nie tego dziś potrzebujemy.

Postanowiłam więc zaproponować nie kuchnię polską, lecz kuchnię po polsku: taką, która odwołuje się do zrozumiałych dla nas smaków, skojarzeń i wspomnień, ale nie próbuje kopiować tego, co było, ani czerpać z przeszłości wiedzy o tym, jak powinniśmy dziś żyć. Bo nasze zwyczaje powinna wyznaczać rzeczywistość obecna, zwłaszcza środowiskowa. To taka kuchnia, w której dobrze jest ludziom dzielącym moje wartości, ale można mieć niemal pewność, że zasmakuje nawet najbardziej konserwatywnym członkom rodziny. To dla mnie jest kuchnia po polsku.

I zarazem nowoczesna, inkluzywna definicja polskości. Niech będzie!

Ale gdy pandemia z jej ograniczeniami się skończy i nie dociśnie nas kryzys, to właściwie dlaczego mielibyśmy rezygnować z konsumpcji? Wrócimy do dawnego stanu jak puszczona sprężyna?

Trochę się tego obawiam. Z dwóch powodów: po pierwsze, tak się stało w Chinach – a to przecież dużo mniej indywidualistyczne społeczeństwo. Pierwszym odruchem było wyjście na *hot pot*, czyli wspólne jedzenie. Skoro Chińczycy, dużo pokorniej znoszący ograniczenia i zakazy, tak zareagowali, to co będzie z nami? A po drugie, do pesymizmu nakłania mnie obserwacja, jak konsumujemy różne style życia w internecie. Mam ambiwalentne uczucia wobec wysypu kursów, które od pierwszych dni pandemii zaczęły się pojawiać: „hot joga na czasy zarazy”, „samorozwój na czasy zarazy”, „medytacja w tipi na czas zarazy”... Sposoby na zabicie czasu związane z konsumowaniem jakiegoś stylu życia. Trochę jakbyśmy, nie mogąc konsumować w sklepach i restauracjach, rzucili się do szalonej konsumpcji w domu.

McDonald's ujawnił przepis na McMuffina, żeby klienci nie zapomnieli, jak smakuje. Nie jesteśmy w czasie postu, tylko w trybie konsumpcji zdalnej?

W internecie trwa chyba karnawał.

A w kuchni?

Też. Mam wręcz wątpliwości na własny temat: bo pierwsze, co zobaczyłam, gdy zaczęła się pandemia, to ogromny wzrost ruchu na moim blogu. Codziennie od początku pandemii jest taki, jakby nazajutrz miała być wigilia. Spływają też pytania od czytelników. Zaczęłam więc proponować różne treści czy podpowiedzi, ale z mieszanymi uczuciami, czy sama się nie włączam w szaleństwo udawania, że żadnej pandemii nie ma, i presji konsumpcyjnej w internecie.

A może niepotrzebnie się czepiamy konsumpcji i przyjemności? Może właśnie teraz, w stresie i zamknięciu, szczególnie jej potrzebujemy?

Zgoda, gotowanie i jedzenie jest jedną z nielicznych przyjemności, które teraz mamy. Nie możemy spotkać się z najbliższymi, iść do kina, do biblioteki, zobaczyć przyjaciół. Utraciliśmy wiele, a jedzenie nam zostało, więc nie musimy się zbytnio ganić za szukanie przyjemności w czasie stresu i niepewności. Ale biorąc pod uwagę, że w jakiejś mierze to

nasz apetyt na przyjemności pomaga wirusom przedostawać się do naszego świata, to czy jeśli teraz znowu zaczniemy się oddawać przyjemnościom, nie będzie to tak, jakbyśmy nie chcieli zauważyć, co się stało? Pozwalając sobie na przyjemności, dobrze byłoby pozwolić sobie też na refleksję nad tym, jaki był udział człowieka w rozprzestrzenieniu się wirusa i w innych zagrożeniach cywilizacyjnych, z którymi się teraz mierzymy, jak ocieplenie klimatu. Rozpieszczając się kulinarnie, zastanowić się, co dalej.

Boję się czasami, że jesteśmy tak bardzo skupieni na tym, żeby wszystko zagłuszać przyjemnościami, że doprowadzimy do kolejnej pandemii i jeszcze większej degradacji środowiska.

A o co teraz pytają goście Pani bloga? O sposoby na przyjemności?

Otóż nie. Pytają o rzeczy bardzo prozaiczne i bardzo adekwatne: co kupić w sklepie, gdy się robi zakupy raz na tydzień? Co gotować, żeby wystarczyło na kilka dni? Ale też – czy warto kupować mrożonki? Pytanie, czy mrożona fasolka szparagowa jest okej, jest teraz niesamowicie częste, bo świeże warzywa szybko się kończą. Spłynęło też bardzo dużo pytań o to, jak nie przytyć. Sporo osób rozważa przeznaczenie czasu siedzenia w domu, gdy mniej się ruszamy, na głódówkę.

Oj.

No właśnie. Bardzo mnie przejęło, że do jednego stresu te osoby chciały sobie dołożyć kolejną trudność. Postanowiłam więc oddawać na blogu głos ekspertom w różnych dziedzinach, którzy na najczęstsze pytania odpowiadają rzetelnie i opierając się na badaniach naukowych, zniechęcając do głódówek czy podobnych pomysłów.

Czy pytania, jak robić zapasy i gotować na kilka dni, nie świadczą, że w ciągu jednego pokolenia straciliśmy ważne życiowe umiejętności, które dla naszych rodziców były oczywistością?

Nie sądzę. To raczej rzeczywistość diametralnie się zmieniła. Kiedyś nieco mniej decyzji trzeba było podejmować na co dzień od nowa i względem nich się definiować. A teraz, kiedy podejmowanie decyzji jest niezbywalnym obowiązkiem, a możliwości przybywa, czasem wiedza, którą ledwo zdążymy nabyć, zaraz się dezaktualizuje. Nie w sobie należy tu szukać przyczyny.

Pytam, bo jest też druga strona medalu – bardzo mnie ucieszyło gwałtowne zniknięcie drożdży ze sklepów. Bo to znaczy, że wielu z nas nie straciło pięknych nawyków.

Prawda? Jest w tym coś rodzimego. W chwili kryzysu nie obawiamy się, że zabraknie nam kokosowego mleka, kuminu czy papryki wędzonej, tylko – dobrego chleba. To znaczy, że nawet w trudnej sytuacji – a może właśnie przede wszystkim w takiej – wciąż pamiętamy, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i co jemy.

A mrożona fasolka jest okej?

Jest świetna!

©TP Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Na tej reklamie widać, jak
rozklekotany spychacz
wyciąga z morza ciało
ogromnego wieloryba.
Na brzegu czekają już
mieszkańcy pobliskiej
wioski z wiadrami
i naostrzonymi nożami.

60. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
60th KRAKOW
FILM
FESTIVAL

31.05 — 7.06.2020
krakowfilmfestival.pl
oglądaj online

Wieloryb z Lorino
reż. Maciej Cuske

Producent:



Współorganizator:



Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:



STANISŁAW

Mancewicz:

Rozśpiewany kraj



Oczywiście, nasz stosunek do najszerzej pojętego pieśniarstwa jest najgłębiej pozytywny. Twórców, nawet niepopularnych i śpiewających nieczysto, szanujemy, choć oczywiście jakże często ich nie rozumiemy. Generalnie od dawna mamy

poczucie, że w dzisiejszym syntetycznym świecie zarabianie na życie śpiewaniem jest niesłychanie archaicznym sposobem na utrzymanie siebie, domu, żony, męża i potomstwa. Dlatego świat pieśni i tańca obserwujemy z takim zainteresowaniem. Niesłabnącym.

Nie będziemy jednak dziś mniemać na temat ewolucji człowieka i jego aparatów mowy, słuchu i ruchu, nie będziemy się rozczulać nad naszymi nietrafiionymi zdziwieniami czy trząść ze strachu przed kroczącą nowoczesnością. Przyjrzymy się ewolucji czy też raczej przeobrażaniu się państwa polskiego. Oto piosenki, te, o których ostatnio jest głośno, niebędące marszami, hymnami wiodącymi lud na barykady ani rewolucyjnymi songami, niewyrywające przecież swą mocą z nawet płytkiej drzemki, nieporównywalne do tańca, piosenki, jakich milion – to w jednym przypadku najważniejszy w miesiącu element aktywności intelektualnej i fizycznej głowy państwa polskiego, a w drugim najważniejsze wydarzenie tygodnia w Senacie polskim.

Oba zdarzenia w swej istocie, jakości i wadze należy uznać za sensoryjne w przenudnym dotychczas świecie nauk politycznych. Oba – tak się wydaje – mogłyby być tematem semestralnych zajęć na jakimś poważnym uniwersytecie, ale oczywiście nie są, bo nawet najbardziej niepoważne uniwersytety są zamknięte. Pierwsza z tych piosenek – popatrzmy i posłuchajmy – stworzona i zaśpie-

wana przez prezydenta kraju, wywołała chyba najpoważniejszy kryzys estetyczny od czasu, gdy do polszczyzny na stałe wniknęło słowo „pieniążki”. Piosenka druga, w naszej ocenie niczym nieodbiegająca od jej podobnych, reaktywnych wobec codzienności, spowodowała z nagłą szalenie poważny kryzys polityczny i instytucjonalny. W jakimś sensie – popatrzmy – świat się zawalił od lewa do prawa. Co więcej – wali się dalej.

Trwająca demolka wygląda na poważną, a jej potencjał oddziaływania społecznego, prawdopodobieństwo wpłynięcia na wynik wyborów, jest większy niż deszcz informacji o fenomenalnym swymi rozmiarami – nawet jak na Polskę – złodziejstwie naszej rozmodnionej prawicy. Z okazji epidemii, ale nie tylko. Pieniążki, tzn. sumy, o których mowa, są tak abstrakcyjne, że nikt normalnie nauczony liczyć nie jest w stanie sobie wyobrazić, ile za to wszystko można by kupić ośmiorniczek. Zapewne za tę forszę mogłyby być już zaraz nasze, polskie, wszystkie ośmiornice pływające we wszystkich oceanach świata, te dziś dorosłe i te ich wszystkie hurtem wnuczki i prawnuczki, i tak dalej, aż do wyewoluowania i wyjścia owych głowonogów z morza na ląd stały, gdzieś w okolicach świętego przekopu Mierzei Wiślanej. Taki to jest szmal dziki, że głowa mała, by użyć cytatu z jednej z byłych wielbicielk Jarosława Kaczyńskiego.

Nawiasem, zauważyliśmy rzecz przeciekawą, jeśli idzie o ceny maseczek. Ceny dla obywatela szarego, umiarkowanego odkazanego. Otóż żadna z maseczek jednorazowych, kupiona przez nas na oczywiście wolnym rynku, nie była tak droga, jak owe kupione w hurcie przez urzędników państwa polskiego za górami, za lasami, za dolinami, z pomocą jakichś zakolegowanych pośredników. Gdy się w to wmyślić i próbować policzyć tu cokolwiek tak, by się zgadzało, to zawsze wychodzi, że tutejszym ludziom u władzy i ich koleśiom spadł przy okazji epidemii na głowę deszcz najbrzydszych pieniędzy świata, choć obywatelom okres ten przyniósł raczej zgryzoty, bziki i same straty. Jeśli ktoś powie, że jest to opinia zbyt populistyczna, powinien sobie jednak spokojnie usiąść i przypomnieć, co owa władza mówiła w swych licznych kampaniach, zarówno wyborczych, jak propagandowych. I posłuchać, co wciąż mówi i wyśpiewuje. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Jest Was prawie 8 tysięcy – dziękujemy!



„Tygodnik» od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczaam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie ośmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom. „Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation




Kraków
RMF*Classic***kbf★**

13. FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ

26.05—1.06.2020 r.

SŁUCHAJ W RMF CLASSIC CODZIENNIE O 21.00

26.05 | CINEMA CHORALE (2019)**27.05** | CINEMATIC PIANO: LION.DROGA DO DOMU –
HAUSCHKA & DUSTIN
O'HALLORAN (2018)**28.05** | CINEMATIC PIANO:JEAN-MICHEL BERNARD
(2017)**29.05** | ALL IS FILM MUSIC: GALA

JUBILEUSZOWA 10. FMF (2017)

30.05 | MIĘDZYNARODOWA GALA
SERIALI (2015)**31.05** | GALA MUZYKI FILMOWEJ:
ANIMACJE (2016)**1.06** | KONCERT SPECJALNY
Z OKAZJI DNIA DZIECKASPRAWDŹ PROGRAM KONCERTÓW ONLINE NA **RMFCLASSIC.PL**

OGLĄDAJ NA:



/rmfclassic



@rmfclassic



/rmfclassic